

ROSS MACDONALD

Człowiek pogrzebany

„KB”

ROZDZIAŁ I

Suchy szelest liści obudził mnie o bladym świcie. Okno pęczniało gorącym oddechem wiatru. Wstałem, zamknąłem je i położywszy się słucałem szumów na dworze. Po jakimś czasie wiatr ucichł, więc wstałem i otworzyłem okno z powrotem. Do pokoju wtargnęło chłodne powietrze, niosące świeżą woń oceanu i nieco mniej świeżą Zachodniego Los Angeles. Wróciłem do łóżka i spałem, dopóki nie obudziły mnie moje sójki.

Nazywam je moimi. Jest ich pięć czy sześć. Jedna po drugiej spadają na mój parapet lotem nurkowym, po czym wracają na magnolię przed sąsiednim domem. Poszedłem do kuchni, otworzyłem puszkę orzeszków arachidowych i cisnąłem garść przez okno. Sójki śmignęły za nimi na ziemię. Zrzuciłem coś na siebie i z puszką w ręku zszedłem po zewnętrznych schodach do ogrodu za domem.

Był jasny wrześnieowy ranek. Niebo miało na krańcach żółtawy odcień, jak tani papier płowiejący na słońcu. Nie było najlżejszego powiewu, w powietrzu wisiała napływająca z głębi ładu duchota i żar pustyni.

Rzuciłem moim sójkom następną garść orzeszków i patrzyłem, jak skaczą za nimi po trawie, gdy drzwi jednego z parterowych mieszkań, należącego do małżeństwa nazwiskiem Waller, otworzył mały chłopiec w niebieskim płóciennym ubranku. Miał ciemne, krótko ostrzyżone włosy i pełne przejęcia niebieskie oczy.

- Mogę podejść?

- Nie przeszkadzasz mi.

Zostawiwszy otwarte na oścież drzwi, zaczął się zbliżać z przesadną ostrożnością, żeby nie spłoszyć ptaków. Sójki podfruwały skrzecząc i starając się przechytryć jedna drugą. Nie zwracały na niego najmniejszej uwagi.

- Czym pan je karmi? Orzeszkami?

- Tak. Może ty chcesz orzeszków?

- Nie, dziękuję. Tatuś zabiera mnie z wizytą do babci. Ona zawsze daje mi mnóstwo jedzenia. I też karmi ptaszki. - Po chwili milczenia dodał: - Ja też lubię karmić ptaszki.

Podąłem mu puszkę. Wziął garść orzeszków i cisnął na trawę. Sójki opadły gromadą. Dwie zaczęły się bić, wrzaskliwie, ale bezkrwawo. Chłopiec zbladł.

- Czy one się zabijają? - zapytał załamującym się, ciekim głósiem.
- Nie, czubią się tylko.
- Czy sójki zabijają inne ptaki?
- Czasami. - Spróbowalem zmienić temat. - Jak się nazywasz?
- Ronnie Broadhurst. Jakie ptaki zabijają?
- Pisklęta innych gatunków.

Uniósł ramiona i przycisnął złożone ręce do piersi jak nie wyrosnięte skrzydła.

- Ale dzieci nie zabijają?
- Nie, są na to za małe. To jakby dodało mu otuchy.
- Może bym teraz spróbował orzeszka. Mogę?
- Oczywiście.

Ustawił się przede mną, unosząc twarz do góry i mrużąc oczy w porannym świetle.

- Niech pan rzuci, to złapię buzią.

Rzuciłem orzeszek, który rzeczywiście złapał. Potem jeszcze parę. Część złapał, część upadła na trawę. Sójki śmigaly koło niego jak odpryski stłuczonego nieba.

Z ulicy wszedł na podwórze młody mężczyzna w sportowej koszuli w seledynowe paski. Wyglądał jak dorosły sobowtór chłopca i sprawiał wrażenie równie jak on napiętego. Palił nerwowo cienkie brązowe cigarillo.

Z otwartych drzwi mieszkania Wallerów, jakby czekała na jego pojawienie się, wyszła młoda kobieta z ciemnymi włosami związanymi w koński ogon. Była wystarczająco ładna, by mi uświadomić, że jestem nie ogolony.

Mężczyzna udawał, że jej nie widzi. Zwrócił się oficjalnie do chłopca:

- Dzień dobry, Ronaldzie.

Chłopiec spojrział na niego, ale się nie odwrócił. Kiedy mężczyzna i kobieta zbliżali się do niego z dwu stron, na jego twarzy zgasł wyraz beztroskiej radości. Małe ciało zdawało się kurczyć pod ciężarem ich obecności. Odpowiedział ciekim głósiem:

- Dzień dobry.

Mężczyzna obrócił się gwałtownie do kobiety.

- On się mnie boi! Na miłość Boską, coś ty mu naopowiadała?
- Nie rozmawialiśmy o tobie. Dla naszego wspólnego dobra.

Mężczyzna pochylił głowę. Chociaż nie ruszył nogą, wyglądało, że się szykuje do ataku.

- Co to znaczy dla naszego wspólnego dobra? Czy to zarzut?
- Nie, Stan. Chociaż miałabym, ci niejedno do zarzucenia.

- Ja też. - Zwrócił wzrok w moją stronę. - Z kim Ronnie się bawi? A może to ty się zabawiasz?

Machnął zarzającym się cigarillem.

- Nawet nie wiem, jak pan się nazywa.

- Cóż to dla ciebie za różnica?

Nie patrzył na mnie. Kobieta poszarzała na twarzy, jakby jej się zrobiło nagle słabo.

- Tego już za wiele, Stan. Proszę cię, bez scen.

- Jeśli nie chcesz scen, to dlaczegoś się wyniosła z domu?

- Dobrze wiesz, dlaczego. - I zmienionym głosem: - Czy ta dziewczyna jeszcze jest w domu?

- Nie będziemy o niej dyskutowali. - Raptownie obrócił się do chłopca. - Chodź, Ronnie, idziemy. Babcia Neli czeka na nas w Santa Teresa.

Chłopiec stał między nimi z zaciśniętymi pięstkami. Patrzył w ziemię.

- Nie chcę jechać do Santa Teresa. Muszę?

- Musisz - powiedziała kobieta. Zrobił ruch w moją stronę.

- Chcę zostać tutaj. Chcę zostać z tym panem. Złapał mnie za pasek i stał ze spuszczoną głową, z buzią schowaną przed światem dorosłych. Ojciec podszedł do niego.

- Puść go.

- Nie puszczę.

- Czy to przyjaciel mamusi? Przyjaciel mamusi, co?

- Nie.

- Mały kłamczuch!

Mężczyzna rzucił cigarillo i zamierzył się na chłopca.

Złapałem malca pod ramiona i uniosłem przed uderzeniem. Trzymając go w powietrzu, czułem, jak drży. Kobieta powiedziała:

- Zostaw go, Stan. Nie widzisz, jaką mu robisz krzywdę?

- To ty mu robisz krzywdę! Przyjechałem go zabrać na przejażdżkę, mama na nas czeka i co? - Głos nabrzmiał mu skargą: - Pakuję się w piękną scenę rodzinną. Okazuje się, że Ronnie ma już nowego tatusia.

- To wszystko się kupy nie trzyma - wtrąciłem się. - Poznaliśmy się z Ronniem przed chwilą. Jesteśmy tylko sąsiadami, zupełnie nowymi sąsiadami.

- Więc niech go pan puści. To mój syn. Postawiłem chłopca na ziemi.

- I na przyszłość z daleka od niego z brudnymi łapami. Korciło mnie żeby rąbnąć faceta. Ale chłopcu by to nie pomogło, a kobiecie też mogło tylko zaszkodzić. Powiedziałem jak najspokojniej:

- Niech pan już lepiej idzie.

- Wolno mi chyba zabrać własnego syna. Chłopiec obrócił się do mnie.

- Czy ja muszę z nim iść?

- Przecież to twój tatuś. Ciesz się, że masz tatusia i jedziesz z nim do babci.

- Pan ma rację - przytaknęła matka. - Idź z tatusiem, Ronnie. Zawsze się świetnie zgadzacie, kiedy mnie nie ma. Babci Neli byłoby przykro, gdybyś nie przyjechał.

Chłopiec podszedł do ojca ze spuszczoną głową. Podał mu rączkę i ruszyli w stronę ulicy.

- Przepraszam za męża - powiedziała kobieta.

- Nie ma za co. Nie przejmuję się takimi rzeczami.- Ale ja się przejmuję, w tym cały kłopot. Zrobił się taki agresywny. Dawniej taki nie był.

- Myślę. Nie uchowałby się.

Chciałem to powiedzieć lekko, półzartem, ale wypadło ciężko. Rozmowa się urwała. Spróbowałem ją podtrzymać.

- Przyjaźni się pani z Walierami?

- Tak. Profesor Waller był moim opiekunem na uniwersytecie. - W jej głosie brzmiała nutka nostalgii. - Jest nim właściwie do dzisiaj. Opiekują się mną oboje z Laurą. Zadzwoiłam do nich do Lake Tahoe wczoraj wieczorem, kiedy... - Nie dokończyła zdania. - Pan też się z nimi przyjaźni?

- Nie, ale pozostajemy w dobrosąsiedzkich stosunkach.; Prawda, nazywam się Archer. Mieszkam tu na piętrze.

Kiwnęła głową.

- Laura wspomniała o panu proponując mi wczoraj mieszkanie. Powiedziała, że w razie czego mogę się do pana zwrócić. - Posłała mi niepewny, chłodny uśmiezek. - Właściwie niechcący już się to stało. Dziękuję za to, co pan zrobił dla Ronniego.

- Cieszę się, że mogłem coś zrobić.

Ale byliśmy skrepowani. Napastliwe zachowanie jej męża wycisnęło piętno na rozpoczynającym się dniu. Scena, którą urządził, wisiała deprymująco nad naszymi głowami. Jakby dla zatarcia nieprzyjemnego wrażenia, kobieta powiedziała:

- Naparzyłam właśnie kawy. Zmarnuje się, jeśli pan się ze mną nie napije. Specjalna mieszanka Laury.

- Dziękuję bardzo, ale to chyba nie najlepszy pomysł. Pani mąż może wrócić. - Słyszałem z ulicy otwieranie i zamykanie drzwiczek, ale nie słyszałem zapalania motoru. - Jest zdolny do wszystkiego.

- Chyba pan nie mówi serio. Ale w jej głosie było pytanie.

- Jak najbardziej. Widziałem wielu ludzi w jego stanie i nauczyłem się w miarę możliwości unikać zadrażeń.

- Laura mówiła, że pan jest detektywem. Czy to prawda?

Na jej twarzy pojawiło się jakby wyzwanie.

- Tak, ale dziś świętuję. Mam nadzieję, że nic mi nie stanie na przeszkodzie.

Powiedziałem to z uśmiechem, ale popełniłem błąd, bo zrobiło jej to przykrość. Oczy jej pociemniały, wargi się zacisnęły. Brnąłem dalej:

- Skorzystam z zaproszenia przy najbliższej okazji. Potrząsnęła głową, nie tyle do mnie, co do swoich myśli.

- Nie wiem... nie wiem jeszcze, czy tu zostanę.

Z ulicy dobiegł odgłos otwieranych drzwiczek i na podwórze wszedł Stanley Broadhurst bez chłopca.

- Nie przeszkadzam?

- W czym miałbyś przeszkadzać? - odpowiedziała kobieta. - Gdzie Ronnie?

- W wozie. Przyjdzie szybko do siebie w towarzystwie ojca. - Zabrzmiało to tak, jakby tym ojcem był ktoś trzeci. - Zapomniałaś mi dać jego zabawki, zwierzątka inne skarby. Podobno są zapakowane.

- Tak, oczywiście.

Widać było, że jest zła na siebie. Pobiegnęła do mieszkania wróciła z granatową torbą lotniczą.

- Pozdrów ode mnie mamę.

- Jasne.

W jej tonie było niewiele ciepła, w jego odpowiedzi ani cienia. Sprawiali wrażenie pary, która ma się już nigdy nie zobaczyć. Poczulem tępy skurcz strachu - tępy, bo nawykłem tłumić strach. Obawiałem się chyba głównie o chłopca. Najchętniej zatrzymałbym Broadhursta i sprowadził malca z powrotem. Ale nie uczyniłem tego.

Broadhurst wszedł z torbą na ulicę. Wbiegłem po dwa stopnie na górę i przeszedłem po zewnętrznej galerii na front domu. Przy krawężniku stał stosunkowo nowy czarny otwarty Ford. Na przednim siedzeniu siedziała młoda blondynka w żółtej sukience bez rękawów. Lewą ręką obejmowała sztywno chłopca.

Stanley Broadhurst usiadł za kierownicą. Zapisał motor i ruszył szybko. Nie udało mi się zobaczyć twarzy dziewczyny. W skrótce z góry widziałem tylko nagie ramiona, wysokie piersi i rozwiane blond włosy.

Skurecz strachu o chłopca zamienił się w jątrzącą obawę. Wszedłem do łazienki i przejrzałem się w lustrze, jakbym chciał ze swojej twarzy wyczytać przyszłość malca. Ale w brzdach erozji pod oczami i w szpakowatych błyskach całodziennego zarostu na brodzie wyczytałem tylko własną przeszłość.

Ogoliłem się i włożyłem czystą koszulę. Zacząłem schodzić na dół, ale w połowie schodów zatrzymałem się, oparty o balustradę. Pakujesz się w kabałę, powiedziałem sobie. Przystojna młoda kobieta z przyjemnym chłopcem i zbłąkanym mężem. Gorący wiatr dał mi w twarz.

ROZDZIAŁ II

Minąłem zamknięte drzwi mieszkania Wallerów i ruszyłem ulicą do najbliższego kiosku po niedzielne wydanie „Los Angeles Timesa”. Przydygowałem gazetę do domu i spędziłem przedpołudnie czytając ją od deski do deski, blisko dwieście stron, włącznie z drobnymi ogłoszeniami, z których czasami można się dowiedzieć o Los Angeles więcej niż z miejscowych sensacji.

Wziąłem zimny prysznic. Potem usiadłem przy biurku w pokoju frontowym, sprawdziłem stan książeczki czekowej i postanowiłem uregulować rachunki za telefon i światło. Fakt, że terminy płatności jeszcze nie minęły, poprawił mi nieco nastrój. Wkładałem czeki do kopert, gdy usłyszałem przed drzwiami kobiece kroki.

- Pan Archer?

Otworzyłem drzwi. Upięła włosy i włożyła krótką, modną barwną sukienkę i wzorzyste białe pończochy. Miała niebieskie cienie na powiekach i umalowane karminowo usta. Ale pod tym wszystkim czuło się napięcie i dziewczęcą wrażliwość.

- Nie będę przeszkadzać, jeśli pan zajęty.

- Nie jestem zajęty. Proszę, niech pani wejdzie. Weszła i omiotła pokój taksującym wzrokiem. Gdybym tego nie wiedział, musiałbym sobie uświadomić, jak sfatygowane są moje meble. Zamknąłem za nią drzwi, wyciągnąłem fotel z za biurka.

- Nie usiądzie pani?

-: Dziękuję. - Ale stała dalej. - Czy pan wie, że w Santa Teresa jest pożar? Las się pali. Nie słyszał pan?

- Nie, ale przy tej pogodzie nietrudno o pożary.

- Według radia ogień wybuchł w pobliżu rancza babci Neli... to znaczy mojej teściowej. Usiłuję się do niej dodzwonić, ale nikt nie odpowiada. Ronnie powinien tam być. Jestem okropnie niespokojna.

- Czemu?

Zagryzła dolną wargę tak, że na zębach pozostała szminka.

- Nie mam pewności, czy mąż opiekuje się nim należycie. Nie powinnam mu była dawać dziecka.

- Więc czemu pani dała?

- Nie mogę Stanleyowi odmówić prawa do syna. Chłopcu potrzebne jest towarzystwo ojca.

- Nie towarzystwo Stanleya w jego obecnym stanie. Popatrzyła na mnie trzeźwo. Potem pochyliła się i niepewnie wyciągnęła w moją stronę rękę.

- Niech pan mi go pomoże odzyskać.

- Kogo? Męża czy syna?

- Obu. Ale przede wszystkim syna. Boję się o niego. W radio mówili, że pewnie będą ewakuować część domów. Nie mam pojęcia, co się dzieje w Santa Teresa.

Podniosła dłoń do czoła zasłaniając oczy. Ująłem ją pod ramię i posadziłem na kanapie. Potem poszedłem do kuchni, wypłukałem szklankę i przyniosłem jej wody. Wypiła drżącymi wargami. Jej długie nogi tancerki w białych pończochach wyglądały na tle wytartego dywanu jak przeniesione z innego, teatralnego wymiaru. Usiadłem przy biurku, na pół od niej odwrócony.

- Pamięta pani numer telefonu teściowej?

Podiała mi włącznie z numerem kierunkowym. Połączyłem się bezpośrednio. Sygnał po drugiej stronie zahuczał nagle pięć czy sześć razy. Nieoczekiwanie zaskoczył mnie cichy trzask podnoszonej słuchawki. Odezwał się kobiecy głos:

- Tak?

- Czy pani Broadhurst?

- Przy telefonie.

Głos był energiczny, ale nie niegrzeczny.

- Synowa chce z panią mówić. Chwileczkę. Oddałem kobiecie słuchawkę, ustępując jej miejsca przy biurku. Wyszedłem do sypialni, zamykając za sobą drzwi, i podniosłem słuchawkę aparatu przy łóżku. Starsza pani mówiła:

- Nie widziałam dzisiaj Stanleya. W soboty mam zawsze swój różowy dyżur, Stanley o tym dobrze wie. Dopiero wróciłam ze szpitala.

- Nie spodziewa się go mama?

- Może później, Jean.

- Mówił, że jesteście umówieni na dzisiaj rano i że obiecał przywieźć Ronniego.

- To pewnie przyjedzie. - Głos starszej pani zrobił się wyraźniejszy, wymijający. - Nie rozumiem, dlaczego to takie ważne?

- Wyjechali ładne parę godzin temu - powiedziała Jean. - Podobno w sąsiedztwie jest pożar.

- Tak. Dlatego wróciłam wcześniej ze szpitala. Wybacz, Jean, muszę kończyć rozmowę.

Odłożyła słuchawkę, ja też. Kiedy wróciłem do pokoju, Jean ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w słuchawkę, jak w coś żywego, co niespodziewanie zamarło jej w dłoni.

- Stan mnie okłamał - oznajmiła. - Jego matka była przez całe rano w szpitalu. Zawiózł tę dziewczynę do pustego domu.

- Czy pani się rozchodzi ze Stanleyem?

- Nie wiem, czy do tego nie dojdzie. Ja tego nie chcę.

- Kim jest ta blondynka?

Uniosła słuchawkę i rzuciła ją z pasją na widełki. Poczuliśmy się, jakbym był na drugim końcu linii.

- Nie będziemy o tym dyskutowali - powiedziała. Zmieniłem nieznacznie temat.

- Jak dawno są państwo w separacji?

- Dopiero od wczoraj. I wcale nie jesteśmy w separacji. Myślałam, że jak porozmawia z matką...

Urwała.

- To ona weźmie pani stronę? Nie liczyłbym na to na pani miejscu.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Zna pan moją teściową?

- Nie. Ale nie liczyłbym mimo wszystko. Czy pani Broadhurst ma pieniądze?

- Czy ja... Czy to się tak rzuca w oczy?

- Nie. Ale nic się nie dzieje bez powodu. Pani mąż posłużył się imieniem matki, żeby wydostać Ronniego.

Zabrzmiało to jak oskarżenie, pod którego ciężarem spuściła głowę.

- Ktoś panu o nas naopowiadał.

- Pani.

- Ja nic nie mówiłam o teściowej. Ani o żadnej blondynce.

- Zdawało mi się, że pani mówiła.

Zagłębiła się w myślach. Było jej z tym do twarzy, odprężyła się, napięcie widoczne w całej postaci zelżało.

- Wiem. Wczoraj wieczorem po moim telefonie Wallerowie zadzwonili do pana z Tahoe i opowiedzieli o mnie. Co Laura panu powiedziała? Czy też to Bob?

- Nic. Nie dzwonili do mnie.

- Więc skąd pan wie, że to blondynka?

- Zwykle jest jakaś blondynka.

- Nabija się pan ze mnie - powiedziała nieoczekiwanie młodzieńczym głosem. - To niezbyt ładnie w tej sytuacji.

- Więc dobrze. Widziałem ją. - Powiedziawszy to uświadomiłem sobie, że staję się świadkiem, jej świadkiem, i że z tymi słowami ulatuje moja ostatnia szansa nie wplątywania się w jej życie. - Była w aucie, kiedy stąd odjeżdżali.

- Czemu pan mi nic nie powiedział? Byłabym ich zatrzymała.

- Jak?

- Nie wiem. - Spojrzała na swoje ręce. Nagle jej rysy rozmasały się w żalonym przebłysku humoru. - Mogłabym wyjść z transparentem: żona. Albo położyć się przed autem. Albo napisać do prezydenta.

Przerwałem jej, żeby się nie doprowadziła do hysterii.

- Przynajmniej się z tym nie kryje. Poza tym jest z nimi Ronnie, więc nie bardzo mogą...

Nie dokończyłem zdania. Potrząsnęła śliczną głową.

- Nie wiem, co mogą. Niepokoi mnie właśnie to, że się nie kryją. Są obydwój niepoczytalni. Mówię poważnie. Przywiózł ją wczoraj z biura i zatrzymał na obiedzie bez porozumienia się ze mną. Była chyba pod działaniem czegoś, bo odpowiadała nie bardzo do rzeczy.

- W jakim biurze Stanley pracuje?

- W firmie ubezpieczeniowej w Northridge. To tam, gdzie mieszkamy. Ale ona tam nie pracuje, nie trzymaliby, jej przez jeden dzień. Może jest studentką albo nawet uczennicą. Jest zupełnie młoda.

- Co znaczy zupełnie młoda?

- Ma najwyżej dziewiętnaście lat. To mi się od razu wydało podejrzanе. Bo według Stanę jest jego koleżanką szkolną, która go odnalazła w biurze. A jest od niego co najmniej o siedem, osiem lat młodsza.

- Mówi pani, że była pod działaniem czegoś?

- Tak, ale nie wiem, co to mogło być. Opowiadała Ronniemu takie niesamowite rzeczy. Wcale mi się to nie podobało. Chciałam, żeby Stanley ją spławił, ale odmówił. Więc zatelefonowałam do Laury Waller, no i wylądowałam tutaj.

- Chyba źle pani zrobiła.

- Teraz to rozumiem. Powinnam była zostać i rozmówić się z nimi. Sęk w tym, że od pewnego czasu staliśmy się sobie obcy. Stan jest całkowicie pochłonięty swoimi sprawami, zupełnie na mnie nie zwraca uwagi. W takiej sytuacji kobieta traci grunt pod nogami.

- Chciała pani skończyć z tym małżeństwem? Zastanowiło ją to.

- Nie przyszło mi to do głowy. Może i chciałam. Muszę to przemyśleć. - Wstała i oparła się o biurko jak modelka, z biodrem wysuniętym do przodu. - Ale nie teraz, proszę pana. Muszę jechać do Santa Teresa. Zawiezie mnie pan? I pomoże odzyskać Ronniego?

- Jestem prywatnym detektywem. Żyję z tego.

- Tak, Laura Waller mi mówiła. Dlatego się do pana zwracam. Oczywiście zapłacę panu.

Otworzyłem drzwi i spuściłem zatrask.

- Co jeszcze Laura powiedziała pani o mnie?

- Ze jest pan samotnym człowiekiem - odparła z nieoczekiwane promiennym uśmiechem.

ROZDZIAŁ III

Czekałem na nią w saloniku Wallerów. Książki, w znacznej części obcojęzyczne, pokrywały ściany jakby izolując pokój przed światem rzeczywistym. Wróciła z pakowną torbą i dwoma płaszczami, swoim i małego.

Wyprowadziłem auto z garażu za domem i pojechaliśmy w kierunku autostrady do Ventury, oddalając się od oceanu. Południowe słońce lało z nieba żar i błyskało nieoczekiwane na szybach i chromie samochodów. Włączyłem klimatyzację.

- Jak przyjemnie - powiedziała.

Jej obecność obok mnie stwarzała iluzję, że istnieje jakaś furtka w inny czas czy wymiar. Napawała otuchą nieczęstą w świecie, w którym się obracałem. I pozwalała zapomnieć o tym cholernym ruchu na autostradzie.

Skręciwszy w kierunku Sepulvedy przez dobrą chwilę zastanawiałem się, od czego zacząć rozmowę.

- Wie pani co, pani Broadhurst, czuję się jakby trochę mniej samotny.

- Proszę mi mówić Jean. Pani Broadhurst brzmi, jakby pan się zwracał do mojej teściowej.

- Czy to coś złego?

- Niekoniecznie, to nie jest zła kobieta. Jest całkiem do rzeczy, tylko pasuje do niej właśnie określenie pani. Jest w głębi duszy przeraźliwie smutna. Po to jest pewnie dobre wychowanie: do ukrywania tego, co człowiek nosi w głębi duszy.

- Dlaczego jest smutna?

- Ma dość powodów. - Popatrzyła na mój profil, moje jedno widoczne oko. - Ale pan dociekliwy.

- To nieodzowne w mojej pracy.

- Pracuje pan w tej chwili?

- Prosiła mnie pani o to. Czy fakt, że jestem sąsiadem Wallerów, miał wpływ na pani decyzję skorzystania z ich gościny?

- Fakt, że pan jest detektywem?

- Powiedzmy.

- Może. Może był jedną z okoliczności, które mnie do tego skłoniły. Czy to ważne?

- Dla mnie tak. Nie wierzę w przypadki. I lubię jasne sytuacje.

- Czy nie za wiele pan wymaga?

- To groźba? - zapytałem.

- Raczej wyzwanie. Myślałam o sobie. O swojej sytuacji.

- Skoro już doszło do wyznań, czy to pani wysłała Ronniego na karmienie ptaszków?

- Nie, to był jego pomysł. - W jej głosie nie było wahania. Dorzuciła: - Jeśli pan nie wierzy w przypadki, to w pańskim świecie nie ma wiele miejsca na spontaniczność.

- To nie mój świat. Jakie są te pozostałe okoliczności, o których pani wspomniała?

- N-nie wiem - zająknęła się - co pan chce wiedzieć.

- Jak do tego wszystkiego doszło?

- Traktuje pan sprawę poważnie. W jej głosie była nutka zdziwienia.

- Tak.

- Ja też. W końcu to moje życie wali się w gruzy. Ale gdybym to miała wyjaśnić, nie wiedziałabym, od czego zacząć.

- Od początku. Zaczęła pani mówić o teściowej. Dlaczego jest smutna?

- Starzeje się.

- Ja też się starzeję, a nie jestem smutny.

- Nie? Z kobietami to inna sprawa.

- A pani teść się nie starzeje?

- Teścia nie ma. Uciekł przed laty z inną kobietą. Teraz zanosi się na to, że Stanley pójdzie w jego ślady.

- Ile miał lat, kiedy uciekł jego ojciec?

- Jedenaście, może dwanaście. Nigdy o tym nie wspomina, ale to było najważniejsze przeżycie jego dzieciństwa. Powinnam o tym pamiętać, zanim go potępię. Przeżył ucieczkę ojca bardziej niż jego matka.

- Skąd pani wie, skoro nigdy o tym nie wspomina?

- Dobre pytanie.

- Niech się pani postara równie dobrze odpowiedzieć, Jean.

Zastanowiła się. Nie widziałem jej twarzy, ale kącikiem oka widziałem sylwetkę z rękami na kolanach. Siedziała z głową pochyloną nad pustymi dłońmi, jakby miała nimi rozwiązać supeł albo rozplatać kłębek włóczki.

- Stanley od dłuższego czasu poszukuje ojca - powiedziała - i coraz bardziej go to wykańcza. A może odwrotnie. Może poszukuje ojca w nadziei, że pozwoli mu się to pozbierać.

- Czy pani mąż nie przeszedł jakiegoś kryzysu nerwowego?

- Aż tak nie. Ale właściwie całe jego życie jest jednym wielkim kryzysem. Należy do tych przesadnie pewnych siebie ludzi, którzy przy bliższym poznaniu okazują się pełni kompleksów. Przez to robi często głupstwa. Z ledwością ukończył uniwersytet. Nawiasem mówiąc, dzięki temu go poznałam. Chodziliśmy razem na lektorat francuskiego, zwrócił się do mnie o korepetycje. Cos z układu korepetytorka i uczeń przeszło do naszego małżeństwa - dokończyła z wyważoną ironią.

- To przykre dla mężczyzny mieć inteligentniejszą żonę.

- Myśli pan, że dla żony nie? Ale nie powiedziałabym, że jestem zdecydowanie inteligentniejsza od Stanleya. Jest jak gdyby człowiekiem, który nie może odnaleźć siebie.

- A szuka?

- Tak, stara się bardzo od pewnego czasu.

- Szuka ojca.

- Tak to ujmuje przed samym sobą. Wydaje mu się chyba, że opuszczając go ojciec odarł jego życie z wszelkiego sensu. Brzmi to absurdalnie, ale może nie jest takim absurdem. Ma żal do ojca, że go porzucił, a równocześnie kocha go i tęskni za nim. Przyzna pan, że takie połączenie może działać paraliżująco.

Uczucie, z jakim to powiedziała, zaskoczyło mnie. Zależało jej widać na mężu bardziej, niż chciała przyznać.

Minęliśmy niską przełęcz i rozpoczęliśmy zjazd w dolinę. Nad kotliną unosiły się warstwy brunatnego pyłu przesłaniając przeciwległe zbocza. Jak w starym filmie, z lotniska Van Nuys zaczął się mozolnie pięć w górę bombowiec z drugiej wojny światowej. Skręcił na północ, zapewne do pożaru w Santa Teresa.

Nie powiedziałem tego siedzącej obok kobiecie. Zaczynała mnie nurtować inna myśl. Jeśli Stanley rzeczywiście poszedł w ślady ojca i uciekł z dziewczyną, to wątpliwe, by jechał akurat do swojej matki. Znacznie prawdopodobniejsze, że wybrał za cel Las Vegas albo Meksyk.

Minęliśmy tablicę zapowiadającą zjazd do Northridge. Spojrzałem na towarzyszkę. Siedziała pochylona, rozplątując swój niewidoczny węzeł.

- Jak daleko od autostrady jest państwa dom?

- Jakieś pięć minut. Dlaczego?

- Dobrze byłoby tam zajrzeć. Nie mamy pewności, że Stanley zabrał małego do Santa Teresa.

- Myśli pan, że mogą być w domu?

- To niezbyt prawdopodobne, ale niewykluczone. Sprawdźmy dla pewności.

Mieszkali w jednym z szeregu nowiuteńkich domków jednorodzinnych tworzących uliczkę o nazwie College Circle. Wszystkie miały od frontu ganki sięgające piętra, wsparte na solidnych drewnianych kolumnach, różniły się tylko kolorem. Domek Broadhurstów był pomalowany na szafirowo z błękitnymi kolumnami.

Jean weszła drzwiami frontowymi, a ja wjechałem na tył domu. Okazało się, że za imponującą fasadą jest to zwykły wiejski drewniak, jakby projektant postanowił skrzyżować dworek południowego plantatora z barakiem jego niewolników. Płot z żerdzi oddzielał parcelę od sąsiadów.

Drzwi garażu były zamknięte, więc podszedłem do okienka z boku. Jedynym autem w podwójnym garażu był zielony Mercedes, niczym nie przypominający czarnego kabrioletu

Stanleya. W drzwiach kuchennych ukazała się Jean. Posłała mi rozpaczliwe spojrzenie i rzuciła się biegiem przez trawnik pod okienko garażu.

- Są tam?

- Nie.

- Dzięki Bogu! Przez moment myślałam, że popełnili samobójstwo. - Stała koło mnie przy okienku. - To nie nasze auto.

- A czyje?

- Chyba jej. Tak, przypominam sobie. Stanley i ona przyjechali wczoraj dwoma autami. Bezczelna, zostawiać swój wóz w moim garażu! - Obróciła się do mnie z zaciętą twarzą. - A propos, spała w łóżeczku Ronniego. Nie podoba mi się to.

- Niech pani mi pokaże.

Wszedłem za nią kuchennymi drzwiami. Dom już zdradzał oznaki opuszczenia. W zlewie i na szafkach piętrzyły się nie pozmywane naczynia. Na nie obudowanej kuchence stała patelnia do połowy wypełniona skrzepłym tłuszczem i rondel z czymś, co pachniało jak grochówka, ale wyglądało jak skamieniałe, popękane, zielone błoto. Po wszystkim łąziły muchy.

Pokój dziecienny na piętrze miał ściany wytapetowane przyjaznymi zwierzątkami. Pościel na łóżku była zmięta i skotłowana, jakby dziewczyna spędziła niespokojną noc. Na poduszce jak podpis pozostawiła czerwony odcisk ust, pod nią oprawny w splewiałe zielone płótno egzemplarz „Zielonych dworów” W. H. Hudsona.

Zajrzałem na pierwszą stronę książki. Był na niej ekslibris z wrytym aniołem czy muzą piszącą pawim piórem na zwoju papieru. Na ekslibrisie widniało nazwisko:

Ellen Strome. Pod nim nabazgrane ołówkiem drugie: Jerry Kilpatrick.

Zamknąłem książkę i schowałem ją do kieszeni marynarki.

ROZDZIAŁ IV

Jean Broadhurst weszła za mną do pokoju.

- Stanley w każdym razie z nią nie spał.

- A gdzie spał?

- W gabinecie.

Zaprowadziła mnie do małego pokoiku na parterze. Było tu kilka półek z książkami, zasuwane biurko, nie posłany tapczan i szara stalowa szafka biurowa, stojąca niby nagrobek u wezłowania. Obróciłem się do Jean.

- Czy mąż stale tutaj sypia?

- Zadaje pan niedyskretne pytania.

- Przyzwyczaj się pani. Rozumiem, że stale. Zaczerwieniła się.

- Pracuje wieczorami nad swoją kartoteką. Nie chce mi przeszkadzać.

Spróbowałem wyciągnąć najwyższą szufladę szafki. Była zamknięta.

- Co to za kartoteka?

- Sprawy ojca.

- Kartoteka sprawy ojca?

- Tak. Stanley gromadzi wszystko, czego się dowie o ojcu. Niewiele tego, za to mnóstwo fałszywych tropów. Pisze listy, przeprowadza wywiady z dziesiątkami osób. Nie traci nadziei, że natrafi na jakiś ślad. To jego główne zajęcie w ostatnich latach. Przynajmniej wiem, gdzie spędza wieczory - dokończyła z ironią.

- Co to był za człowiek ten jego ojciec?

- Właściwie nie wiem. Śmieszne, ale przy tym całym nawale korespondencji - stuknęła w ściankę szafki - Stanley prawie o nim nie mówi. Miewa długie okresy milczenia. Zresztą jego matka jeszcze dłuższe. Wierni tylko, że był kapitanem piechoty w rejonie Pacyfiku, i Stanley ma jego zdjęcie w mundurze. Przystojny mężczyzna o miłym uśmiechu.

Rozejrzałem się po ścianach wykładanych płytą pilśniową. Nie było na nich nic prócz kalendarza, z którego wynikało, że wciąż jest czerwiec.

- Gdzie mąż trzyma fotografię ojca?

- Nosi w plastikowej oprawce. Żeby się nie zniszczyła.

- Od czego miałyby się zniszczyć?

- Od pokazywania ludziom. Ma również zdjęcie ojca grającego w tenisa, w polo, przy sterze jachtu.

- Ojciec musiał mieć dużo pieniędzy.

- Sporo. W każdym razie teściowa ma ich pod dostatkiem.

- Mimo to teść rzucił majątek i ją dla innej kobiety?

- Podobno.

- Kim była ta kobieta?

- Nie wiem. Ani Stanley, ani jego matka nie poruszają tego tematu. Wiem tylko, że uciekł z nią do San Francisco. Byliśmy tam ze Stanleyem w czerwcu. Stanley po całych dniach chodził z fotografią po mieście. Obszedł prawie całe centrum, nim dał za wygraną. Miałami z nim ciężką przeprawę. Nie chciał w ogóle wracać do domu, tylko rzucić pracę i przeczesać cały rejon zatoki San Francisco.

- Przypuśćmy, że go odnajdzie. Co wtedy?
- Nie wiem. Przypuszczam, że Stanley też nie wie.
- Powiedziała pani, że Stanley miał jedenaście czy dwanaście lat, kiedy ojciec uciekł.

Kiedy to było?

- Stanley ma teraz dwadzieścia siedem. Piętnaście lat temu.
- Stać go na rzucenie pracy?
- Skądże. Siedzimy po uszy w długach. Jesteśmy winni pieniądze teściowej i innym ludziom. Ale zrobił się taki nieodpowiedzialny, że z trudem go powstrzymuję.

Milczała przez chwilę, wpatrując się w gołe ściany, w nie przewracany od paru miesięcy kalendarz.

- Ma pani klucz od szafki? - spytałem.
- Nie. Jest tylko jeden, Stanley się z nim nie rozstaje. Biurko też trzyma zamknięte.

Nie lubi, jak się interesuję jego korespondencją.

- Sądzi pani, że koresponduje z tą dziewczyną?
- Nie mam pojęcia. Dostaje listy od najróżniejszych ludzi. Nie otwieram jego korespondencji.

- Jak ona się nazywa, wie pani?
- Ma na imię Sue. Przynajmniej tak powiedziała Ronniemu.
- Chciałbym obejrzeć rejestrację tego Mercedesa. Klucz od garażu pani ma?
- Od garażu tak. Jest w kuchni.

Poszedłem za nią do kuchni. Otworzyła szafkę i zdjęła z gwoździka klucz, którym dostałem się do garażu. W stacyjce Mercedesa były kluczyki, natomiast karty rejestracyjnej nie było. Za to w głębi schowka na tablicy rozdzielczej znalazłem zmięty kwit ubezpieczenia wozu na nazwisko Roger Armistead, 10 Crescent Drive, Santa Teresa, Kalifornia. Zapisawszy w notesie nazwisko i adres, wygramoliłem się z auta.

- Co pan znalazł? - zapytała Jean. Pokazałem jej otwarty notes.
- Zna pani niejakiego Rogera Armisteadą?.
- Nie. Ale Crescent Drive to dobry adres.
- Mercedes też kosztował okrągłą sumkę. Wygląda, że koleżanka Stanleya jest niezłe sytuowana. Chyba że ukradła wóz.

Jean zrobiła ostrzegawczy gest.

- Nie tak głośno. To śmieszne, co Stanley opowiada - podjęła przyciszonym głosem, by jej nie było słychać u sąsiadów. - Niemożliwe, żeby była jego koleżanką szkolną. Mówię

panu, jest co najmniej o sześć, siedem lat młodsza. Zresztą on chodził do prywatnej męskiej szkoły w Santa Teresa.

Otworzyłem z powrotem notes.

- Niech pani ją opisze.

- Przystojna blondynka. Mniej więcej mojego wzrostu, to znaczy metr sześćdziesiąt siedem, osiem. Zgrabna. Jakieś pięćdziesiąt parę kilo wagi. Oczy niebieskie o niecodziennym odcieniu. Są w niej chyba najładniejsze, a jednocześnie najbardziej niesamowite.

- Co w nich niesamowitego?

- To, że nic z nich nie można wyczytać. Nie umiałabym powiedzieć, czy jest absolutnie niewinna, czy też z gruntu amoralna i cyniczna. I nie wymyśliłam tego po fakcie. To było moje pierwsze wrażenie, kiedy Stanley ją przyprowadził.

- Czy nie domyśla się pani, po co Stanley ją sprowadził do domu?

- Powiedział tylko, że jest głodna i zmęczona. Uważał za oczywiste, że ją zatrzymam na obiad, co zresztą zrobiłam. Ale prawie nic nie jadła, trochę grochówki..

- A mówiła dużo?

- Do mnie się prawie nie odzywała. Rozmawiała z Ronniem.

- O czym?

- Właściwie plotła bzdury. Opowiedziała mu jakąś niestworzoną historię o dziewczynce, która spędziła sama jedną noc w domku w górach. Rodziców jej zabiły potwory, a ją samą porwał jakiś wielki ptak, kondor, nie kondor. Twierdziła, że jej się to przytrafiło, kiedy była w wieku Ronniego, i zapytała, czyby chciał coś takiego przeżyć. Oczywiście fantazjowała, ale było w tym coś niezdrowego, jakby chciała wyładować na nim swoją histerię.

- Jak zareagował Ronnie? Wystraszył się?

- Nawet nie. Słuchał jak urzeczony. Ja mniej. Przerwałam i posłałam go do jego pokoju.

- Nie mówiła, że go ze sobą zabierze?

- Wyraźnie nie. Ale taki był podtekst, nie uważa pan? W każdym razie obleciał mnie strach. Powinnam była wyciągnąć z tego wniosek i wyekspediować ją jak najszybciej z domu.

- Czego się pani bała?

Popatrzyła w niebo, pełne pyłu niesionego wiatrem.

- Myślę, że to ona się czegoś bała, a mnie się udzielił jej strach. Oczywiście, byłam od początku podenerwowana. To takie niepodobne do Stanleya, przywieźć ją do domu jakby nigdy nic. Czułam, że w moim życiu dokonuje się przewrót i że jestem zupełnie bezradna.

- Przewrót w pani życiu zaczął się już wcześniej. W czerwcu, prawda?

Spuściła oczy, pełne pociemniałego nieba.

- W czerwcu byliśmy w San Francisco. Dlaczego przyszedł panu do głowy akurat czerwiec?

- To był ostatni miesiąc, w którym Stanley zerwał kartkę z kalendarza w swoim pokoju.

Na ulicy zatrzymało się auto z hałaśliwym silnikiem i po chwili zza rogu domu ukazał się mężczyzna. Widać było, że się źle czuje w wymiętym ciemnym garniturze. Miał długą bladą twarz i łuki brwiowe zgrubiałe od blizn. Podszedł po asfaltowym podjeździe.

- Stanley Broadhurst w domu?

- Niestety - odpowiedziała Jean niepewnie.

- Pani jest żoną?

Silił się, żeby to brzmiało uprzejmie, ale w jego głosie zgrzytała nutka agresywności.

- Tak.

- Kiedy pani się spodziewa męża?

- Nie wiem.

- Musi pani wiedzieć przynajmniej w przybliżeniu.

- Niestety nie wiem.

- Jak pani me wie, to kto będzie wiedział?

Jego postawa nie wróżyła nic dobrego. Wsunąłem się między niego a Jean.

- Broadhurst pojechał na weekend. Kto pan jest i czego pan chce?

Mężczyzna nie odpowiedział od razu. Odegrał pantomimę wściekłości, którą przypieczętował zamachem ręki i wymierzonym sobie policzkiem. Na twarzy został mu czerwony odcisk czterech palców.

- Kto jestem, to moja sprawa. Żądam swoich pieniędzy. Państwo go lepiej odnajdą i powtórzą mu to. Spruwam wieczorem z miasta, potrzebuję swoich pieniędzy.

- O jakich pieniądzach pan mówi?

- To nasza sprawa, Broadhursta i moja. Pan mu tylko przekaże wiadomość. Pan powie, że się godzę na równy tysiąc, żeby tylko było załatwione do wieczora. Jak nie, to się przed niczym nie cofnę. Pan mu powie.

Ale jego chłodne oczy nie wierzyły w to, co mówią usta. Pachniało od niego na milę kryminałem. Na twarzy miał więzienną bladość, czuł się nieswojo w świetle dziennym. Stał pod samą ścianą, jakby podświadomie szukał czegoś ograniczającego przestrzeń życiową.

- Mój mąż nie dysponuje takimi sumami.

- Ale mamusia dysponuje.

- Co pan może wiedzieć o jego mamusi? - zapytała Jean piskliwie.

- Że jest nadziana. Obiecał, że weźmie od niej i będzie na mnie czekał wieczorem z pieniędzmi.

- Trochę się pan pośpieszył - powiedziałem.

- I dobrze, że się pośpieszyłem. Jeszcze by zapomniał.

- Za co panu płaci tyle pieniędzy?

- Jakbym panu powiedział, to co by mi zostało do sprzedania? - Rzucił mi chytre spojrzenie cwaniaczka, któremu się wydaje, że pojadł wszystkie rozumy. - Powie mu pan, że przyjdę wieczorem. Jak mi nie zapłaci, to się przed niczym nie cofnę.

- Wieczorem może nie być nikogo. Niech pan zostawi adres, to damy znać.

Przez chwilę rozważał moją propozycję. W końcu rzekł:

- Znajdzie mnie pan w motelu Pod Gwiazdą. Przy szosie nadbrzeżnej, poniżej kanionu Topanga. Pytać o Ala.

Zapisałem adres w notesie.

- A telefon?

- Przez telefon nie przekaże pan pieniędzy.

Posłał nam błady uśmiezek, pozbawiony wesołości i odwrócił się na pięcie. Poszedłem za nim na róg domu i patrzyłem, jak odjeżdża wysłużonym czarnym Volkswagenem, który nie miał przedniego błotnika. Numer, zarosły brudem, był nie do odcyfrowania.

- Myśli pan, że mówił prawdę? - zapytała Jean.

- Wątpię, czy sam wie. Musiałby się poddać testowi prawdomówności, żeby się przekonać. Jeśli by nie stchórzył.

- Co Stanley może mieć do czynienia z takim typem?

- Zna go pani lepiej ode mnie.

- Zaczynam wątpić.

Wróciliśmy do domu. Zapytałem ją, czy mogę zatelefonować z gabinetu. Chciałem się skontaktować z właścicielem Mercedesa. Informacja w Santa Teresa podała mi numer Armistead. Nakręciłem. Odezwał się niecierpliwy głos kobiety:

- Tak?

- Czy mogę mówić z panem Armisteadem?

- Nie ma go.

- A gdzie go mogę znaleźć?

- Zależy, po co panu potrzebny.

- Czy to pani Armistead?

- Tak.

Zabrzmiało to, jakby miała zamiar odłożyć słuchawkę.

- Poszukuję pewnej młodej osoby. Tlenionej blondynki...

Przerwała nagle ożywionym głosem:

- Tej, która spędziła czwartkową noc na pewnym jachcie na przystani w Santa Teresa!

- Tego nie wiem.

- A co pan o niej wie?

- Jeździła zielonym Mercedesem, należącym zdaje się do pani męża.

- To mój wóz. Jacht zresztą też. Co, rozbiła mojego Mercedesa?

- Nie.

- Więc chcę go odzyskać. Gdzie jest?

- Powiem pani, jak się zobaczymy. Chcę z panią porozmawiać.

- Co to, szantaż? Roger pana napuścił? Głos jej zadrżał tremolandem urazy i gniewu.

- Nie widziałem go na oczy.

- Niewiele pan stracił. Kim pan jest?

- Nazywam się Archer.

- I czym pan się zajmuje, panie Archer?

- Jestem detektywem prywatnym.

- Rozumiem. O czym pan chce ze mną rozmawiać?

- O tej blondynce. Nie znam jej nazwiska. Może pani zna?

- Nie. Jest w coś zamieszana?

- Na to wygląda.

- Ile ma lat?

- Osiemnaście, dziewiętnaście.

- Ta-ak - powiedziała przyciszonym głosem. - Czy to Roger dał jej wóz? Czy go ukradła?

- O to musi pani zapytać Rogera. Mam pani odstawić wóz?

- Skąd pan dzwoni?

- Z Northridge, ale jestem w drodze do Santa Teresa.. Moglibyśmy porozmawiać.

Zaległa długa cisza. Zapytałem, czy jeszcze jest przy telefonie.

- Jestem. Tylko nie jestem pewna, czy chcę z panem rozmawiać. Ale ostatecznie - dokończyła mocniejszym głosem - to mój wóz. Chcę go odzyskać. Gotowa jestem zapłacić, w granicach rozsądku.

- Pomówimy o tym, jak się spotkamy. Wyprowadziłem Mercedesa z garażu i wstawiłem swój wóz na jego miejsce. Kiedy wróciłem do gabinetu, Jean ponownie rozmawiała z teściową. Odłożywszy słuchawkę poinformowała mnie, że Stanley z Ronniem i dziewczyną byli na ranczu pod nieobecność pani Broadhurst.

- Ogrodnik dał im klucz od domku myśliwskiego.

- Co to za domek?

- Domek gościnny za ranczem, u góry kanionu. Tam, gdzie się pali.

ROZDZIAŁ V

Nim dojechalśmy do Santa Teresa, poczułem w powietrzu dym. Wkrótce zobaczyłem jego welon na zboczu po drugiej stronie miasta. Przez dym przeświecał raz po raz ogień jak błyski ciężkich dział, zbyt odległych, by były słyszalne. Złudzenie wojny spotęgował stary dwumotorowy bombowiec, lecący nisko nad grzbietem. Zniknął na dłuższą chwilę w dymie, potem wynurzył się ciągnąc za sobą bladoczerwoną chmurę preparatu przeciwpożarowego.

Sznur pojazdów na autostradzie zgęstniał raptownie i wkrótce utknął przed nami. Chciałem włączyć radio, ale cofnąłem wyciągniętą rękę. Moja towarzyszka miała i tak dosyć na głowie, bez wysłuchiwania komunikatów ogniowych.

U czoła zatoru dostrzegłem policjanta z patrolu drogowego, który wpuszczał na autostradę wozy z bocznej szosy.

Zjeżdżało ich sporo z okolicznych wzgórz, wiele z nalepkami college'u Santa Teresa na szybach. Zauważyłem kilka ciężarówek wyładowanych meblami i materacami, dziećmi i psami. -

Kiedy policjant znowu puścił ruch na autostradzie, skręciliśmy w kierunku wzgórz. Droga wspiwała się łagodnymi łukami, wśród gajów cytrynowych i świeżo wytyczonych parceli, ku kanionowi Broadhurstów, jak go nazwała Jean. U wjazdu do kanionu zatrzymał Mercedesa mężczyzna w kurtce Straży Leśnej i żółtym kasku ochronnym. Jean wysiadła i przedstawiła się jako synowa pani Broadhurst.

- Chyba nie wybiera się pani na dłużej? Może zająć konieczność ewakuowania całego kanionu.

- Czy nie widział pan mojego męża z małym chłopcem?

Opisała Ronniego - sześć lat, błękitne oczy, czarne włoski, niebieskie ubranko. Strażnik potrząsnął głową.

- Dużo ludzi z dziećmi opuszcza kanion. Nie bez powodu. Jeśli ogień zacznie schodzić w dół, może odciąć odwrót, nim się pani obejrzy.

- Czy sytuacja jest bardzo groźna? - zapytałem.

- Wszystko zależy od wiatru. Jeśli utrzyma się bezwietrzna pogoda, powinniśmy ogień zlokalizować do wieczora. Ale jeśli zerwie się wiatr...

Zrezygnowanym gestem objął wszystko w zasięgu wzroku.

Wjechaliśmy między dwa słupy z kamienia polnego, zwieńczone ozdobnym napisem: Canyon Estates. Wśród dębów i gładów na zboczach kanionu widniały tu i ówdzie nowe luksusowe wille. Mężczyźni i kobiety polewali węzami ich ściany, ziemię dookoła, krzewy. Dzieci przyglądały się albo siedziały potulnie w autach, gotowe do ewakuacji. Bijący ze szczytu góry dym zmieniał kolorystykę dnia, wisiał nad wszystkim jak groźba.

Ranczo Broadhurstów leżało między willami a ogniem. Pięliśmy się w górę kanionu, coraz bliżej pożaru. W miejscu, gdzie stała skrzynka na listy z nazwiskiem Broadhurst, skręciliśmy w prywatną asfaltową drogę dojazdową, wijącą się przez plantację dorodnych drzewek awokado. Ich szerokie liście skręcały się na czubkach, jakby już liżnięte ogniem. Ciemne owoce zwisały ciężko z gałęzi niby zielone granaty ręczne.

Asfalt rozszerzył się w półkolisty podjazd przed dużym ranczerskim dworkiem, tynkowanym na biało. Z sekwojowych donic, wiszących na głębokiej werandzie, wylewały się amarantowe fuksje. Między donicami wisiał mały czerwony szklany karmnik z dziobkiem, z którego pił mieniący się koliber, jakby również zawieszony w powietrzu.

Ptaszek nie uczynił żadnego ruchu, gdy otworzyły się-siatkowe drzwi w głębi werandy i wyszła z nich kobieta. Miała na sobie białą koszulową bluzkę i czarne spodnie, uwydatniające wąską kibić. Przeszła przez werandę ze sprężystą gracją, postukując wysokimi obcasami butów do konnej jazdy.

- Jean, kochanie.

- Dzień dobry, mamo.

Wymieniły krótki uścisk dłoni, jak zawodniczki przed meczem. Pani Broadhurst miała gładkie ciemne włosy, lekko przyprószone siwizną, ale była młodsza, niż przypuszczałem, koło pięćdziesiątki. Tylko oczy wyglądały starzej. Nie spuszczając ich z twarzy synowej, potrząsnęła przecząco głową.

- Nie wrócili dotąd. I nie widziano ich nigdzie w okolicy. Co to za blondynka?

- Nie wiem, marno.

- Czy Stanley ma z nią romans?

- Nie wiem. - Jean obróciła się w moją stronę. - To jest pan Archer.

Pani Broadhurst kiwnęła sztywno głową.

- Jean wspomniała mi przez telefon, że jest pan czymś w rodzaju detektywa. Czy to prawda?

- Jestem detektywem prywatnym.

Zmierzyła mnie wzrokiem od czubka głowy po noski butów i z powrotem.

- Prawdę mówiąc, nigdy nie miałam zbyt dobrego mniemania o detektywach prywatnych. Ale w obecnych okolicznościach może pan się przydać. Jeśli wierzyć komunikatom radiowym, ogień przeszedł koło domku myśliwskiego pozostawiając go nietkniętym. Chce się pan tam ze mną wybrać?

- Owszem. Jak tylko się rozmówię z ogrodnikiem.

- To zbędne.

- Słyszałem, że dawał pani synowi klucz do domku. Może wie, po co mu był potrzebny?

- Nie wie. Rozmawiałam z Frycem. To strata czasu, już dość czasu straciłam. Siedziałam przy telefonie i czekałam, aż przyjedziecie.

- Gdzie jest Fryc?

- Uparty pan. Pewnie w pergoli.

Zostawiliśmy Jean, z kredowo białą twarzą i lękiem w oczach, w cieniu werandy. Pergola mieściła się w obmurowanym ogródku za skrzydłem domu. Pani Broadhurst zanurzyła się za mną w pasiasty cień, rzucany przez drewniane łąty, z których zrobiony był daszek.

- Fryc?! Pan Archer chce cię o coś zapytać.

Znad krzewów podniósł się nalany mężczyzna w drelichowych spodniach. Miał niespokojne zielone oczy i posturę człowieka gotowego do uchylenia się przed spodziewanym ciosem. Od ust do nosa biegła sina szrama, każąca się domyślać, że przyszedł na świat z zajęczą wargą.

- Co znowu? - zapytał.

- Próbuję ustalić, w jakim celu Stanley Broadhurst tu przyjechał. Jak pan sądzi, po co mu był klucz od domku myśliwskiego?

Fryc wzruszył bezradnie ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? Nie umiem czytać w myślach.

- Musi pan coś przypuszczać.

Posłał pani Broadhurst nieszczęśliwe spojrzenie.

- Mam sypać?

- Mów prawdę - odpowiedziała z przymusem.

- Oczywiście pomyślałem, że przyjechał z dziewczyną na ksiuty. Po co by tam inaczej jechali?

- Z moim wnukiem? - zapytała pani Broadhurst.

- Chcieli mi małego podrzucić. Ale na głowę nie upadłem, żeby brać taką odpowiedzialność. Łatwo sobie biedy napytać - dokończył z głupawą mądrością.

- Nic o tym nie wspomniałeś, Fryc. Powinieneś mu być powiedzieć.

- Bo to mogę o wszystkim pamiętać?

- Jak się zachowywał chłopiec? - zapytałem.

- Grzecznie. Prawie się nie odzywał.

- Pan też nie jest zbyt rozmowny.

- Czego pan ode mnie chce? Myśli pan, że zrobiłem małemu krzywdę?

Głos mu się załamał, oczy zwilgotniały i nabiegły łzami.

- Nikt tego nie twierdzi.

- To czemu pan się mnie czepia i czepia? Chłopiec był z własnym ojcem. Ojciec go ze sobą zabrał. Ja mam za to odpowiadać?

- Spokojnie.

Pani Broadhurst dotknęła mego ramienia.

- To do niczego nie prowadzi.

Zostawiliśmy rozżalonego ogrodnika z jego krzewami. Pasiasty cień pergoli kładł się na nim jak cień więziennych krat.

Na tyłach domu stała stara czerwona stodoła z wiatą dla aut. Niżej biegł płytki parów, gęsto zarośnięty dębami i eukaliptusami, z łożyskiem wyschłego potoku na dnie. Pod drzewami i przy sporym karmniku kręciły się gołębie z płaskimi ogonami i drozdy o rdzawych skrzydłach i słodkim głosem. Idąc następowałem na owoce eukaliptusów, które wyglądały w pyle jak główki ozdobnych gwoździ z brązu.

Pod wiatą stał nie pierwszej nowości Cadillac i sfatygowana furgonetka. Pani Broadhurst wyprowadziła furgonetkę. Ścinając ostro łuki drogi dojazdowej minęła gaj drzewek awokado i skręciła w lewo w górę. Rosło tutaj trochę wiekowych oliwek, a za nimi zaczynało się dziczące pastwisko, porośnięte krzewami.

Im bliżej końca kanionu, tym silniej uderzał w nozdrza zapach spalenizny. Miałem uczucie, że gwałcimy prawo natury, kierując się ku pożarowi, ale nie zdradzałem się ze

swymi wątpliwościami. Pani Broadhurst nie była kobietą, przed którą człowiek przyznaje się do ludzkich słabości.

Droga pogarszała się w miarę wspinania. Była coraz węższa, najeżona głazami. Pani Broadhurst szarpała kierownicą furgonetki, jakby poskramiała narowistego ogiera. Nie wiedzieć czemu, przypomniał mi się głos pani Armistead w telefonie. Zapytałem panią Broadhurst, czy jej nie zna. Odpowiedziała krótko:

- Z widzenia, z jachtklubu. Czemu?

- Jej nazwisko padło w związku z tą blondynką, przyjaciółką pani syna.

- Jakim związku?

- Używała ich Mercedesa.

- Nie dziwi mnie to powiązanie. Armisteadowie to parweniusze z Południa, nie moja sfera. - Nie zmieniając właściwie tematu ciągnęła: - Rozumie pan, my tu mieszkamy od bardzo dawna. Ranczo mojego dziadka Falconera obejmowało kawał nadbrzeżnej równiny i całe okoliczne góry aż po szczyty pierwszego pasma. Pozostało mi z tego kilkaset akrów.

Nim obmyśliłem stosowną odpowiedź, podjęła rzeczowym tonem:

- Stanley dzwonił do mnie wczoraj wieczorem. Chciał półtora tysiąca dolarów gotówką. Na dzisiaj.

- Na co?

- Tłumaczył coś mętnie o opłaceniu ważnej informacji. Pewnie pan nie wie, że mój syn ma lekkiego bzika na punkcie porzucenia nas przez jego ojca.

Jej głos był suchy, odmierzany.

- Wspominała mi pani synowa.

- Ach tak. Przyszło mi do głowy, że to może mieć coś wspólnego z panem.

- Ale nie ma.

Przed oczyma stanął mi Al, blady mężczyzna w ciemnym garniturze, lecz postanowiłem na razie o nim nie wspominać.

- Kto panu płaci? - zapytała moja towarzyszka dość ostro.

- Jak dotąd nikt.

- Rozumiem. - Zabrzmiało to, jakby jej się nie podobało to, co zrozumiała. - Jest pan blisko z moją synową?

- Poznaliśmy się rano. Ale mamy wspólnych znajomych.

- Więc wie pan pewnie, że są ze Stanleyem o krok od zerwania. Nigdy nie wierzyłam, że to małżeństwo się utrzyma.

- Czemu?

- Jean jest inteligentną dziewczyną, ale pochodzi z zupełnie innej sfery. Myślę, że nigdy nie rozumiała mego syna, chociaż próbowałam ją wprowadzić w nasze tradycje rodzinne. - Oderwała wzrok od drogi, żeby na mnie spojrzeć.. - Czy Stanley interesuje się serio tą dziewczyną?

- Wszystko na to wskazuje. Chociaż niekoniecznie w sensie, w jakim pani myśli. Nie zabieraliby ze sobą małego.

- Niech pan nie będzie taki pewny. Zabrał Ronniego, bo wie, jak go kocham. Potrzebuje ode mnie pieniędzy. Niech pan nie zapomina, że nie zastawszy mnie w domu, chciał go podzucić Frycowi. Dużo bym dała, żeby wiedzieć, co to wszystko znaczy.

ROZDZIAŁ VI

Droga skończyła się u stóp piaskowego urwiska. Pani Broadhurst zaparkowała furgonetkę i wysiedliśmy.

- Dalej musimy pójść pieszo - oznajmiła. - Normalnie moglibyśmy objechać dookoła, tak zwaną Drogą Grzechotników, ale tam się właśnie pali.

Na tle urwiska stała brunatna drewniana tablica z napisem „Szlak Falconera”. Okazało się, że jest to dróżka tonąca w pyle, wyłobiona przez buldożery w stromym zboczu kanionu. Wspinając się przede mną pani Broadhurst poinformowała mnie, że teren pod wytyczenie szlaku ofiarował hrabstwu jej ojciec. Zabrzmiało to, jakby za wszelką cenę szukała sposobu dodania sobie otuchy.

Łykałem pył spod jej stóp, dopóki czubki najwyższych platanów nie zostały w kanionie pod nami. Pięliśmy się dalej, ku blademu księżycowi, wiszącemu nad krawędzią urwiska. Byłem zlany potem, gdyśmy się wreszcie wdrapali na szczyt.

O jakieś sto kroków od skraju urwiska, na tle zagajnika, stał poszarzały sekwojowy domek. Część drzew w zagajniku była osmalona i okaleczona, znacząc błędny szlak pożaru. Sarn domek nie był osmalony, natomiast spryskany czymś czerwonym, jak krwią.

Za zagajnikiem czerniało zbocze, po którym przeszedł cgień. Pięło się ono ku grani, którejdy biegła droga, i przechodziło kawałek dalej w następne zbocze, gdzie w tej chwili szalał pożar. Wyglądało, że ogień posuwa się w poprzek czoła góry. Płomienie, przypominające z oddali wybuchy artyleryjskie, tutaj cwałowały jak szarża kawaleryjska przez gęste zarośla chaparralu.

Grzbiet z biegnącą nim drogą znajdował się mniej więcej w połowie odległości między nami a centrum pożaru. Na wschodzie droga schodziła łukiem ku miejscu, gdzie

podnóże góry rozszerzało się nieoczekiwanie w spory płaskowyż o urwistych krawędziach, z grupką zabudowań wyglądających jak niewielki college. Między nimi a pożarem pelzały tam i z powrotem buldożery wycinające w głębokich zaroślach ogniom. Droga była zastawiona cysternami i innym ciężkim sprzętem, dokoła stali w wyczekujących pozach mężczyźni, jakby łudzili się nadzieją, że nie narzucaniem się i dyskrecją zdołają przebłągać nieproszonego boga ognia, skłonić go, by wyzionął ducha na zboczu.

Zbliżywszy się za panią Broadhurst do domku, zobaczyłem, że dach i ściany są spryskane rozpylanym z samolotu preparatem przeciwpożarowym. Nie splamione czerwienią fragmenty ścian i okiennice były szare od słońca, wiatru i deszczu. W uchylonych drzwiach tkwił klucz Yale.

Pani Broadhurst podchodziła powoli, jakby w obawie, co zastanie w środku. Ale w obszernej wiejskiej izbie od frontu nie było nic nadzwyczajnego. Popiół na kominku dawno ostygł, mógł być wystygły od lat. Staromodne meble stały spowite płóciennymi pokrowcami jak bezkształtne wspomnienia przeszłości.

Pani Broadhurst opadła ciężko na fotel, wzbijając chmurę kurzu. Zakasłała i powiedziała zmienionym głosem, jakby zawstydzona:

- Zdaje się, że za szybko biegłam pod górę.

Poszedłem do kuchni przynieść jej wody. Znalazłem w szafce filiżankę, lecz gdy odkręciłem kran nad cynowym zlewem, okazało się, że wody nie ma. Również kuchenka była odłączona od butli z gazem.

Skoro już tu przyszedłem, obejrzałem dalsze pomieszczenia - dwie sypialnie na parterze i poddasze, na które prowadziły strome drewniane schody. Na poddaszu, oświetlonym przez mansardowe okno, stały trzy przykryte pokrowcami łóżka. Jedno było pogniecione, więc ściągnąłem przykrycie. Na grubym szarym kocu ciemniała rorsachowska plama, niewątpliwie krew, niezbyt dawna, ale i nie pierwszej świeżości.

Zszedłem do izby frontowej. Pani Broadhurst spała z głową na oparciu fotela. Jej nieprzenikniona twarz była teraz gładka i spokojna, z ust dobywało się lekkie chrapanie.

W ciszę wdarło się crescendo nadlatującego nisko samolotu. Wyszedłem tylnymi drzwiami w samą porę, by zobaczyć czerwony welon opadający za samolotem na płonące zarośla. Samolot małał w dali, jego warkot odpływał.

Łozyskiem wyschłego potoku schodziły ku zagajnikowi dwa jelenie, łania z jelenkiem. Zobaczyły mnie, uniosły się jak konie na biegunach i przesadziwszy zwalony pień zniknęły między drzewami.

Zza domku prowadziła zakosami ku przełęczy wąska, wymyta, żwirowa droga. Ruszając nią w stronę zagajnika zauważyłem w trawie ślady kół odchodzące w bok, do małej szopy. Była ich tylko jedna para i wyglądały na świeże, więc podszedłem do szopy i zajrzałem. W środku stał czarny kabriolet ze spuszczonego dachem, przypominający auto Stanleya. W schowku na tablicy rozdzielczej znalazłem dowód rejestracyjny. Wóz był Stanleya.

Zatrzasnąłem drzwiczki. Od strony zagajnika odpowiedziało mi ni to echo, ni wystrzał. Może był to trzask złamanej gałęzi. Ruszyłem w tę stronę. Nie słyszałem nic prócz własnych kroków delikatnego oddechu wiatru w gałęziach. Po chwili rozróżniłem inny szmer, którego nie mogłem początkowo umiejscowić. Przypominał szum skrzydeł. Poczulem na twarzy ciepłe tchnienie i podniosłem głowę ku szczytowi.

Słup dymu, bijący dotąd prosto w niebo, odchylił się od zbocza. Ogień u jego podstawy zmienił kierunek i płonął jaśniej. Języki płomieni przeskakiwały w lewo w dół, drogą wzdłuż przełęczy pędziły im na spotkanie wozy strażackie.

Wiatr się zmieniał. Słyszałem teraz, jak się tłucze wśród liści. Te same odgłosy obudziły mnie przed świtem w Zachodnim Los Angeles. Dobiegły mnie również inne dźwięki - jakby czyjeś poruszenie w zagajniku.

- Stanley? - zawołałem.

Zza plamistego pnia plątana wyszedł mężczyzna w granatowym garniturze i czerwonym kasku ochronnym. Był barczysty, poruszał się z niezdatną lekkością..

- Szuka pan kogoś?

Miał spokojny, chłodny głos: czuło się, że umie nad nim panować.

- Kilku osób.

- Tu nie ma nikogo prócz mnie - powiedział przyjaźnie.

Przez ubranie widać było grę mięśni jego ramion i ud. Twarz miał mokrą, na butach ziemię. Zdjął kask, otarł twarz i czoło wielką kolorową chustką. Miał siwe, krótko ostrzyżone włosy wyglądające jak meszek na głowie niemowlęcia.

Podszedłem bliżej, w konturowy cień plątana, na którego wierzchołku sterczał, zadymiony księżyc, czarno żyłkowany gałązkami. Barczysty mężczyzna ruchem prestidigitatora wydobyl z wewnętrznej kieszeni marynarki paczkę papierosów i podsunął mi pod nos.

- Zapali pan?

- Dziękuję, nie palę.

- Papierosów?

- Tak, rzuciłem.

- A cygar?

- Nigdy nie lubiłem. Cóż to, przeprowadza pan ankietę?

- Można to tak nazwać. - Uśmiechnął się szeroko, pokazując kilka złotych zębów. - A co pan sądzi o cigarillach? Niektórzy palą je zamiast cygar.

- Zauważyłem.

- Z osób, których pan szuka, czy któraś pali cigarilla?

- Nie sądzę. - Ale zaraz przypomniałem sobie Stanleya Broadhursta. - Czemu pan pyta?

- Tak sobie, z ciekawości. - Spojrzał ku szczytowi. - Pożar zaczyna się rozszerzać. Nie podoba mi się ten wiatr. Wygląda na Santa Anę.

- Tak wiało nad ranem na południu.

- Słyszałem. Pan z Los Angeles?

- Tak. - Zachowywał się, jakby miał przed sobą całą wieczność, ale mnie zaczynała nudzić zabawa w kotka myszkę. - Nazywam się Archer. Jestem licencjonowanym detektywem prywatnym. Pracuję dla rodziny Broadhurstów.

- Właśnie się zastanawiałem. Widziałem, jak pan wychodził z szopy.

- Stoi tam wóz Stanleya Broadhursta.

- Witem. Czy Stanley Broadhurst jest jedną z osób, których pan szuka?

- Tak.

- Można zobaczyć pańską licencję? Pokazałem mu fotokopię.

- Zdaje się, że będę mógł panu pomóc.

Zawrócił na pięcie i ruszył wydeptaną ścieżką między drzewami. Liście pod nogami były tak suche, że stąpaliśmy jak po płatkach kukurydzanych. Wyszliśmy na polanę. Wielki platan, tworzący nad jej częścią kopułę, był zwęglony. Jego konary i okoliczne zarośla jeszcze dymiły.

Mniej więcej pośrodku polany ktoś wykopał dół trochę ponad metr. Obok, w kopcu kamienistej ziemi, sterczała łopata. Nie opodal leżała motyka z ostrym końcem unurzonym w czymś, co przypominało ciemnoczerwoną farbę. Z ciężkim sercem zajrzałem do dołu.

W płytkim wykopie leżał w pozycji płodu mężczyzna z twarzą obróconą do góry. Poznałem koszulę w seledynowe paski, wesoly strój do grobu. I mimo że ziemia zatykała mu otwarte usta i zalepiała oczy, poznałem Stanleya Broadhursta. Powiedziałem to barczystemu mężczyźnie, który przyjął wiadomość ze spokojem.

- Czego on tu szukał, nie wie pan?

- Nie wiem. Ale to chyba teren rancza Broadhurstów. Nie powiedział pan jeszcze, czego pan tu szuka.

- Jestem ze Straży Leśnej, nazywam się Joe Kelsey. Mam ustalić przyczynę pożaru. I zdaje się - dodał z naciskiem - że ją ustaliłem. Pożar musiał wybuchnąć w tym rejonie. Oto, co znalazłem. O, tutaj.

Wskazał żółtą plastikową chorągiewkę zatknietą w ziemię o parę kroków od miejsca, gdzie staliśmy. Następnie wyjął mały aluminiowy pojemnik. Otworzył go i pokazał mi na pół wypalone cigarillo.

- Czy Broadhurst palił cigarilla?

- Widziałem go rano z cigarillem. Pewnie znajdzie pan pudełko w jego kieszeni.

- Ta-ak. Nie chciałem go ruszać, dopóki koroner nie obejrzy ciała. Ale będę chyba zmuszony.

Łypnął w górę na ogień błyskający między drzewami jak niewczesny zachód słońca. Czarne sylwetki mężczyzn, którzy się z nim borykali, wydawały się małe i bezradne mimo wspierających ich cystern i buldożerów. Na lewo pożar przelał się już przez przełęcz i słuwał po zboczu jak żrący kwas, który wchłania suche zarośla. Przed nim powiewał pióropusz djanu, który rozsnuwał się chmurą nad miastem i płynął w kierunku oceanu. Kelsey chwycił za łopatę i zaczął zasypywać dół. Nie przeszkodziło mu to w kontynuowaniu rozmowy:

- Parszywa robota, grzebać człowieka drugi raz. Ale lepsze to, niż pozwolić mu się upiec. Ogień zawraca w naszą stronę.

- Znalazł go pan zakopanego?

- Zgadza się. Ale ten, kto go zakopał, nie wysilił się zbytnio. Znalazłem łopatę i zakrwawioną motykę, a obok zasypany dół i resztki ziemi dookoła. Więc zacząłem kopać. Nie wiedziałem, co znajdę, ale czułem przez skórę, że to będzie trup z dziurą w głowie.

Pracował szybko. Ziemia pokryła pasiastą koszulę Stanleya i jego obrażoną twarz, wpatrzoną w niebo. Kelsey zwrócił się do mnie przez ramię:

- Mówił pan, że szuka pan kilku osób. Kim są pozostałe?

- Jedną jest synek zabitego. Poza tym była z nimi dziewczyna.

- Słyszałem. Mógłby pan ją opisać?

- Blondynka, niebieskie oczy, metr sześćdziesiąt kilka wzrostu, pięćdziesiąt parę kilo wagi, jakieś osiemnaście lat. Żona Broadhursta może panu powiedzieć więcej. Czeka na ranczu.

- Gdzie pan zestawił auto? Ja przyjechałem wozem strażackim.

Powiedziałem, że przywiozła mnie furgonetką matka Stanleya, która jest w domku. Kelsey przestał zagarniać ziemię. Na jego ociekającej potem twarzy odmalowało się lekkie zdziwienie.

- Cóż ona tam robi?

- Odpoczywa.

- Będziemy jej musieli przerwać odpoczynek. Ogień w zaroślach za zagajnikiem wzbijał się prawie na wysokość drzew. Powietrze uderzało falami, jak gorący zwierzęcy dech.

Puściliśmy się biegiem w dół, Kelsey z łopata, ja z motyką, która zrobiła się nieźno ciężka, nim dobiegliśmy do domku. Postawiłem ją przy drzwiach i zastukawszy wszedłem. Pani Broadhurst poderwała się na fotelu. Miała zaróżowioną twarz i powieki ciężkie od snu. Jej głos też był podszyty snem.

- Musiałam się zdrzemnąć, proszę mi wybaczyć. Ale miałam taki słodki sen. Spędziłam... spędziliśmy tutaj nasz miodowy miesiąc w tym domku. Była wojna, sam początek, i o podróży poślubnej nie było co marzyć. Śniło mi się, że to nasz miodowy miesiąc i nic złego jeszcze się nie wydarzyło.

Jej rozmarzone oczy zatrzymały się na mojej twarzy i wyczytały z niej to, czego nie potrafiłem ukryć - zapowiedź, że znowu wydarzyło się coś złego. Przeniosła wzrok na Kelseya z łopata w ręku. Wyglądał jak nadnaturalnej wielkości grabarz, przesłaniający światło w drzwiach. Siłą woli przywołała na twarz zwykły wyraz rezerwy. Podniosła się szybko z fotela, o mało nie tracąc równowagi.

- Pan Kelsey? Pan Kelsey, prawda? Co się stało?

- Znaleźliśmy pani syna.

- Gdzie jest? Chcę z nim mówić.

- Niestety, to niemożliwe, proszę pani - powiedział zmieszany Kelsey.

- Czemu? Poniosło go gdzieś znowu? Kelsey posłał mi błagalne spojrzenie. Pani Broadhurst podeszła do nas.

- Co pan robi z tą łopata? To moja łopata, prawda?

- Tego nie wiem, proszę pani. Wzięła łopate.

- Tak, nie ma wątpliwości. Kupiłam ją zeszłej wiosny. Skąd pan ją ma? Od mojego ogrodnika?

- Znalazłem ją w tamtej kępie drzew. Wskazał ręką.

- Skąd się tam wzięła?

Kelsey poruszył bezgłośnie ustami. Nie chciał czy nie miał odwagi powiedzieć jej, że Stanley nie żyje. Zrobiłem krok w jej stronę i powiedziałem, że jej syn został zamordowany, prawdopodobnie motyką. Wszedłem na dwór, żeby jej pokazać narzędzie zbrodni.

- To też pani własność? Spojrzała tępo.

- Chyba tak.

Powiedziała to cicho, bezbarwnie, niemal szeptem. Raptem się odwróciła i puściła biegiem w stronę płonących drzew, potykając się na wysokich obcasach butów do konnej jazdy. Kelsey pobiegł za nią, ciężko i ręczo lak niedźwiedź. Złapał ją wpół, uniósł i odwrócił od pożaru. Kopiając krzyczała:

- Puszczaj! Chcę do mojego syna!

- Jest pochowany, proszę pani. Nie może tam pani teraz iść. Nikt nie może. Ale ciała nic się nie stanie. Jest bezpieczne pod ziemią.

Wywinęła się w jego objęciach i uderzyła go w twarz. Puścił ją. Upadła w poźółkłe zielsko i biła pięściami w ziemię, krzycząc, że chce do swojego syna.

Ukląłem przy niej i perswadowałem dopóty, dopóki nie wstała i nie poszła z nami. Schodziliśmy do kanionu gęsiego, Kelsey przodem, pani Broadhurst - za nim. Ja trzymałem się tuż za nią, na wypadek, gdyby jej strzelił do głowy pomysł rzucenia się w przepaść. Ale maszerowała biernie, ze zwieszoną głową jak więzień pod strażą.

ROZDZIAŁ VII

Kelsey niósł łopatę w jednej ręce, a motykę w drugiej. Wrzucił je na tył furgonetki i pomógł pani Broadhurst wsiąść do szoferki. Ja usiadłem przy kierownicy.

Jechała między nami w milczeniu, wpatrzona w kamienistą drogę. Mogło się wydawać, że nie oddycha, dopóki nie skręciliśmy przy skrzynce na listy w gaj awokado. Wtedy wyrwało jej się z piersi westchnienie brzmiące tak, jakby przez cały czas jazdy kanionem wstrzymywała dech.

- Gdzie mój wnuk?

- Nie wiemy, proszę pani - odrzekł Kelsey.

- Znaczy, że też nie żyje? To pan chciał powiedzieć? Dla złagodzenia odpowiedzi Kelsey uciekł się do miękkiego południowego akcentu:

- Chciałem tylko powiedzieć, że przepadł jak kamień w wodę.

- A ta dziewczyna? Co się z nią stało?

- Ba, żebyśmy wiedzieli.

- To ona zabiła mojego syna?
- Na to wygląda. Musiała go rąbnąć motyką w głowę, proszę pani.
- I pochować?
- Znalazłem go zakopanego.
- Jak mogła go pochować dziewczyna?
- Grób był bardzo płytki. Zresztą dziewczyny potrafią zrobić prawie wszystko to, co chłopcy, proszę pani, kiedy im na czymś naprawdę zależy.

Pod naporem indagacji i udzielającego się strachu pani Broadhurst głos Kelseya przerodził się niemal w jęk. Obróciła się niecierpliwie do mnie.

- Panie Archer, czy Ronnie nie żyje?
- Żyje - powiedziałem stanowczo, dla odżegnania ponurej ewentualności.
- Czy ta dziewczyna go porwała?
- Musimy się z tym liczyć. Ale mogli po prostu uciec przed pożarem.
- Wie pan dobrze, że tak nie jest.

Zabrzmiało to, jakby przekroczyła życiowy rubikon, za którym nic dobrego już jej nie czeka.

Zatrzymałem furgonetkę za Mercedesem na podjeździe. Kelsey wysiadł i chciał pomóc pani Broadhurst, ale odepchnęła jego rękę. Wysiadła jak kobieta nagle przygnieciona wiekiem.

- Może pan odstawi wóz na miejsce - powiedziała do mnie. - Nie lubię, jak auta stoją na słońcu.

- Przepraszam - wtrącił się Kelsey - ale lepiej zostawić wóz tutaj. Pożar schodzi w dół, może dotrzeć do domu. Pomogę pani wynieść trochę rzeczy, jeśli pani chce, i poprowadzę jedno z aut.

Pani Broadhurst omiotła powolnym spojrzeniem dom i otoczenie.

- Nigdy nie było tu pożaru za mojej pamięci.
- Tym gorzej - odrzekł. - Znaczy, że sytuacja dojrzała. Zarośla w górze kanionu rozrosły się na pięć, sześć metrów i są suche jak wiór. To pożar, jaki się zdarza raz na pięćdziesiąt lat. Może strawić dom i wszystko, jeśli wiatr się nie odwróci.

- Więc niech trawi.

Jean wyszła z ociąganiem na nasze spotkanie, jakby przeczuwając, z czym przyjeżdżamy. Powiedziałem, że jej mąż nie żyje, a syna nie odnaleźliśmy. Kobiety wymieniły badawcze spojrzenia, jakby chciały sobie nawzajem zajrzeć w duszę. Popchnięte jednym impulsem spotkały się w drzwiach i padły sobie w ramiona.

Kelsey wszedł za mną na werandę. Zsunął kask na tył głowy i zwrócił się do młodszej z kobiet, która stała z twarzą widoczną nad ramieniem starszej:

- Pani jest żoną Stanleya Broadhursta?

- Tak.

- Podobno może pani podać rysopis dziewczyny, która była z pani mężem.

- Spróbuję.

Wyswobodziła się z objęć teściowej, która zaraz weszła do domu. Jean oparła się o poręcz koło karmnika dla kolibrów. Nad uchem zafurkotał jej ptaszek. Odsunęła się na drugi koniec werandy i usiadła w ogrodowym fotelu. Pochylona, pełna napięcia powtórzyła Kelseyowi opis jasnowłosej dziewczyny o dziwnych oczach.

- Mówi pani, że ma jakieś osiemnaście lat? Kiwnęła głową. Jej reakcje były szybkie, lecz automatyczne, jakby myślą była gdzie indziej.

- Czy pani mąż interesuje... interesował się nią?

- Oczywiście - odparła suchym, gorzkim głosem. - Ale mam wrażenie, że ona interesowała się bardziej moim synem.

- W jakim celu?

- Tego nie wiem.

Kelsey przerzucił się na mniej drażliwy temat.

- Jak była ubrana?

- Wczoraj wieczorem miała na sobie żółtą sukienkę bez rękawów. Dzisiaj jej nie widziałam.

- Ja ją widziałem - wtrąciłem się. - Była w tej samej sukience. Sądzę, że pan to wszystko przekaże policji.

- Tak jest. Ale najpierw chcę porozmawiać z ogrodnikiem. Może będzie nam mógł powiedzieć, w jaki sposób znalazła się na górze łopata i motyka. Jak on się nazywa?

- Frederick Snow. Nazywamy go Frycem - odpowiedziała Jean. - Ale nie ma go tutaj.

- A gdzie jest?

- Pojechał na dół na starym rowerze Stanleya. Jakies pół godziny temu, kiedy wiatr się zmienił. Chciał wziąć Cadillaka mojej teściowej, ale mu nie pozwoliłam.

- Nie ma własnego auta?

- Ma zdaje się jakiegoś grata.

- I co się z nim stało? Wzruszyła lekko ramionami.

- Nie wiem.

- Gdzie Fryc był rano?

- Nie potrafię panu powiedzieć. Był tu chyba sam przez większą część przedpołudnia.

Twarz Kelseya spoważniała.

- Jak żył z pani małym?

- Dobrze. - Lecz po chwili dotarł do niej sens pytania i przyćmił jej wzrok. Potrząsnęła głową, jakby chcąc odepchnąć ponurą myśl, rozproszyc ciemności. - Fryc nie zrobiłby Ronniemu krzywdy. Był dla niego zawsze bardzo dobry.

- Więc czemu uciekł?

- Mówił, że niepokoi się o swoją matkę. Ale myślę, że bał się pożaru. Był bliski płaczu.

- Ja też się boję pożaru - powiedział Kelsey. - Dlatego się tym zajmuję.

- Jest pan z policji? - zapytała Jean. - Dlatego wypytuje mnie pan o to wszystko?

- Jestem ze Straży Leśnej, ustalam przyczyny pożarów. - Wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni, wyjął aluminiowy pojemnik i pokazał jej na pół wypalone cigarillo. - Czy to mogło należeć do pani męża?

- Owszem. Ale nie zamierza pan chyba dowodzić, że to on spowodował pożar. To by się miało z celem, skoro nie żyje.

W jej głosie zawibrowała niekontrolowana nutka.

- Chodzi o to, że ten, kto go zabił, prawdopodobnie wytrącił mu cigarillo w wysuszone runo. Jest karnie i finansowo odpowiedzialny za pożar. Do mnie należy ustalenie faktów. Gdzie mieszka Fryc Snow?

- Ze swoją matką. Gdzieś niedaleko stąd. Moja teściowa powie panu dokładnie. Pani Snow kiedyś u niej służyła.

Znaleźliśmy panią Broadhurst w salonie, stojącą przy narożnym oknie, z którego rozciągał się widok na cały kanion. Pokój był tak duży, że wydawała się zagubiona na jego końcu. Nie odwróciła się, gdyśmy podeszli. Obserwowała rozszerzanie się pożaru, który dotarł już do szczytu kanionu i spływał w dół jak gorejąca lawa, plując dymem i iskrami wysoko nad wierzchołki drzew. Eukaliptusy za domem białły w oczach owiewane palącymi porywami wiatru. Drozdy i gołębie odleciały.

Wymieniłem z Kelseym spojrzenia. Była najwyższa pora do odwrotu. Pozwoliłem mu mówić - był to jego teren i jego kompetencje.

- Proszę pani - powiedział do nieruchomych pleców pani Broadhurst. - Nie sądzi pani, że czas się zbierać?

- Wy jedźcie. Proszę. Ja na razie zostanę.

- Nie może pani tego zrobić. Z ogniem nie ma żartów. Obróciła się do niego. Zobaczył, że policzki jej zapadły, nadając twarzy surowy starczy wygląd.

- Nie będzie mi pan mówił, co mogę, a czego nie mogę. Urodziłam się w tym domu. Nigdy nie mieszkałam nigdzie indziej. Jeśli dom diabli wezmą, mogą równie dobrze wziąć i mnie. Wszystko inne już wzięli.

- Nie mówi pani serio, proszę pani.

- Nie mówię?

- Nie chce pani chyba ginąć w płomieniach?

- Myślę, że przyjąłabym je prawie z radością. Jest mi przeokropnie zimno, panie Kelsey.

Jej ton był tragiczny, ale była w nim również nutka hysterii. A może coś gorszego - upór świadczący, że w jej umyśle przeskoczył jakiś trybik i zaklinował się pod niebezpiecznym kątem.

Kelsey rozejrzał się z rozpaczą po salonie. Było w nim za dużo wiktoriańskich mebli, ciemnych wiktoriańskich portretów na ścianach, oszklonych gablot pełnych wypchanych ptaków kalifornijskich.

- Nie chce pani ratować tego wszystkiego? Swoich sreber, zbiorów ornitologicznych, obrazów, pamiątek?

Rozpostarła dłonie bezradnym ruchem, jakby wszystko już dawno przeciekło jej przez palce. Jasne było, że odwoływanie się do martwych odprysków jej życia nie prowadzi do niczego. Wtrąciłem się:

- Potrzebna nam pani pomoc. Spojrzała na mnie lekko zaskoczona.

- Moja pomoc?

- Zaginął pani wnuczek. To nie najlepszy czas i miejsce dla małego chłopca.

- To kara Boska za moje grzechy!

- Nonsens.

- Więc wygaduję nonsensy, tak? Zignorowałem gniewne pytanie.

- Ogrodnik Fryc może wiedzieć, gdzie jest mały. Podobno zna pani jego matkę. Czy tak?

Odpowiedź nadeszła nie od razu.

- Edna Snow była u nas gosposią. Chyba nie myśli pan, że Fryc...

Urwała, niezdolna wypowiedzieć pytania..

- Bardzo by nam pomogło, gdyby pani pojechała z nami pomówić z Frycem i jego matką.

- Dobrze, pojedę.

Wyjechaliśmy z podjazdu na drogę jak kondukt pogrzebowy. Pani Broadhurst otwierała pochód w swoim Cadillaku. Ja z Jean jechałem za nią zielonym Mercedesem. Zamykał kondukt Kelsey za kierownicą furgonetki.

Mijając skrzynkę przy rozgałęzieniu obejrzałem się. Miecione wiatrem z góry kanionu iskry i sadze spadały na drzewa za domem jak jaskrawe egzotyczne ptaki zajmując miejsce tych, które odleciały.

ROZDZIAŁ VIII

Osiedle „willowe nazwane Canyon Estates było niemal doszczętnie wyludnione. Tylko na paru dachach uwijali się jeszcze mężczyźni z wężami w dłoni i wyrazem uporu na twarzy. U wylotu kanionu, gdzie krzyżowały się dwie drogi, pani Broadhurst skręciła w prawo. W tej stronie zabudowa raptownie zmieniała charakter. Przy krawężnikach stały murzyńskie i latynoskie dzieci, gapiące się na nas jak na orszak zagranicznych dostojników.

Pani Snow mieszkała na uliczce starych, białych tynkowanych domków, które wydawały się niemal ładne wśród kwitnących jakarand. Podeszliśmy z Kelseyem i panią Broadhurst do jednego z domków. Jean została w Mercedesie.

- To ponad moje siły - oświadczyła. Pani Snow okazała się ruchliwą siwowłosą kobietą w wymyślnej czarnej sukni, jakby się wystroiła na nasze przyjęcie. Zza okularów bez oprawy patrzyły ciemne oczy, twardym spojrzeniem pokrywające niepokój.

- Pani Broadhurst? Co panią tu sprowadza? - Nie robiąc najmniejszej przerwy ciągnęła spieszenie dalej, jakby wołała nie wiedzieć: - Bardzo mi miło. Proszę do środka.

Drzwi wejściowe prowadziły prosto do skromnego pokoju. Pani Broadhurst przedstawiła nas, ale pani Snow nawet nie spojrzała w naszą stronę, jakby nie przyjmowała do wiadomości faktu naszego przybycia. Skupiła całą uwagę na pani Broadhurst.

- Czym mogę panią poczęstować? Filiżanką dobrej herbaty?

- Nie, dziękuję. Gdzie jest Fryc?

- Pewnie w swoim pokoju. Biedny chłopiec nie czuje się zbyt dobrze.

- Fryc już dawno nie jest chłopcem - powiedziała pani Broadhurst.

- Owszem, emocjonalnie jest - poprawiła matka. - Doktor twierdzi, że jest emocjonalnie niedojrzały.

Zerknęła na Kelseya i na mnie, czy to do nas dotarło. Zanosilo się na próbę zasłaniania syna niepoczytalnością.

- Niech pani go sprowadzi - powiedziała pani Broadhurst.

- W obecnym stanie nie nadaje się do ludzi. Jest zupełnie wytrącony z równowagi.

- Czym?

- Pożarem. Od małego bał się ognia. - Posłała nam znowu badawcze spojrzenie. -

Panowie z policji?

- Niezupełnie - odparłem. - Ja jestem detektywem, a pan Kelsey jest ze Straży Leśnej.

Ustala przyczynę pożaru.

- Rozumiem. - Jej drobne ciało jeszcze się skurczyło; zrobiło się przez to jakby cięższe, masywniejsze. - Nie wiem, w co Fryderyk jest zamieszany, ale mogę panów zapewnić, że jest niewinny.

- A jest w coś zamieszany? - spytał Kelsey.

- Chyba panowie wiedzą. Inaczej by was tu nie było. Ja nie wiem.

- Więc dlaczego pani uważa, że jest w coś zamieszany?

- Opiekuję się nim od trzydziestu pięciu lat.

Jej wzrok uciekł w głąb, jakby dokonywała przeglądu tych wszystkich lat i wszystkich sprawek syna. Pani Broadhurst wstała.

- Tracimy czas. Jeśli pani go nie sprowadzi, pójdziemy porozmawiać do jego pokoju.

Muszę wiedzieć, gdzie jest mój wnuk.

- Ronnie? - krucha kobieta była wyraźnie poruszona. - Co się z nim stało?

- Zniknął. A Stanley nie żyje. Ktoś go pochował moją własną łopatą.

Pani Snow podniosła palce do ust. W ciało serdecznego, jak blizna, wrosnięta była złota obrączka.

- Pochował? W ogrodzie?

- Nie. W górze kanionu.

- I pani myśli, że to Fryderyk?

- Nie wiem. Wtrąciłem się:

- Liczymy, że pani syn będzie nam mógł coś na ten temat powiedzieć.

- Rozumiem. - Jej twarz rozbłysła nieoczekiwanie, jak światło na ułamek sekundy przed, awarią. - Zapytam go. Mnie się nie boi, wydostanę od niego więcej niż ktoś obcy.

Pani Broadhurst potrząsnęła głową i ruszyła do drzwi w głąbi. Pani Snow poderwała się jak tancerka, żeby jej zagrozić drogę. Cofając się tyłem ku drzwiom, mówiła spiesznie:

- Proszę nie wchodzić do jego pokoju. Jeszcze tam nie sprzątnęłam” a Fryderyk nie nadaje się dzisiaj do ludzi. Znajduje się w okropnym stanie.

- Stanley też - odparła pani Broadhurst gardłowym głosem. - Wszyscy jesteśmy w okropnym stanie.

Zachwiała się, już nie pierwszy raz i o mało nie straciła równowagi. Usta jej wykrzywił półśmiech, jakby nam chciała splatać figła. Pani Snow, zmienna i ruchliwa jak żywe srebro, znalazła się momentalnie u jej boku. Ujęła ją pod ramię i posadziła na sfatygowanym fotelu na biegunach.

- Słabo pani - powiedziała. - Nic dziwnego, jeśli to wszystko prawda. Przyniosę wody. A może jednak filiżankę herbaty?

W jej głosie była nieklamana troska, ale nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że mamy do czynienia z mistrzynią w taktyce zwodów. Wodziłaby nas za nos przez tydzień, gdybyśmy dali się nabrać na jej gierki.

Wpakowałem się do kuchni i zawołałem jej syna po imieniu. Zza drzwi w głębi doszła przytłumiona odpowiedź. Zapukawszy zajrzałem do środka. W pokoju wisiała zatęchła, słodkawa woń. W pierwszej chwili dojrzałem tylko wąskie pasmo słońca, wpadające przez szparę w spuszczonej harmonijce rolety. Przeszywało pokój jak klinga magika kosz, w którym się zdematerializowała jego partnerka. Jakby chcąc się naprawdę zdematerializować, w najdalszym kącie żelaznego łóżka kulił się z podwiniętymi nogami ogrodnik.

- Przepraszam, że cię niepokoję, Fryc.

- Nie szkodzi - powiedział z rezygnacją w głosie. Usiadłem w nogach łóżka, twarzą do niego.

- To ty zaniósłeś rano łopatę i motykę w górę kanionu?

- W górę kanionu? - powtórzył.

- Tak, do domku myśliwskiego. Ty zaniósłeś? Zastanowił się, nim odpowiedział:

- Nie-e.

- A wiesz, kto zaniósł?

- Nie-e.

Ale uciekł oczyma przed moim wzrokiem. Nie umiał kłamać. W drzwiach jak cień pojawił się Kelsey. Jego szeroka twarz była wyprana z wyrazu, wyczekująca.

- Łopata i motyka - powiedziałem do Fryca - posłużyły do pochowania Broadhursta. Jeśli wiesz, kto je zaniósł na górę, to prawdopodobnie wiesz, kto zabił Stanleya.

Potrząsnął głową tak gwałtownie, że mu się twarz rozmazała w niewyraźną plamę.

- Sam je wziął, jak przyszedł po klucz. Włożył je do auta.

- Czy aby na pewno, Fryc?

- Jak Boga jedyne go kocham. Zrobił palcem znak krzyża na piersi.

- Dlaczego nie powiedziałaś od razu?

- Bo mi zabronił.

- Stanley ci zabronił?

- Ta-ak. - Kiwnął dogłębnie głową. - Dał mi dolara i kazał przyrzec, że nikomu nie pisnę słówka.

- Nie powiedział, dlaczego?

- Nie musiał mówić. Wiadomo, boi się matki. Ona bardzo nie lubi, jak ruszać jej narzędzia.

- A nie mówił, po co mu narzędzia?

- Powiedział, że idzie szukać grotów.

- Grotów? I uwierzyłeś mu?

- Uwierzyłem. Często wykopujemy tu indiańskie groty.

- A potem pojechał autem w górę?

- Ta-ak.

- Z dziewczyną i małym?

- Ta-ak.

- A dziewczyna nic nie mówiła?

- Wtedy nie.

- Co znaczy wtedy nie? Mówiła kiedy indziej?

- Nie-e. W ogóle nie mówiła.

Ale jego oczy znów uciekły w bok. Zatrzymały się na klingach światła przewiercającego pokój, które wyciągały się ku niemu jak memento racjonalnego świata.

- Kiedy ją widziałeś po raz drugi, Fryc?

Na chwilę zastygł w milczeniu. Wydawało się, że jego oczy są jedynymi żywymi istotami w pokoju. W progu za Kelseyem stanęła pani Snow.

- To bezprawie - powiedziała do mnie. - Narusza pan jego prawa. Nic, co powie, nie może być użyte przeciwko niemu. Zresztą jest niepoczytalny, mogę to udowodnić świadectwami lekarskimi.

- Więc zakłada pani, że zrobił coś złego? - zapytałem.

- A nie zrobił?

- Nic o tym nie wiem. Teraz proszę wyjść i pozwolić mi spokojnie porozmawiać z synem. Jest ważnym świadkiem.

ROZDZIAŁ IX

Posiała synowi smutne, powątpiewające spojrzenie. Ale gdy je odwzajemnił, wycofała się do kuchni. Po chwili usłyszałem nalewanie wody do garnka, a potem plumpnięcie zapalanego gazu.

- Więc dziewczyna wróciła, Fryc? Kiwnął głową.

- Kiedy?

- Koło południa, może trochę później. Jak raz jadłem śniadanie.

- I co powiedziała?

- Że Ronnie jest głodny. Dałem mu pół kanapki z masłem fistaszkowym. Drugą połówkę dałem jej.

- Nie mówiła nic o Stanleyu?

- Nie-e. Nie pytałem jej. Ale była wystraszona.

- Powiedziała ci to?

- Nie potrzebowała mówić. Sam wiem. Mały też był wystraszony. Widziałem.

- I co było dalej?

- Nic. Wróciła do miasta.

- Na piechotę?

- Ta-ak.

Ale jego oczy znów uciekły przed moimi.

- Nie wzięła przypadkiem twego auta?

Spuścił niżej głowę. Trwał chwilę w bezruchu, jak joga wpatrzony we własne wnętrze.

- Więc dobrze, wzięła. Odjechali moim autem.

- Dlaczego nie powiedziałeś tego za pierwszym razem?

- Wyleciało mi z pamięci. Nawoziłem grządki, miałem co innego na głowie.

- Nie kręć, Fryc. Mały zniknął, jego ojciec nie żyje.

- Ja go nie zabiłem!

- Skłonny jestem ci wierzyć. Ale nie wszyscy w to uwierzą.

Wyciągnął szyję i spojrzał Kelseyowi przez ramię. Jego matka krzątała się po kuchni. Wsluchiwał się chwilę w odgłosy krzątania, jakby chciał z niej wywnioskować, co ma mówić i myśleć.

- Nie oglądaj się na matkę, Fryc. To jest sprawa między nami dwoma.

- Więc niech pan zamknie drzwi. Nie chcę, żeby słyszała. On też nie.

Kelsey wycofał się do kuchni zamykając za sobą drzwi. Obróciłem się z powrotem do Fryca.

- Więc pozwoliłeś jej wziąć swój wóz?

- Ta-ak. Powiedziała, że pan Broadhurst sobie tego życzy.

- No-o, Fryc. To chyba nie wszystko. Wstyd zabarwił mu twarz.

- A nie powie pan jej?

Zrobił nieokreślony ruch w kierunku kuchni.

- Czego mam nie mówić? - zapytałem.

- Że dała mi się pomacać - powiedział i dreszcz go przeszedł na to wspomnienie czy może tylko wyobrażenie. Na jego zdeformowanych wargach wykwitł uśmiech, ale w oczach czaił się nadal smutek. Wie pan, ona jest podobna do jednej dziewczyny, którą kiedyś znałem.

- I dlatego pozwoliłeś jej wziąć wóz?

- Obiecała oddać. Ale dotąd nie oddała - dodał zmartwionym tonem.

- Nie mówiła, dokąd jedzie?

- Nie-e. - Znieruchomiał na chwilę, jakby nasłuchując. - Ale słyszałem, jak pojechała w dół.

- Z chłopcem?

- Ta-ak. Kazała mu jechać.

- A nie chciał?

- Nie. - Potrząsnął głową tak gwałtownie, jakby to chodziło o niego. - Zmusiła go.

- W jaki sposób?

- Powiedziała, że porwie go czarny lud, jak z nią nie pojedzie. A potem zapakowała go do auta i pojechali.

Wyjąłem notes i pióro.

- Co to za auto?

- Chevrolet, model 1953. Ale chodzi dobrze.

- Jakiego koloru?

- Częściowo jeszcze niebieski, a częściowo zagruntowany na czerwono. Zacząłem malować, ale miałem za dużo roboty.

- Jaki ma numer?

- O to musi pan zapytać matki. Ona pilnuje takich rzeczy. Tylko niech pan jej nie mówi.

Dotknął palcami ust.

Wyszedłem do kuchni. Pani Snow stała przy kuchence gazowej nalewając wrzątek do brązowego imbryczka. Okulary zaszyły jej parą, ślepiła znad nich z trwogą zaskoczonego krótkowidza.

- Dziewczyna zabrała auto syna - powiedziałem. Postawiła ze stukiem imbryczek.
- Wiedziałam, że coś zbroił.
- Nie o to chodzi, proszę pani. Potrzebny mi numer wozu, żeby zarządzić alarm.
- Co oni zrobią Fryderykowi?
- Nic. Proszę o ten numer.

Poszperała w kuchennej szufladzie, znalazła stary notes oprawny w skórę, i przeczytała na głos:

- IKT czterysta czterdzieści siedem.

Zapisawszy numer, wróciłem do frontowego pokoju i zdałem sprawę Kelseyowi. Pani Broadhurst siedziała bezwładnie w fotelu. Na twarzy miała wypieki, oczy w półprzymknięte.

- Co jej jest? Piła? - zapytałem Kelseya.
- Nic o tym nie wiem.

Pani Broadhurst westchnęła i chciała wstać, ale opadła z powrotem na fotel, który zaskrzypiał pod jej ciężarem. Z kuchni wsunęła się tyłem pani Snow balansując tacą, na której był brązowy imbryczek, dzbanuszek mleka, cukiernica... i biała porcelanowa filiżanka ze spodeczkiem, tak cienkie, jakby zaczynały się przecierać od długiego używania. Postawiła tacę na stoliku koło fotela na biegunach i naląła herbaty. Z boku widać było przez filiżankę, jak wewnątrz podnosi się ciemny poziom płynu.

- Łyczek herbaty dobrze robi na wszystkie dolegliwości - zwróciła się do pani Broadhurst z wymuszoną wesołością. - Rozjaśni pani umysł, przywróci siły. Pamiętam, że pani pije herbatę z mlekiem i cukrem, prawda?

- To ładnie z pani strony - powiedziała pani Broadhurst chrapliwym głosem.

Sięgnęła po filiżankę, ale ręka opadła jej szerokim, bezwładnym gestem, zmiatając z tacy herbatę, mleko i cukier. Pani Snow osunęła się na kolana i jęła zbierać skorupy filiżanki, jakby to było naczynie kultowe. Potem pobiegła po ścierkę do kuchni i zabrała się do osuszania wyświechtanego dywanu. Kelsey podniósł panią Broadhurst i podtrzymał, żeby się nie osunęła z fotela.

- Kto jest jej lekarzem? - zapytałem panią Snow.
- Doktor Jerome. Mam znaleźć numer?
- Niech pani zadzwoni sama.
- I co mu powiedzieć? Że co jej jest?
- Nie wiem. To może być atak serca. Niech pani na wszelki wypadek wezwie także pogotowie.

Stała chwilę bez ruchu, jakby jej zdolność reagowania się wyczerpała. Potem wyszła do kuchni i słyszałem, jak nakręca numer.

Zaczynałem się niecierpliwić. Najważniejszy był chłopiec, a minęło już ładne parę godzin, odkąd Susan go zabrała. Podałem Kelseyowi numer auta ogrodnika i podsunąłem myśl o zarządzeniu alarmu. Kiedy poszedł dzwonić do szeryfa, wyszedłem przed dom.

Jean spacerowała tam i z powrotem po splekanym chodniku. W króciutkiej spódniczce i białych pończochach na długich nogach, przypominała trochę arlekina. Była jak smutny kłown, zagubiony na tej ubogiej uliczce, pod zadymionym niebem.

- Na miłość Boską, co się tu dzieje? Powiedziałem jej, czego się dowiedziałem od ogrodnika, i poinformowałem, że jej teściowa zasłała.

- Nigdy w życiu nie chorowała.

- Teraz zachorowała. Wezwaliśmy pogotowie. Mówiąc to usłyszałem zawalenie syreny jak głos ze złego snu.

- Co mam robić? - zapytała Jean bezradnie.

- Jechać z nią do szpitala.

- A pan gdzie jedzie?

- Jeszcze nie wiem.

- Wolałabym jechać z panem.

Nie bardzo wiedziałem, do czego zmierza, a ona też chyba nie. Dałem jej swój bilet wizytowy wraz z uniwersalną odpowiedzią:

- Będę z panią w kontakcie. Proszę mi dać znać, gdzie pani szukać.

Popatrzyła na bilet, jakby był wydrukowany w obcym języku.

- Zostawia mnie pan.

- Nie. Co pani przyszło do głowy?

- Chce pan pieniędzy, tak?

- Mogę poczekać.

- Więc czego pan ode mnie chce?

- Niczego.

Zmierzyła mnie niedowierzającym spojrzeniem. Wiedziała swoje. Ludzie zawsze czegoś chcą.

Zza rogu wyjechała karetka. Jej zwierzęcy jęk przeszedł w pomruk i zamarł w połowie ulicy.

- To dom Snowów?! - zawołał do nas kierowca.

Potwierdziłem. Kierowca z pomocnikiem weszli z noszami do środka i wynieśli panią Broadhurst. Kiedy ją wnosili do karetki, uniosła się na noszach.

- Kto mnie pchnął?

- Nikt, kochana - odparł kierowca. - Damy pani trochę tlenu, zaraz się pani lepiej poczuje.

Nie patrząc na mnie, Jean powiedziała:

- Pojadę za nimi jej wozem. Nie może jechać do szpitala sama.

Doszedłem do wniosku, że najwyższy czas odstawić Mercedesa pani Armistead. Kelsey wskazał mi Crescent Drive na pierwszym zbieżeniu za miastem. Nad stokiem wisiał gęsty dym, przesłaniający większą część nieba. Kelsey obrócił się do mnie. Oczy miał zwężone od wpatrywania się w dal, dookoła sieć drobnych zmarszczek.

- Radzę uważać, jeśli pan się tam wybiera. Pożar nadal się rozszerza.

Obiecałem uważać.

- Podrzucić pana gdzieś? - zapytałem.

- Dziękuję. Wrócę do miasta furgonetką. Przedtem chcę jeszcze pomagłować Fryca.

- Nie wierzy mu pan?

- O tyle, o ile. Nigdy nie wydobędzie się wszystkiego za pierwszym razem.

Zawrócił w kierunku domu. W obramowaniu drzwi stała pani Snow jak przekwitła westalka strzegąca świątyni.

ROZDZIAŁ X

Jadąc na Crescent Drive włączyłem w Mercedesie radio. Było nastawione na miejscową stację, która nadawała bez przerwy komunikaty ogniowe. Grzechotnik, jak spiker ochrzcił pożar, zagrażał całej północno-wschodniej części miasta, z której już ewakuowano setki mieszkańców. Do pomocy ściągano skoczków spadochronowych i duże ilości ciężkiego sprzętu z okolicznych miejscowości. Ale jeżeli nie przestanie wiać Santa Ana, ostrzegł spiker, Grzechotnik może pochłonąć całe miasto aż do oceanu.

Willa Armisteadów stała podobnie jak dom pani Broadhurst na zagrożonym terenie. Zaparkowałem Mercedesa na podjeździe, obok czarnego Lincoln Continental. Pożar był tak blisko, że zgasiwszy motor poczułem drganie powietrza. Na czarny asfalt podjazdu prószył popiół przypominający drobny szary śnieżek. Z tyłu posesji słychać było ciekącą wodę.

Biały parterowy dom miał, jak klasyczna świątynia, gaj cyprysowy za tło. Był tak znakomicie wyważony, że dopiero obszedłszy go zdałem sobie sprawę z jego rozmiarów. Po

drodze minąłem piętnastometrowy basen, z leżącym na dnie, jak bezgłowy tors kobiety, futrem z szafirowych nerek, przygwożdżonym czymś wyglądającym na szkatułki z biżuterią.

Za domem opalona kobieta o krótkich siwych włosach spryskiwała węzem cyprysy. Za cyprysami, w suchych zaroślach, czarnowłosa mężczyzna w drelichowych spodniach na przemian to kopał ogniołom, to gasił łopata spadające iskry. Kobieta przemawiała do ognia jak do ujadającego psa czy do natrętnego mężczyzny: „Pójdiesz stąd, cholero?” Obróciła się do mnie niemal wesoło, gdy ją zawołałem po nazwisku. - Pani Armistead?

Z bliska rzucało się w oczy, że jej siwizna jest przedwczesna. Rozgrzaną opaloną twarz chłodziły skośne zielone oczy. Wyglądała zgrabnie i elegancko w białym spodniemie.

- Kim pan jest?

- Archer. Odstawiłem pani Mercedesa.

- Świetnie. Przyślę panu czek. Oczywiście, jeśli jest zdatny do użytku.

- Jest. Ale to ja pani przyślę rachunek.

- Skoro tak, mógłby pan pomóc w kopaniu. - Sceptyczny uśmiech przepołowił jej twarz jak biała szrama. Wskazała ręką łopatę na brunatnym igliwiu pod cyprysami. - Carlos sam nie da sobie rady.

Byłem w garniturze i niezbyt mi się uśmiechało kopanie. Alf ściągnąłem marynarkę, wziąłem łopatę i poszedłem za cyprysy pomóc Carlosowi, przysadzistemu Latynosowi w średnim wieku, który przyjął moje pojawienie się jak rzecz najnaturalniejszą w świecie. Posuwałem się za nim poszerzając i pogłębiając wykop, który nie rokował żadnych nadziei. Był według wszelkiego prawdopodobieństwa jedynie symboliczną bruzdą u stóp zbocza porośniętego chaparalem. Już teraz słyszałem sapanie ognia wspinającego się po niewidocznej stronie góry. Za mną wiatr targał cyprysami.

- A gdzie pan Armistead? - zapytałem Carlosa.

- Wyprowadził się chyba na jacht.

- To znaczy?

- No, na przystań. - Zrobił ręką ruch w stronę oceanu. Odrzuciwszy kilka łopat uzupełnił: - Nazywa się „Ariadna”.

Wypowiedział imię powoli i wyraźnie.

- Dziewczyna?

- Nie, jacht. Pani Armistead mówi, że to greckie imię. Ona ma bzika na punkcie Grecji.

- Sama wygląda trochę na Greczynkę.

- Może i wygląda - powiedział z uśmiechem zastanowienia.

Huk ognia wzmógł się raptownie, gasząc uśmiech na jego twarzy. Kopaliśmy chwilę w milczeniu. W ramionach i dłoniach zaczynałem czuć wysiłek, koszula lepiała mi się do pleców.

- Czy pan Armistead jest sam na jachcie?

- Nie, ma chłopaka do pomocy. Nazywa go załogą, ale jeszcze nie widziałem, żeby szczeniak coś robił. To jeden z tych kudłatych, co to wszyscy o nich mówią.

Podniósł rękę brudną od ziemi, przyglądając nie istniejące loki.

- Czy pan Armistead nie interesuje się dziewczętami?- Owszem, lubi dziewczynki. - Zastanowił się chwilę. - Nie dalej jak przedwczoraj miał taką jedną na jachcie.

- Blondynkę?

- Tak.

- Widział ją pan?

- Nie, widział kolega, Pedro się nazywa. Jak raz wychodził wczoraj rano w morze. On jest rybakiem, wstaje przed świtem. Aż tu patrzeć, dziewczyna wylazła na czubek masztu i wrzeszczy, że się rzuci. A chłopak stoi na pokładzie i zagaduje ją, żeby zesza.

- I co Pedro zrobił? Carlos wzruszył ramionami.

- A co miał robić? Musi się zdrowo naharować, żeby wykarmić dzieciarnię. Nie ma czasu oglądać się na każdą postrzeloną dziewczuchę.

Wrócił ze zdwojoną energią do pracy, jakby kopał sobie kryjówkę przed nowoczesnym światem. Kopałem w ślad za nim, chociaż było już jasne, że marnujemy czas. Ogień pojawił się na grzbiecie góry jak oślepiająca wielokształtna narośl, olbrzymiejąca, dopóki nie rozkwitła na pół nieba. Niżej na stoku cirykała na alarm przepiórka.

Carlos spoglądał chwilę na ogień, po czym się przeżegnał, odwrócił na pięcie i kiwnąwszy na mnie wszedł między drzewa, pozostawiając nie dokończony ogień. Jeden z cyprysów zaczynał już dymić na czubku, poza zasięgiem węża pani Armistead. Kazała Carlosowi wdrapać się na drzewo, ale potrząsnął tylko głową.

- To się na nic nie zda. I tak pójdą z dymem. Dom pewnie też.

Ogień schodził w dół, przybierał na gwałtowności i sile. Drzewa się rozkołysały. Z zarośli pod nimi furknęło stadko przepiórek i jęło na krótkich skrzydłach mozolnie wzbijać się nad dom. Za nimi jak skłębiona ciemność płynął dym.

Pani Armistead wciąż bezskutecznie skrapiała drzewa węzem. Carlos podszedł i zakręcił kurek, ale stała nadal, z zamierającym węzem w dłoni i twarzą zwróconą do ognia, który zbliżał się z dudnieniem grzmotu. Olbrzymi, pałający, rozjuszony, dopadł w końcu

niezdarnym susem drzew. Dymiący cyprys pierwszy buchnął płomieniem, po nim wystrzelały następne jak rząd niebosiężnych pochodni.

Ująłem panią Armistead za rękę i pociągnąłem w stronę domu. Opierała się instynktownie, jak osoba prowadzona w niewłaściwym kierunku. Póki mogła, czepiała się kurczowo węża, w końcu upuściła go w trawę. Carlom czekał niecierpliwie przy basenie. Obok niego opadały płaty ognia, z sykiem czerniejąc w błękitnej wodzie.

- Najwyższy czas na nas - powiedział. - Możemy zostać odcięci, jeśli ogień się przerzuci przez drogę. Co zrobić z futrem?

- Niech zostanie w basenie - odparła pani Armistead. - Zmarnowałyby się w tym żarze.

Nie powiem, żeby mi specjalnie przypadła do gustu, ale zaczynała mnie intrygować. Dałem Carlosowi kluczyki do Mercedesa, sam wsiadłem z nią do Lincolna.

- Może pan prowadzić, jak pan ma ochotę - powiedziała. - Jestem skonana.

Skrzywiła się. Przyznanie się do słabości wiele ją kosztowało. Gdyśmy ruszali za Mercedesem, dorzuciła w formie wyjaśnienia:

- Kochałam te przepiórki. Karmiłam je i obserwowałam, odkąd wybudowaliśmy dom. Zaczęły się wreszcie czuć bezpiecznie. Na wiosnę przyprowadzały małe pod sam dom.

- Wrócą.

- One może wrócą. Ale czy ja wrócę?

Dojechaliśmy do punktu, z którego rozpościerał się widok na miasto w dole. Carlos zjechał na pobocze, ja za nim. Wiszący dym nadawał miastu sepiowy koloryt starych fotografii. Wysiedliśmy, żeby popatrzeć tam, skąd przyjechaliśmy. Ogień wielopalczystą dłonią obejmował już dom, wyciskając przez okna najpierw dym, potem płomienie. Wsiedliśmy z powrotem i rozpoczęliśmy zjazd w dół. Po raz drugi tego dnia uciekałem przed ogniem. Przez chwilę miałem uczucie, że los się na mnie uwziął, ale zaraz uświadomiłem sobie przyczynę wszystkiego. Zostałem mimo woli wpłątany w sprawy ludzi, których stać na mieszkanie daleko za miastem, w bezpośredniej bliskości przyrody.

Pożar miał przynajmniej jedną dobrą stronę. Skłaniał ludzi do mówienia o rzeczach naprawdę ich obchodzących. Zapytałem panią Armistead, jak długo mieszkała na Crescent Drive.

- Wszystkiego cztery lata. Wybudowaliśmy z Rogerem dom po przeniesieniu się z Newport. Chcieliśmy ratować nasze małżeństwo, dom był dla nas tym, czym dla innych dziecko.

- Nie mają państwo dzieci?

- Mamy tylko siebie - powiedziała sarkastycznym tonem, po czym dodała: - Chciałabym mieć córkę. A jeszcze bardziej, żeby mój mąż miał córkę.

- Ze względu na tę dziewczynę?

Obróciła się do mnie gwałtownie, z tłumioną pasją.

- Co pan o niej wie?

- Bardzo niewiele. Widziałem ją raz z daleka.

- Ja ani razu. Ale wygląda mi na niezłą wariatkę. Chociaż z młodymi nic dzisiaj nie wiadomo.

- Nigdy nie było wiadomo..

Nie spuszczała oka z mojej twarzy.

- Jest pan detektywem. Co ona takiego zrobiła:

- Próbuję to ustalić.

- Nie wybrał jej pan na chybił trafił. Musiała coś przeskrobać oprócz tego, że zabrała Mercedesa. Co przeskrobała?

- Niech pani spyta Rogera.

- Nie omieszka. Na razie” pytam pana, dlaczego pan się nią tak interesuje.

- Uciekła z sześciolatkiem chłopcem. Z prawnego punktu widzenia to porwanie.

Resztę przemilczałem.

- Po cóż by go miała porywać? - Nie odpowiedziałem, więc zadała inne pytanie: - Zażywa LSD czy jakieś inne narkotyki?

- Może.

- Tak myślałam. - Powiedziała to z rodzajem gorzkiej satysfakcji. - Przedwczoraj w nocy coś jej się musiało przekręcić w głowie. Dosłownie. Skończyło się na tym, że się rzuciła do basenu portowego i Jerry musiał skakać za nią.

- Kto to jest Jerry?

- Chłopak, który mieszka na jachcie. W braku lepszego określenia Roger nazywa go swoją załogą.

- A pani jak go nazywa?

- Ja? Nazywa się Kilpatrick.

Przypomniałem sobie książkę, którą miałem w kieszeni, z nagryzmołonym na stronie tytułowej nazwiskiem Jerry Kilpatrick.

- Wie pani o nim coś bliższego?

- Jest synem pośrednika sprzedaży nieruchomości w mieście. Nawiasem mówiąc, to właśnie od jego ojca, Briana Kilpatricka, kupiliśmy parcelę pod dom.

- I przy tej okazji pani mąż poznał Jerry'ego?

- Prawdopodobnie. Może go pan o to spytać.

- Zobaczymy go?

- Jeśli tylko jest w letnim domku.

Wjechaliśmy właśnie do centrum. Główna ulica była zatłoczona autami, na chodnikach pełno ludzi. Dziwne wrażenie robiło to śródmiejskie rojowisko, nie okazujące większego zainteresowania pożarem na peryferiach. Może ludzie poruszali się tylko trochę szybciej niż zwykle, jakby ich życie nabrało tempa teraz, gdy mogło ulec nagłemu zahamowaniu.

Trzymając się wciąż za Mercedesem skręciłem w Maritime Drive, która doprowadziła nas wzdłuż oceanu do kolonii nadbrzeżnych domków, okalających łukiem niewielką zatokę. Carlos wjechał na parking za domkami, ja za nim.

- Najlepiej zapłacę panu od ręki - powiedziała pani Armistead. - Ile jestem panu winna?

- Setkę i będziemy kwita.

Wyjęła złoty uchwyt do banknotów, w kształcie symbolu dolara, i położyła mi na udzie banknot studolarowy. Po chwili dołożyła jeszcze pięćdziesiątkę.

- To premia - powiedziała.

Przyjąłem napiwek, bo potrzebowałem pieniędzy na wydatki, ale poczułem się upokorzony jak człowiek, który nie ma na zapłacenie raty i któremu zabierają z domu meble. Obudziło to we mnie coś na kształt solidarności z owym Eogerem, zanim jeszcze go zobaczyłem.

Domek nadmorski państwa Armisteadów, barwy wyrzucanego przez fale drzewa, miał od strony lądu wejście na poziomie pierwszego piętra. Minąwszy nie obudowane schody wewnętrzne na parter, znaleźliśmy się w dużym pokoju, umeblowanym jak kajuta statku, z mosiężnymi okuciami, barometrem na ścianie i drewnianymi fotelikami. Przez rozsuwane szklane drzwi widać było na balkonie od frontu młodego mężczyznę. Chociaż ubrany po sportowemu w granatową koszulkę polo i marynarską czapkę, przyglądał się ludziom na plaży jak widz z łoża teatralnej.

- Hej, Roger!

Głos pani Armistead był zmieniony, melodyjny i miękki, jakby wsłuchiwała się w jego brzmienie i starannie go dostrajała. Młody mężczyzna wstał i zdjął czapkę, nie okazując zdziwienia ani radości.

- Nie spodziewałem się ciebie, Fran.

- Dom na Crescent Drive się spalił. Twarz mu się wydłużyła.

- Z całą moją garderobą?

- Och, sprawisz sobie nową.

Jej głos nie był ani poważny, ani drwiący, jakby zawieszony w oczekiwaniu, jaki ton nada spotkaniu mężczyzna.

- Szkoda domu - powiedział poniewczasie. - Lubiałś go, prawda?

- Tak. Dopóki ty go lubieś.

- Masz zamiar go odbudować?

- Nie wiem, Roger. Jak uważasz?

Wzruszył ciężko ramionami, odpychając od siebie konieczność wyboru.

- To od ciebie zależy.

- Cóż, ja mam ochotę podróżować. - Powiedziała to ze sztuczną pewnością osoby improwizującej. - Może wybiorę się do Jugosławii.

Mężczyzna zwrócił wzrok na mnie, jakby dopiero zauważając moją obecność. Był przystojny, dobrze zbudowany, może o dziesięć lat młodszy od żony, o niecierpliwych ruchach. Ciemne włosy zaczynały mu rzednąć. Zauważywszy, że zwróciłem na nie uwagę, zmierzwił je dłonią.

- Pan Archer - przedstawiła mnie żona. - Jest detektywem. Szuka dziewczyny, którą miałeś na jachcie.

- Jakiej dziewczyny?

Ale zmierzył mnie wrogim spojrzeniem i oblał się rumieńcem..

- Tej, która chciała pofrunąć na księżyc. Czy też chodziło o słońce?

- Skąd mogę wiedzieć? Nie mam z nią nic wspólnego.

- Ale może pan wie, jak się nazywa? - zapytałem.

- Zaraz. Susan... tak, Sue Crandall.

Jego żona rozpromieniła się podejrzenie.

- Przecież nie masz z nią nic wspólnego.

- Nie mam. Jerry sprowadził ją na jacht. Zmyłem mu za to głowę. Powiedział mi, jak się nazywa.

- Ja słyszałam co innego. Że spędziła z tobą na „Ariadnie” noc z czwartku na piątek. Nie uważasz, że przystań to nie najlepsze miejsce na takie zabawy?

- Nie mam zwyczaju zadawać się z siksami - powiedział posępnie. - Czwartkowy wieczór spędziłem tutaj. Piłem do lustra. Dziewczynę sprowadził Jerry bez mojej wiedzy.

- Skąd ona jest? - zapytałem.

- Nie wiem dokładnie. Gdzieś z południa, według Jerry'ego.

- Jak dawno ją znasz? - przerwała mu żona. Posłał jej ponure, złe spojrzenie.

- Ty w kółko swoje jak pęknięta płyta, Fran. Nie znam tej dziewczyny. Zapytaj Jerry'ego, jeśli mi nie wierzysz. To jego przyjaciółka.

- Tak? A kto jej dał Mercedesa jak nie ty?

- To też sprawka Jerry'ego. Przykro mi wszystko zwać na niego, ale tak było. Zmyłem mu głowę, powtarzam ci.

- A ja ci nie wierzę. Nie dostaniesz więcej Mercedesa.

- Udław się nim - odpalił.

Minął ją i zbiegł z łomotem na parter. Po chwili zaczęły stamtąd dochodzić odgłosy otwieranych i zamykanych szuflad, zatraskiwanych szafek. Dom był drewniany, z otwartymi krokiewkami i bez izolacji, tak że gniewne dźwięki dudniły w nim jak w pustej beczce. Fran Armistead drgała za każdym stuknięciem, jakby to jej zadawano ciosy. Boi się męża, pomyślałem. I chyba go kocha.

Zeszła za nim na dół, sprężona i skupiona, jakby zstępowała dobrowolnie do piekieł. Ich głosy były wyraźnie słyszalne na górze, przygłuszane tylko uderzeniami fal o brzeg.

- Nie gniewaj się - powiedziała.

- Nie gniewam się.

- Możesz używać Mercedesa.

- Muszę mieć jakiś środek transportu - powiedział nie bez racji. - Co nie znaczy, że się dokądś wybieram.

- Nie, zostaniesz ze mną. Czułam się upiornie, kiedy dom stanął w płomieniach. Wydawało mi się, że trawi całe moje życie. Ale nie strawił, prawda?

- Nie wiem. Co to za historia z Jugosławią?

- Nie chcesz jechać do Jugosławii?

- Co tam jest?

- Więc zostaniemy. Wolisz tu - zostać?

- Na razie tak. Ale nie wiem, może skończę z tym miastem.

- Z powodu tej dziewczyny? Jak jej tam? Susan?

- Posłuchaj. Czy musimy do niej wracać? Nie widziałem jej na oczy.

Na dole zamknęły się jakieś drzwi, przygłuszając rozmowę. Po chwili wyłowilem uchem bardziej intymne odgłosy. Postanowiłem wyjść.

Było późne sobotnie popołudnie i plaża gęsto zasłana ciałami. Przypominało to apokaliptyczną wizję przyszłości, gdy każdy metr kwadratowy ziemi będzie zajęty.

Znalazłem kawałek wolnego piasku koło młodziana z gitarą w ręku i głową wspartą na brzuchu dziewczyny. Usiadłszy poczułem zapach jej olejku do opalania i wydało mi się, że każdy oprócz mnie ma kogoś do pary jak zwierzęta na arce.

Wstałem i rozejrzałem się. Powietrze pod kopułą dymu wiszącą nad miastem było migotliwe, przejrzyste. Niskie słońce wyglądało jak wirujący żółty krążek, po który mógłbym niemal sięgnąć i ująć w dłoń. Sterczące na zachodzie maszty przystani wydawały się pod światło ciemne, jakby zwęglone.

Zdjąłem buty i skarpetki i ruszyłem brzegiem w ich kierunku.

ROZDZIAŁ XI

Betonowy falochron, przechodzący w ławicę piaskową, obejmował opiekuńczym ramieniem port i basen jachtowy. Kilka wracających z morza jednostek, motorowych i żaglowych, sunęło między bojami toru wodnego do portu. Mnóstwo innych stało przy pirsach, od jachtów regatowych poczynając, na wiekowych barkach desantowych kończąc.

Doszedłem do wysokiej drucianej siatki, oddzielającej basen jachtowy od parkingu. Było w niej kilka furtek, ale wszystkie miały automatyczne zamki. Dopiero przy falochronie znalazłem pomost z wynajmem łodzi i zapytałem obsługującego mężczyznę, jak się dostać na „Ariadnę”. Zlustrował podejrzliwym wzrokiem moje białe stopy i buty przerzucone przez ramię.

- Jeśli pan szuka pana Armistead, to nie ma go na jachcie.

- A Jerry Kilpatrick?

- Tego nie wiem. Niech pan podejździe do trzeciej furtki i spróbuje go zawołać. Stamtąd widać „Ariadnę”, mniej więcej w połowie lewego pomostu.

Założyłem buty i wróciłem do trzeciej furtki. „Ariadna” była białym słupem, tak doskonale zrównoważonym na spokojnej toni, że zapało mi na moment dech. Przy motorze pomocniczym na rufie majstrował coś chudy chłopak o rozkudłanej głowie i rzadkiej bródce. Zawołałem przez zamkniętą furtkę:

- Jerry?

Podniósł głowę. Dałem mu znak, żeby podszedł. Zeskoczył na pomost i ruszył rażno w moją stronę, prawie nie podnosząc bosych stóp. Był półnagi, rudawą bródkę niósł wysuniętą do przodu jak przeciwwagę dla chłopięcych ramion i wąskiej, nie owłosionej piersi. Dłonie miał tak umazane smarem, że wyglądały jak w czarnych rękawiczkach. Obejrzał mnie spode łba przez furtkę.

- Pan w jakiej sprawie?

- Zgubiłeś książkę. - Wyjąłem egzemplarz „Zielonych dworów” z jego nazwiskiem na karcie tytułowej. - Twoja, prawda?

- Niech pan pokaże. - Uchylił furtki, ale zatrzasnął ją zaraz dobitnie. - Jeśli to ojciec pana przysłał, to niech się wypcha. Może pan wracać i powtórzyć mu, co powiedziałem.

- Nie znam twojego ojca.

- Ja też nie. Nigdy go nie znałem i nie chcę znać.

- Tyle jeśli chodzi o twego ojca.. A co ze mną?

- Pańskie zmartwienie.

- Nie chcesz swojej książki?

- Może ją pan zatrzymać, jeśli pan umie czytać. Poszerzy pańskie horyzonty. Oczywiście jeśli jest co poszerzać.

Szczeniak był wyjątkowo agresywny, ale w porę przypomniałem sobie, że jest ważnym świadkiem i że kłótnia przez siatkę do niczego nie prowadzi.

- Zawsze mogę poszukać kogoś, kto mi poczyta - powiedziałem.

Na jego wargach pojawił się przelotny uśmiezek, nieoczekiwanie promienny w oprawie rudej bródki.

- Zaginął mały chłopiec - ciągnąłem. - Jego ojciec został dziś rano zamordowany...

- Myśli pan, że ja go zamordowałem?

- A zamordowałeś?

- Nie uznaję przemocy.

Jego spojrzenie niedwuznacznie sugerowało, że ja uznaję.

- Więc zechcesz mi na pewno pomóc w odnalezieniu mordercy. Może byś mnie wpuścił? Albo wyszedł, żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać?

- Wolę tak. - Przesunął palcami po drucianej siatce. - Wygląda pan na niebezpiecznego typu.

- Sytuacja nie jest zabawna - powiedziałem. - Chłopiec ma sześć lat. Nazywa się Ronald Broadhurst. Wiesz coś o nim?

Potrząsnął kudłatą głową. Mogło się zdawać że bródka pokrywająca mu dolną część twarzy zarasta usta, pozostawiając do porozumiewania się tylko oczy. A oczy miał piwne, migotliwe, jak popękane szkło.

- Mały był z dziewczyną - - ciągnąłem - która czytała wczoraj do poduszki twoją książkę. Nazywa się Sue Crandall.

- Nie znam.

- Słyszałem co innego. Spędziła przedwczorajszą noc tu na jachcie.

- Nic o tym nie wiem.

- Przypomnij sobie dobrze. Dałeś jej książkę, dałeś jej Mercedesa Armisteadów. Co jej jeszcze dałeś?

- O co panu chodzi?

- Zaprawiła się tak, że wlaźła na maszt. Co jej dałeś, Jerry?

Po twarzy przemknął mu cień trwogi, a potem gniewu. Jego piwne oczy rozbłysły, jakby rozgorzały wewnętrznym ogniem.

- Wiedziałem, że pan jest łaps - powiedział siląc się na obraźliwość. - Nic pan tu nie wskóra.

- Chcę z tobą porozmawiać serio, Jerry. Jesteś w opalach.

- Czort z panem.

Puścił się truchcikiem w głąb pomostu. Jego kudłata głowa sprawiała wrażenie groteskowo wielkiej na chłopięcym tułowiu, niczym zapustna maska na kiju. Przyglądałem się, jak wskakuje do kokpitu i zabiera się z powrotem do roboty.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Kiedy dosięgło wody, ocean i niebo zapaliły się pożarem większym od szalejącego na wzgórzach. Nim się ściemniło, przeszukałem parking koło przystani. Chevroletu Fryca Snowa nie znalazłem, ale nie mogłem się wyzbyć uczucia, że musi być gdzieś w pobliżu. Zacząłem przeczesywać nadbrzeżny bulwar.

Tymczasem niebo na zachodzie traciło rumieńce jak nagle blednąca twarz. Światło wyparowywało powoli z atmosfery, przylegając dłużej na powierzchni oceanu, który wyciągał się do horyzontu jak powolne pastelowe niebo.

Minąłem parę przecnic, ale starego Chevroletu nigdzie nie było. Zapaliły się latarnie uliczne, nadbrzeże rozjarzyło się neonami moteli i jadalni. Przeszedłem na drugą stronę bulwaru do jednej z nich, zjadłem podwójnego hamburgera i torebkę frytek, popiłem kawą. Połykałem wszystko jak głodomór, co mi dopiero uświadomiło, że nie miałem nic w ustach od rana.

Gdy się odwróciłem od błyszczącego kontuaru, było prawie zupełnie ciemno. Rzuciłem okiem na wzgórza i doznałem wstrząsu. Pożar się rozprzestrzenił i rozrósł, jakby mrok był dlań pożywką. Otaczał pierścieniem miasto niby ogniska oblegającej armii.

Podjąłem poszukiwania Chevroleta przeczesując parkingi moteli i zapuszczając się bocznymi uliczkami pod górę, w stronę torów kolejowych. Gdy tylko się nieco oddalałem od bulwaru, wkraczałem do getta. W gęstniejącym mroku prowadziły tu swoje ciche zabawy

czarne i brązowe dzieci. Z walących się werand domków obserwowały je i mnie matki i babki.

Znalazłem na pół pomalowanego Chevroleta Fryca Snowa w rozjeżdżonej uliczce za gajem zakurzonych oleandrów. Z auta dochodziła muzyka. Za kierownicą siedział mały mężczyzna w czapeczce baseballowej.

- Co robisz, przyjacielu?

- Gram sobie.

Przyłożył do ust organki i zagrał kilka astmatycznych, melancholijnych taktów. Jestem winny - zdawała się mówić melodia - ale wycierpiałem już dosyć, a ty także, bracie.

- Ładnie grasz.

- To dar.

Wskazał przez dach samochodu na niebo. Zagrał jeszcze kilka taktów, po czym zabrał się do wydmuchiwania śliny z organków. Pachniało od niego winem.

- To twój wóz? - zapytałem.

- Nie, pilnuję go tylko.

Wsunąłem się na przednie siedzenie, obok niego. Kluczyki były w stacyjce, więc je wyjąłem. Łypnął na mnie trwoźnie.

- Nazywam się Archer. A ty?

- Amos Johnstone. Nie ma pan prawa czepiać się mnie. Jak Boga kocham, pilnuję tylko komuś wozu.

- Nie jestem z policji. Czy ten ktoś to młoda kobieta z chłopczykiem?

- Zgadza się. Dała mi dolara i kazała siedzieć, aż wróci.

- Dawno to było?

- Nie wiem, nie mam zegarka. Mogę tylko powiedzieć, że dzisiaj.

- Przed zmrokiem?

Popatrzył na niebo, jakby nadejście nocy było dlań kompletnym zaskoczeniem.

- Chyba. Kupiłem wina za dolara, ale się skończyło. - Spojrzał w moją stronę. - Przydałby się drugi dolar.

- Wrócimy do tego. Gdzie poszła ta kobieta?

- W dół.

Pokazał ręką w stronę przystani.

- Wzięła z sobą chłopca?

- Tak.

- Nic mu nie było?

- Był wystraszony.
- Mówił coś?
- Do mnie nie. Ale trząśł się jak psiak.

Dałem mu dolara i poszedłem z powrotem na przystań. Zagrał mi na pożegnanie melodię, która się zlewała z głosami niewidocznych w mroku dzieci.

Na przycumowanych do pomostów jachtach paliły się tu i ówdzie światła. Równiejsze, jaśniejsze światło z metalowego masztu oświetlało drucianą furtkę. Rozejrzałem się szybko i chciałem przejść przez furtkę, ale zaczepiłem nogą o drut kolczasty na wierzchu i runąłem ciężko plecami na skraj pomostu. Zamroczyło mnie tak, że leżałem przez dobrą minutę.

Krew wciąż pulsowała mi w uszach, gdy podchodziłem do jachtu. W kabinie paliło się światło, ale na pokładzie nie dojrzałem nikogo. Mimo nie sprzyjających okoliczności ciemna woda urzekała tajemną słodyczą, jacht - urodą rumaka zamkniętego na noc w corralu. Wlazałem przez reling do kokpitu. Na tle mrocznego nieba sterczał strzelisty maszt. Z kabiny doszedł szurgot.

- Kto tam?

Był to głos Jerry'ego, który otworzył luk i wystawił głowę ślepiąc rozszerzonymi źrenicami. Jego otwarte usta zdawały się czarną jamą w jaśniejszej brodzie. Wyglądał jak Łazarz wstający z grobu. Chwyciłem go pod pachy, uniosłem do góry i grzmotnąłem o dno kokpitu. Pozostał bez ruchu, na plecach, jakby uderzył o coś głową. Poczulem ukłucie wstydu, że zrobiłem krzywdę chłopcu.

Zszedłem po drabince do kabiny, mijając stół nawigacyjny z nadajnikiem radiowym i mapami. Pod czerwonym pledem na jednej z dwu dolnych koi rysowały się kształty dziewczęcego ciała. Spod pledu wyglądały tylko blond włosy, rozsypane jak kręcone złoto po poduszce. Uchyliłem pledu. Twarz dziewczyny była dziwnie apatyczna. Oczy patrzyły na mnie z innego wymiaru, jakby miała lada chwila umrzeć albo już umarła. Obok niej pod pledem coś się poruszyło. Podniosłem pled do góry. Tuliła do siebie małego, ramieniem obejmując go za szyję, a dłonią zatykając mu usta. Malec leżał koło niej bez ruchu, nawet jego okrągłe niebieskie oczy były nieruchome. Nagle ożyły, wpatrzone gdzieś za mnie. Obróciłem się w ciasnym przejściu między kojami. Na drabince stał przycupnięty Jerry ściskając oburącz rewolwer.

- Wynoś się stąd, ty brudna świnió!
- Zabierz ten rewolwer. Jeszcze komuś zrobisz krzywdę.
- Tobie, jeśli się stąd nie wyniesiesz - syknął. - Pilnuję jachtu, a ty się włamujesz.

W normalnych warunkach trudno by go było brać poważnie, ale rewolwer pomógł. Machnął na mnie lufą i zrobił mi przejście. Zacząłem się wspinać po drabince, niezdecydowany, czy się na niego rzucić, czy przejść obok.

Niezdecydowanie uczyniło mnie ociężałym. Kącikiem oka dostrzegłem, jak ujmuje rewolwer za lufę i bierze szeroki zamach kolbą, ale nie zdążyłem zrobić uniku. Świat mi zawirował i odpłynął.

ROZDZIAŁ XII

Przed oczami wirowały mi tryby wszechświata. Przypominały, w olbrzymim powiększeniu, owe zestawy kół zębatach, którymi w wolnych chwilach bawią się majsterkowicze. Zdawało mi się, że obejmuję okiem jednocześnie cały mechanizm i wiem, iż stosunek energii pobieranej do wytwarzanej ma się jak jeden do jednego.

Na krawędzi mojej świadomości zachlupotała cicho woda. Leżałem prawym policzkiem na szorstkiej, płaskiej powierzchni, która zdawała się wznosić i opadać. Powietrze było chłodniejsze i przez chwilę myślałem, że jestem na jachcie. Ale gdy się dźwignąłem na czworaki, stwierdziłem, że jestem na pomoście, a w miejscu, gdzie cumowała „Ariadna”, czernieje prostokąt wody.

Zaczerpnąłem garść wody i spryskałem twarz. Byłem oszołomiony i przybity. Zlekceważyłem brodatego szczeniaka i pokpiłem sprawę. Zajrzałem do portfela - pieniądze były na miejscu. Wydostałem się z przystani na parking, gdzie widziałem toaletę. Bez zbytniego przyglądania się umyłem powtórnie twarz. Zapuchnięta rana na głowie przestała już krwawić, więc postanowiłem jej nie ruszać.

Na zewnątrz budynek był automat telefoniczny z książką przymocowaną na łańcuchu. Wyszukałem numer biura szeryfa. Dyżurny poinformował mnie, że szeryf z większością ludzi przebywa w rejonie pożaru. Telefon się urywa bez przerwy, ale w biurze nie ma nikogo do wysłania na miasto.

Następnie nakręciłem numer miejscowego oddziału Straży Leśnej. Kobiety głos odpowiedział, że w zasadzie nie przyjmują żadnych zgłoszeń po godzinach, ale ona gotowa jest w drodze wyjątku przyjąć meldunek dla Kelseya. Podyktowałem telegraficzną relację ostatnich wydarzeń, po czym wysłuchałem, jak telefonistka znudzonym głosem odczytuje meldunek.

Z kolei wyszukałem na żółtych kartkach ogłoszeń handlowych kolumnę pośredników sprzedaży nieruchomości. Przy nazwisku Briana Kilpatricka figurował zarówno telefon

firmowy, jak domowy. Nakręciłem numer domowy i telefon odebrał sam Kilpatrick. Zapytałem, czy mogę przyjechać. W słuchawce rozległo się westchnienie.

- Właśnie miałem zamiar odpocząć przy kieliszku. A o co chodzi?

- O pańskiego syna Jerry'ego.

- Ach tak. Pan z policji?

Jego starannie modulowany głos zmatowiał.

- Jestem detektywem prywatnym.

- Czy to ma coś wspólnego z tą wczorajszą historią na przystani?- Tak. Niestety sprawy przybrały zły obrót. Chciałbym z panem porozmawiać.

- Jeszcze nie powiedział pan, o co chodzi. Czy jest w to zamieszana dziewczyna?

- Tak, młoda blondynka nazwiskiem Susan Crandall. Ona i pański syn wzięli małego chłopca, RONALDA BROADHURSTA...

- Czy to wnuk pani Broadhurst?

- Tak.

- Na miłość Boską, gdzie go wzięli?

- Na morze. Wyłynęli jachtem Armisteadów.

- Czy Roger Armistead wie o tym?

- Jeszcze nie. Dzwonię najpierw do pana.

- Dziękuję. Rzeczywiście powinien pan chyba przyjechać. Wie pan, gdzie mieszkam?

Powtórzył dwukrotnie adres. Wezwałem telefonicznie taksówkę. Taksówkarz był z gatunku rozmownych. Mówił o pożarach i powodziach, trzęsieniach ziemi i plażach zalanych ropą. Czemu, chciał wiedzieć, ludzie nie uciekają gromadnie z Kalifornii? Jeśli tak dalej pójdzie, to on pakuje manatki i wraca z rodziną do Motown. To jego rodzinne miasto.

Zawiózł mnie do zamożnej dzielnicy willowej w części miasta nie zagrożonej dotąd pożarem. Nowoczesna parterowa willa Kilpatricka, o lekko spadzistym dachu, stała na jasno oświetlonej betonowej płycie, przylegającej do zarośniętego zbocza. Chłodne powietrze pozostało w dole i kiedy wysiadłem, poczułem na twarzy gorący powiew. Kazałem taksówkarzowi czekać.

Kilpatrick wyszedł mi na spotkanie. Był barczystym mężczyzną w rozpiętej sportowej koszulce, wyrzuconej na spodnie. Zarówno w jego rudej czuprynie, jak na rudo porośniętej piersi lśniły siwe włoski. Mimo że w dłoni ścisnął szklaneczkę, a w oczach miał już alkoholyczną szklistość, jego duża dorodna twarz była trzeźwa, prawie ponura. Podając mi rękę spostrzegł ranę na mojej głowie.

- Co się stało?

- Pański synalek zdzielił mnie kolbą. Kilpatrick zrobił współczującą minę.
- Bardzo mi przykro. Ale - dodał szybko - nie mogę odpowiadać za sprawki Jerry'ego.

Nie mam na niego żadnego wpływu.

- Zauważyłem. Może byśmy - weszli do środka?
- Oczywiście. Na pewno chętnie się pan czegoś napije?

Wprowadził mnie do pokoju karcianego, z barem i oknami wychodzącymi na jaskrawo oświetlony basen. Koło basenu stał fotel plażowy, z którego wyglądały czarne włosy i błyszczące miedziane nogi kobiece; reszta ich właścicielki była niewidoczna. Ze stolika obok przemawiało do niej radio tranzystorowe, bratnia dusza. Koło radia stał srebrny mikser do cocktaili.

Kilpatrick zasunął żaluzje, po czym dopiero zapalił światło. Oświadczył, że pije Martini; czy ma mi także zrobić? Poprosiłem o szkocką z wodą. Usadowiwszy się naprzeciwko mnie, przy okrągłym stoliku z intarsjowaną szachownicą pośrodku, powiedział, ostrożnie odmierzając słowa:

- Powinienem pana chyba poinformować, że dzwonił do mnie ojciec tej dziewczyny. Znalazł nazwisko Jerry'ego w jej notesie.

- Jak dawno nie ma jej w domu? Nie mówił panu?

Kilpatrick kiwnął głową.

- Od paru dni. Zniknęła w czwartek.

- Czy Crandall nie mówił dlaczego?

- Wie tyle, co ja. Wymyka nam się z rąk całe pokolenie - dorzucił z rezygnacją, która nadała jego głosowi starcze brzmienie. - Karzą nas za to, żeśmy ich wydali na świat.

- Czy Crandallowie mieszkają w Santa Teresa?

- Nie.

- Więc jak się poznała z Jerrym?

- Nie mam pojęcia. Wiem tyle, co od Crandalla.

- Jak on ma na imię i gdzie mieszka?

Kilpatrick uniósł dłoń gestem policjanta, zatrzymującego ruch.

- Chciałbym, żeby pan mi najpierw wyjaśnił parę rzeczy. Jaki związek ma z tym Ronald Broadhurst? Co oni chcą z nim zrobić?

- Wątpię, czy mają konkretny plan. Raczej improwizują. Ale równie dobrze może to być porwanie. I jest, z prawnego punktu widzenia.

- Dla okupu? Jerry zawsze utrzymywał, że gardzi pieniędzmi.

- Nie tylko dla pieniędzy się porywa.

- A dlaczego innego? - spytał Kilpatrick.

- Z zemsty. Dla dreszczyku. Dla zakosztowania władzy.

- To niepodobne do Jerry'ego.

- A do dziewczyny?

- O ile mogłem się zorientować, to porządna dziewczyna z porządnej rodziny. Może niezbyt szczęśliwa, jak przyznaje jej ojciec, ale dziewczyna, na której można polegać.

- To samo mówił ojciec Lizzie Borden. Zmierzył mnie zaskoczonym spojrzeniem.

- To chyba zbyt daleko posunięte porównanie?

- Miejmy nadzieję. Jednakże mężczyzna, w którego towarzystwie wyjechała dziś rano, ojciec Ronniego, został zamordowany motyką.

Twarz mu zbladła uwypuklając mozaikę żyłek. Wysączył przez słomkę resztkę cocktailu, aż z dna szklanki rozległ się suchy dźwięk.

- Chce pan powiedzieć, że Stanley Broadhurst został zamordowany?

- Tak.

- Myśli pan, że ona go zabiła?

- Tego nie wiem. Ale jeśli tak, to mały był prawdopodobnie świadkiem.

- Czy Jerry też był przy tym?

- Nie wiem.

- Gdzie to miało miejsce?

- W kanionie pani Broadhurst, w pobliżu tak zwanego domku myśliwskiego. Wszystko wskazuje, że przy tej okazji został zaproszony ogień.

Kilpatrick jął postukiwać szklaneczką o stół. Wstał i podszedł do baru rozejrzeć się za czymś, co by gwarantowało zapomnienie. Wrócił z próżnymi rękoma, wytrzeźwiony do reszty.

- Powinien pan był to powiedzieć przez telefon. Nigdy bym...

Urwał łypiąc na mnie podejrzliwie.

- Nigdy by mnie pan nie wpuścił do domu i nic by mi pan nie powiedział - dokończyłem. - Gdzie mieszka Crandall?

- Nie powiem panu.

- Nic panu to nie da. Nie utrzyma pan tego długo w tajemnicy. Jedyna konstruktywna rzecz, jaką możemy zrobić, to powstrzymać Jerry'ego i dziewczynę od dalszych głupstw.

- Co jeszcze mogą zrobić?

- Posiać chłopca - powiedziałem. - Albo zabić. Zmierzył mnie zwięzonymi oczami.

- Dlaczego pana ten chłopiec tak interesuje?

- Zaangażowała mnie jego matka, żebym go odnalazł.

- Więc jest pan po przeciwnej stronie.

- Po stronie chłopca.

- Zna go pan?

- Trochę.

- I nie jest panu obojętny?

- Zgadł pan.

- Może to da panu słabe pojęcie o tym, co ja czuję do swojego syna.

- Lepsze pojęcie dałoby mi, gdyby pan mi pomógł. Usiłuję was obu uchronić od nieszczęścia.

- Na mój rozum, pan raczej sprowadza na ludzi nieszczęście - powiedział.

To mi zamknęło na chwilę usta. Ze swoim kupieckim wyczuciem ludzkich słabości zwietrzył nieomylnie fakt, do którego nie lubiłem się przed sobą przyznawać - że czasami mimo woli działam jako katalizator drzemiących nieszczęść. Żeby nieco zmienić temat, wyciągnąłem zielono oprawną książkę z ołówkowym bazgrołem jego syna na pierwszej karcie.

- Skąd Sue Crandall mogła wziąć tę książkę?

- Przypuszczalnie Jerry zabrał ją z sobą z domu - odrzekł po chwili namysłu. - Nie przywiązuję wagi do książek. Moja żona była intelektualistką. Ukończyła Uniwersytet Stanforda.

- Pańskiej żony nie ma w domu? Potrząsnął głową.

- Ellen? Uciekła przed jedenastu laty. Nad basenem jest moja narzeczoną

- A jak dawno uciekł Jerry?

- Parę miesięcy temu. Wyniósł się na jacht w czerwcu. Ale jeśli chodzi o nasze wzajemne stosunki, to urwały się przed rokiem. Kiedy wyjechał na uniwersytet.

- Jerry studiuje?

- Już nie - odrzekł Kilpatrick z żalem w głosie. - Był na wydziale handlowym, mógł skończyć bez trudu. Byłem zdecydowany finansować wszystko, póki nie zrobi magisterium. Ale nie raczył palcem kiwnąć. Niech pan nie pyta dlaczego, bo nie wiem.

Sięgnął przez stół i zatrzasnął książkę z imieniem syna.

- Czy Jerry się narkotyzuje?

- Skąd mogę wiedzieć?

Lecz jego oczy uciekły niepewnie przed moimi. Rozmowa zaczynała kuleć, nietrudno było zgadnąć dlaczego. Bał się wplątać syna w morderstwo.

- Ale wie pan, co się wydarzyło na jachcie. Dziewczyna rzuciła się z masztu.

- Wiem. Doszły mnie plotki z przystani. Nie wiedziałem tylko, że w grę wchodzi narkotyki.

Pochylił się nagle i wziął moją nie tkniętą szkocką.

- Jeśli pan nie pije, to ja wypiję - powiedział i wychylił szklaneczkę do dna.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie w nieprzyjaznym milczeniu. Kilpatrick wpatrywał się w ciemniejsze i jaśniejsze kwadraty intarsjowanej szachownicy, jakby stały na niej figury, w większości moje. W końcu podniósł wzrok, nasze oczy się spotkały.

- Myśli pan, że to Jerry dał jej narkotyki? - powiedział.

- Zna go pan lepiej ode mnie.

- Już nie. Ale podejrzewałem, że się narkotyzuje. To była jedna z kości niezgody między nami.

- Czego używał?

- Nie wiem. Ale zachowywał się i rozmawiał, jakby mu szajba odbiła. - Zabrzmiało to w jego ustach dziwnie, a zarazem rozbijająco, jak wyznanie solidarności z marnotrawnym synem. - Ale ja panu za dużo mówię - dorzucił nerwowo.

- Może pan śmiało powiedzieć resztę.

- Nie ma żadnej reszty. To wszystko. Miałem inteligentnego, obiecującego syna, który pewnego pięknego dnia postanowił przewrócić swoje życie do góry nogami i został portowym wycirusem.

- Skąd jego zażyłość z Armisteadem?

- Kupili ode mnie nieruchomość i Armistead zapalał do niego sympatią. Nauczył go żeglarstwa, w zeszłym roku wziął go na regaty do Ensenady.

- Jerry musi być dobrym żeglarzem.

- Pierwszorzędnym. Potrafiłby dopłynąć tym słupem na Hawaje. - Jego nastrój nagle się zmienił. - Ale kto wie, czy ze wszystkim innym nie zapomniał także i nawigacji.

Wstał i podszedł do zasłoniętego okna. Rozsunąwszy listewki żaluzji wyjrzał jak z obleganego domostwa.

- Niech to diabli - powiedział. - Wybierałem się z narzeczoną na kolację. - Obrócił się do mnie w nagłym przypływie gniewu. - Chyba zdaje pan sobie sprawę, że popsuł nam pan wieczór?

Pytanie nie zasługiwało na odpowiedź i Kilpatrick to wiedział. Przysunął się do baru, jakby spodziewając się znaleźć za nim barmana, przed którym będzie się mógł uzalić. Otworzył niebieski notes, leżący obok telefonu, sprawdził coś i zaraz go zamknął. Zamiast

niego wziął czystą szklaneczkę, nalał szkockiej, potem wody i postawił przede mną. Podziękowałem mu, chociaż nie „miałem ochoty pić. Czułem, że czeka mnie długa noc. Kilpatrick też czuł. Stanął nade mną, oparty o stół, z rozstawionymi dłońmi i twarzą wezbraną uczuciem.

- Niech pan posłucha - powiedział. - Nie jestem nieczułym draniem, jakim... za jakiego mnie pan ma. Jerry ledwo od ziemi odrósł, kiedy rzuciła mnie żona. Nie dałem jej żadnego konkretnego powodu, tyle że życie ze mną nie było romanssem. Ale Jerry uważa, że to moja wina. Zawsze mnie o wszystko wini. - Z rozżalenia wciągnął głęboko powietrze. - Ja go naprawdę kocham. Chciałem mu zapewnić wszystko, zaharowywałem się. Ale to już nie te czasy, skończyła się epoka happy endów.

Pochylił się nade mną, wsłuchany w ciszę, jakby się z nią zetknął po raz pierwszy w życiu. Zapytałem:

- Jak ściągnąć z powrotem Jerry'ego i Susan?
- Nie mam pojęcia.
- Myślałem o zwróceniu się do FBI.
- Niech pan tego nie robi. Jerry byłby napiętnowany na całe życie.

Poczułem na ramieniu jego ciężką dłoń. Cofnął ją i podszedł znowu do baru, jak zwierzę miotające się tam i z powrotem po klatce. Nalawszy sobie szkockiej, wrócił na swoje miejsce przy stole.

- Niech pan mu da szansę odprowadzenia jachtu.
- Musimy w każdym razie zawiadomić miejscową policję.
- Ja to załatwię - powiedział. - Jestem blisko z szeryfem Tremaine, pogadam z nim.
- Dzisiaj?
- Oczywiście, że dzisiaj. Leży mi to na sercu bardziej niż panu. Jerry jest moim synem. Wszystko, co jego dotyczy, dotyczy mnie.

Zabrzmiało to, jakby recytował wyuczoną lekcję, ale nie pojmował w pełni sensu własnych słów.

- Więc niech pan mi powie, jak znaleźć rodziców Susan. Zależy mi szczególnie na rozmowie z jej ojcem.

- Nie mogę. To byłoby nielojalne.

Użyłem najcięższych słów, jakie mi przyszyły do głowy:

- Stanie panu ta lojalność kością w gardle, nie pozbiera się pan do końca życia. W każdej chwili może dojść do katastrofy, a pan nie raczy kiwnąć palcem, żeby jej zapobiec. I jeszcze oczekuje pan happy endu.

- Nie oczekuję, powiedziałem panu. - Przesunął dłońmi po oczach i policzkach, po czym złożył je przy brodzie jak do modlitwy. - Musi mi pan dać czas do namysłu.

- Oczywiście. Ile godzin pan potrzebuje? Ja posiedzę, porozmyślam, co się tymczasem dzieje z małym Broadhurstem.

Zmierzył mnie poważnym spojrzeniem zza złożonych dłoni. Oczy zabłyśły mu na chwilę młodzieńczą wrażliwością, która widać niezupełnie w nim wygasła.

W hallu rozległ się kurant i Kilpatrick wyszedł zamykając za sobą drzwi. Sięgnąłem po notes leżący koło telefonu. W alfabetycznym spisie pod literą C znalazłem niejakiego Lestera Crandalla z numerem w Pacific Palisades. Zapis nie wyglądał na nowy, figurowało pod nim kilka następnych.

Przepisywałem numer do notatnika, gdy za mną otwarły się z rozmachem drzwi i do pokoju wkroczyła brunetka znad basenu. Była przystojna, może nieco zbyt dojrzała na bikini, które miała na sobie, no i ululana.

- Gdzie ta zabawa? - zapytała zawadiacko.

- Nic z tych rzeczy - odrzekłem.

Kąćki ust opadły jej jak zawiedzionej dziewczynce.

- Brian obiecał zabrać mnie na dansing.

Zrobiła parę eksperymentalnych pas, o mało się przy tym nie przewracając. Zaprowadziłem ją na jedno z krzeseł, ale nie chciała usiąść. Chciała tańczyć.

Do pokoju wszedł Kilpatrick. Zachowywał się, jakby w ogóle nie widział kobiety. Krokiem robota okrążył bar, wyciągnął szufladę z tyłu i wyjął ciężki rewolwer.

- Co się stało? - zapytałem.

Nie odpowiedział. Nie podobał mi się zastygły wyraz zimnej furii na jego twarzy, więc wyszedłem za nim przed dom, tak by wiedział, że za nim idę. Przy drzwiach czekał młody mężczyzna z wyrazem desperacji w oczach i czołem umazanym sadzą. Kilpatrick pokazał mu rewolwer.

- Jazda stąd! Nie myślę wysłuchiwać pańskich bredni.

- Pan to nazywa bredniami? - powiedział mężczyzna. - Straciłem dom, meble, rzeczy całej rodziny. Wszystko, panie Kilpatrick. Z pańskiej winy.

- A to niby czemu?

- Rozmawiałem z jednym ze strażaków, jak dom się spalił. Niestety nie było go, kiedy się palił. Ale mówi, że ten kanion w ogóle się nie nadaje do zabudowy ze względu na wielkie niebezpieczeństwo pożaru. Jakoś nie wspomniał pan o tym sprzedając dom?

- To ryzyko, na które jesteśmy wszyscy narażeni - odparł Kilpatrick. - Mój dom też może spłonąć dziś albo jutro.

- Chciałbym, żeby spłonął. Ciekawym, jak by pan wtedy śpiewał.

- Przyjechał mi pan to powiedzieć?

- Niezupełnie. - Mężczyzna wydawał się nieco zawstydzony. - Przyjechałem, bo nie mam się gdzie podziąć na noc.

- Tu pan na pewno nie zostanie.

- Tak, już to zrozumiałem.

Zabrakło mu słów. Popatrzył jeszcze raz na rewolwer w dłoni Kilpatricka i ruszył szybkim krokiem do samochodu zaparkowanego obok mojej taksówki. Przez tylne okno długiego kombi wyglądało kilkoro dzieci, jak więźniowie ciekawi, dokąd ich zawiozą. Na przednim siedzeniu siedziała kobieta wpatrzona nieruchomo przed siebie.

- Cieszę się, że pan go nie zabił - powiedziałem do Kilpatricka.

- Nie miałem najmniejszego zamiaru. Ale gdyby pan słyszał, jakimi wyzwiskami mnie obrzucił. Nie pozwolę się...

- W jakim rejonie mieszkał? - przerwałem.

- W Canyon Estates. To moja inwestycja.

- Czy kanion spłonął?

- Niecały. Tylko kilka domów, między innymi jego. - Kilpatrick potrząsnął gniewnie głową za odjeżdżającym samochodem. - Nie on jeden stracił. Ja jeszcze nie skończyłem spłacać wszystkich domów. Teraz nigdy się ich nie pozbędę.

- Nie wie pan, co z domem pani Broadhurst?

- Według ostatnich wiadomości jeszcze stał. Te stare hiszpańskie domy budowano solidnie, ogień ich się tak łatwo nie ima.

Za plecami Kilpatricka ukazała się brunetka. Zrzuciła sukienkę plażową i wyglądała zupełnie trzeźwo, była tylko zde gustowana.

- Na miłość Boską - powiedziała do niego - przestań wywijać tym rewolwerem. Słabo mi się robi, jak nim wymachujesz.

- Nie wymachuję - odrzekł, ale schował broń do kieszeni.

Zeszliśmy wszyscy troje na asfaltowy podjazd. Taksówkarz obserwował nas jak przybysz z Marsa. Kilpatrick poślinił palec, podniósł go do góry. Z dołu kanionu wiał chłodny wiatr.

- Od morza - powiedział. - Jeśli się nie zmieni, wyjdziemy obronną ręką.

Miałem nadzieję, że nie spotka go zawód. Ale wschodni obręb nieba płonął nadal jak firanka w oknie nocy.

ROZDZIAŁ XIII

Musiałem zapłacić pięćdziesiąt dolarów z góry, żeby taksówkarz zgodził się zawieźć mnie do Northridge, gdzie w garażu Stanleya Broadhursta zostawiłem swój wóz. Taksiarz chciał rozmawiać, ale go uciszyłem i zdrzemnąłem się godzinę.

Obudziłem się z dudnieniem w głowie, gdyśmy zjechali z autostrady prowadzącej do Ventury. Kazałem taksówkarzowi zatrzymać się przy najbliższym telefonie. Wypatrzył budkę i rozmienił mi dolara. Nakręciłem numer Lestera Crandalla. Odezwał się kobiecy głos brzmiący tak, jakby właścicielka z trudem nad nim panowała.

- Mieszkanie Crandallów.

- Czy zastałem pana Crandalla?

- Niestety nie ma go. Nie wiem, kiedy będzie.

- A gdzie jest?

- Na Sunset Strip.

- Szuka Susan?

Jej głos stracił swoje bezosobowe brzmienie.

- Skąd pan wie? Jest pan znajomym Lestera?

- Nie, ale widziałem pani córkę. Nie ma jej w Los Angeles. Mógłbym przyjechać, porozmawiać z panią?

- Nie wiem. Pan z policji?

Powiedziałem, kim jestem, przedstawiłem się. W odpowiedzi podała mi adres na jednej z przecznic Bulwaru Zachodzącego Słońca, którą znałem.

Tunelem pod autostradą taksówka wjechała do Northridge. Miałem klucz od garażu Broadhurstów. Kazałem taksówkarzowi poczekać, aż sprawdzę, czy wóz jest na miejscu. Był, zapalił od razu. Wyszedłem na ulicę i odprawiłem go.

Wróciwszy za dom, rozejrzałem się uważniej. Przez płot z żerdzi sączyło się nieco światła od sąsiadów. Spostrzegłem, że tylne drzwi Broadhurstów są lekko uchylone. Otworzyłem je szerzej, zapaliłem w kuchni światło.

Drzwi były połupane koło zamka, wyglądało, że ktoś je wyłamał. Przemknęło mi przez myśl, że włamywacz może być jeszcze w domu. Nie chciałem się na niego nadziać.

Włamywacze rzadko mordują z premedytacją, ale zdarza im się zabijać, gdy ktoś zniecka wtargnie w ich mroczny świat.

Zgasilem światło i czekałem. W domu panowała cisza. Z oddali dochodziło pulsowanie bulwaru, którym przed chwilą jechałem. U sąsiadów słuchano ostatniego dziennika telewizyjnego. Mimo codzienności tych odgłosów ogarnął mnie niemal fizyczny niepokój. Byłem bliski mdłości, gdy wchodziłem do hallu.

Widać wyczułem go węchem czy szóstym zmysłem. Zapaliwszy w gabinecie światło, zobaczyłem go koło splądrowanego biurka. Leżał szczerząc do mnie zęby jak magik, który zademonstrował clou programu. Nie poznałem go w pierwszej chwili. Miał czarną brodę, wąsy i długie czarne włosy, które dziwnie nisko zarastały czoło. Dopiero po przyjrzeniu się stwierdziłem, że to źle dopasowana peruka. Broda i wąsy też były przyprawione. Spod nich wyglądała martwa twarz osobnika, który kazał się nazywać Alem. Widać przyszedł po ów tysiąc dolarów. Przyszedł o ten jeden raz za dużo.

Przód jego koszuli był lepki i mokry od krwi, pod nią miał kilka klutych ran. Jechało od niego alkoholem. Na wewnętrznej kieszeni taniej ciemnej marynarki widniała naszywka domu towarowego w San Francisco. Sama kieszeń była pusta, pozostałe też. Uniosłem go, żeby pomacać, czy nie ma portfela w tylnej kieszeni spodni. Nie miał.

Sprawdziłem w swoim notesie adres, który mi podał: motel Pod Gwiazdą przy szosie nadbrzeżnej, poniżej kanionu Topanga. Następnie obejrzałem zasuwane biurko, do którego najwidoczniej się włamał. Drzewo dookoła mechanizmu blokującego było połupane, wypukła pokrywa blatu utknęła w pozycji półotwartej. Nie udało mi się odsunąć jej na tyle, żeby odblokować szuflady, ale w jednej z przegródek znalazłem fotografie młodego mężczyzny i młodej kobiety, którzy na pierwszy rzut oka wyglądali podobnie. Fotografie były spięte kartką z wydrukowanym nazwiskiem i adresem Stanleya. Pod tym ktoś, zapewne on sam, pracowicie wykaligrafował:

Kto widział tego mężczyznę i tę kobietę? Według zeznań świadków wyjechali z Santa Teresa na początku lipca 1955 roku, udając się do San Francisco czerwonym Porschem z rejestracją kalifornijską (numer XUJ 251). Zatrzymali się w San Francisco jedną albo dwie noce, po czym odплыli 6 lipca przez Vancouver do Honolulu na pokładzie angielskiego frachtowca „Swansea Castle”. Za wiadomość o ich obecnym miejscu pobytu czeka nagroda w wysokości tysiąca dolarów.

Przyjrzałem się bliżej przypiętym do anonsu fotografiom. Kobieta miała ciemne włosy i wielkie ciemne oczy, patrzące mrocznie ze starej fotografii. Jej rysy zdawały się rasowe i delikatne, z wyjątkiem mięsistych namiętych warg.

Twarz mężczyzny, w którym się domyśliłem kapitana Broadhursta, nie była tak jednoznaczna. Miała regularne rysy i osadzone skośnie oczy o twardym, nieustępliwym spojrzeniu. Podobieństwo do kobiety przy bliższym porównaniu okazało się powierzchowne. Mężczyzna krył się jakby za swoim butnym spojrzeniem, ale widać było, że należy do gatunku ludzi biorących, podczas gdy kobieta wyglądała na osobę dającą.

Obróciłem się do kartoteki. Jej górna szuflada została wyważona z taką siłą, że nie pozwalała się zasunąć. Była pełna listów, starannie posegregowanych żółtymi kartonikami. Stemple pocztowe obejmowały ostatnie sześć lat. Wyjąłem jeden z nowszych listów, na papierze firmowym Biura Podróży Santa Teresa. Napisany na maszynie list brzmiał:

Szanowny Panie!

Sprawdziliśmy w naszych aktach interesujące pana dane i potwierdzamy, że Pański ojciec, pan Leo Broadhurst, zarezerwował dwuosobową kabinę na frachtowcu „Swansea Castle”, który wypłynął około 6 lipca 1955 roku z San Francisco do Honolulu (via Vancouver). Bilety zostały wykupione, ale nie możemy stwierdzić, czy zostały wykorzystane. Od tego czasu „Swansea Castle” zmienił rejestrację i pływa obecnie pod flagą liberyjską. Odnalezienie ówczesnego armatora i kapitana będzie wymagało wiele zachodu. Czy życzy Pan sobie, abyśmy podjęli odpowiednie kroki?

Z poważaniem Harvey Noble właściciel.

Z kolei wyjąłem jeden ze starszych listów, pisany odręcznie na papierze z nadrukiem kościoła w Santa Teresa, przez pastora, wielbnego Lowella Riceymana.

Kochany Stanleyu!

Twój ojciec był moim parafianinem tylko o tyle, że czasami przychodził w niedzielę na mszę, jak sam pamiętasz. Muszę z żalem wyznać, że nigdy nie poznałem go bliżej. Wina była zapewne obopólna. Sprawiał wrażenie sportsmena, człowieka czynnego i pełnego energii, kochającego życie. Bez wątplenia taki pozostał i w Twojej pamięci.

Mimo całego zrozumienia i współczucia dla Ciebie, niech mi będzie wolno wyrazić przekonanie, że powinieneś się zadowolić tym wspomnieniem i nie brnąć dalej drogą, na którą wkroczyłeś wbrew moim radom. Twój ojciec zdecydował się porzucić Twoją matkę i Ciebie z powodów, których ani Ty, ani ja nie zgłębimy. Serce kieruje się często motywami, których rozum nie dociecze. Uważam, że byłoby nieroztropnością ze strony syna zagłębiać się zbyt w życie ojca. Któż z nas jest bez winy?

Pomyśl raczej o swoim własnym życiu, Stanleyu. Niedawno wzięłeś na siebie obowiązki małżeńskie - miałem przyjemność udzielać Ci ślubu, dobrze to pamiętam. Twoja żona jest uroczą, szlachetną kobietą, bezspornie zasługującą bardziej na Twoje

zainteresowanie niż dawne namiętności, o których piszesz. Od przeszłości nie można oczekiwać nic prócz tego - dobrego czy złego - co nam już przyniosła. Najlepsze, czego możemy się po niej spodziewać, to że nas uwolni od siebie ostatecznie. Musimy dążyć do tego wyzwolenia, musimy się z nim pogodzić i musimy ofiarowywać je innym.

Co do problemów małżeńskich, o których wspominasz, wierz mi, nie są one niczym niezwykłym. O tym wolałbym jednak porozmawiać z Tobą osobiście, zamiast przelewać na papier nieudolne myśli. A więc do rychłego zobaczenia.

Spojrzałem na świeżego trupa i przypomniałem sobie (tamtego wykopanego dziś rano w kanionie pani Broadhurst. Wielebny Riceyman dobrze radził Stanleyowi, ten jednak nie usłuchał jego rady. Ogarnęło mnie uczucie wstydu i żalu. Nie miałem powodu do specjalnej żałoby po Stanleyu, a jednak mnie to wzięło.

Uświadomiłem sobie, że muszę zawiadomić policję. Nie chcąc dotykać telefonu w gabinecie, wróciłem do kuchni. Gdy tylko zapaliłem światło, zobaczyłem wśród brudnych naczyń w zlewie brązową butelkę po whisky. Nakręciłem numer rejonowej komendy w Sun Valley i zameldowałem zabójstwo.

W ciągu dziewięciu czy dziesięciu minut, które minęły do przybycia radiowozu, odnalazłem w połowie najbliższej uliczki samochód Ala, zamknięty na klucz. W ostatniej chwili, gdy już słyhać było syrenę policyjną, przypomniałem sobie, że zostawiłem swoje auto na chodzie. Poszedłem do garażu i zgasilem motor. W bagażniku miałem słomkowy kapelusz. Włożyłem go, żeby ukryć rozbitą głowę, i zdążyłem powitać radiowóz przed domem.

Na ganek sąsiedniego domu wyszedł właściciel, popatrzył na nas i wrócił do siebie bez słowa. Poprowadziłem policjantów przez kuchnię, zwracając im uwagę na ślady włamania. Pokazałem trupa i opowiedziałem pokrótce, jak się na niego natknąłem. Spisawszy protokół zadzwonili po brygadę dochodzeniową, zapowiadając mi grzecznie, żebym się nie oddalał.

Powtórzyłem swoją historię ze szczegółami kapitanowi w cywilu, nazwiskiem Arnie Shipstad, którego znałem z czasów, gdy był sierżantem w komendzie hollywoodzkiej. Arnie był Szwedem o rumianej twarzy i bystrych życzliwych oczach, rejestrujących wszystkie detale gabinetu z dokładnością równą aparatowi fotografa policyjnego, który porobił denatowi zdjęcia z brodą, wąsami i w peruce, a następnie bez nich. Potem wsunęto ostrożnie ciało na nosze i wyniesiono. Arnie pozostał.

- Więc myślisz, że przyszedł po pieniądze?

- Nie ulega wątpliwości.

- I dostał w czapę, chociaż człowiek, który mu je obiecał, nie żyje. - Wziął anons, który mu pokazałem, i przeczytał na głos: - „Kto widział tego mężczyznę i tę kobietę?” Uważasz, że o to chodzi?

- Może.

- Jak sądzisz, dlaczego przyszedł w przebraniu?

- Mogło być wiele powodów. Może jest poszukiwany. Gotów byłbym zaryzykować o to zakład.

Arnie przytaknął głową.

- Sprawdzę. Ale jest i inna możliwość.

- Jaka?

- Mógł się w to wystroić na miasto. Faceci przebierają się często za długowłosych, idąc na dziewczynki. Może chciał odebrać pieniądze i urządzić sobie większy ubaw.

Musiałem przyznać, że i to niewykluczone.

ROZDZIAŁ XIV

Zjechawszy z Sepulveda przy Bulwarze Zachodzącego Słońca, znalazłem się w Pacific Palisades. Crandallowie mieszkali na ulicy ocienionej palmami, w domu udającym tudorowski dworek, z dwuspadowym dachem i brunatnym belkowaniem wystającym z muru. Stylowe wieiodzielne okna były oświetlone, jakby w domu odbywał się bal, choć jedynym słyszalnym dźwiękiem, nim zastukałem kołatką w ozdobnie rzeźbione drzwi, był szmer wiatru w suchych gałęziach palm.

Otworzyła mi blondynka w czerni, o ciele tak kształtnym, że wziąłem ją w ostrym świetle za Susan. Dopiero gdy przechyliła głowę, by mi się przyjrzeć, spostrzegłem, że czas już tknął jej twarz i zaczyna się dobieierać do szyi. Zwężonymi oczyma spojrzała w ciemność za mną.

- Pan Archer? - zapytała.

- Tak. Mogę wejść?

- Proszę. Mąż wrócił, ale odpoczywa.

Miała przesadnie poprawną artykulację, jakby brała lekcje dykcji. Byłem prawie pewien, że jej naturalna wymowa jest znacznie chropawsza i swobodniejsza.

Wprowadziła mnie do nieprzytulnego salonu z oślepiającym kryształowym kandelabrem, od którego bolały oczy, i nie rozpalonym marmurowym kominkiem. Usiedliśmy naprzeciwko siebie w stylowych fotelach. Kobieta przybrała piękną martwą pozę,

lecz twarz miała lekko ściągniętą. Zdawała się znudzona czy zniecierpliwiona, jakby w jej ciele żyły pospołu anioł i bestia.

- Czy Susan była zdrowa, kiedy pan ją widział?

- Była cała, bo o to pani chodzi.

- Gdzie jest teraz?

- Nie wiem.

- Powiedział pan, że sprawa jest poważna. - Jej głos był przyciszony, jakby dla pomniejszenia groźby. - Czy coś się stało? Proszę mi wszystko powiedzieć. Już trzecią noc siedzę przy telefonie.

- Znam to.

Pochyliła się ku mnie. Jej piersi wysunęły się do przodu.

- Ma pan dzieci?

- Nie, ale mają moi klienci. Jedno z nich zabrała z sobą Susan. Małego chłopca nazwiskiem Ronald Broadhurst. Słyszała pani o nim?

Zastygła na chwilę w namyśle, nim potrząsnęła głową.

- Nie wydaje mi się.

- Ojciec Ronalda został dziś rano zamordowany. Stanley Broadhurst.

Nie zareagowała na dźwięk tego nazwiska. Gdy jej zdawałem sprawę z wydarzeń dnia, siedziała jak dziecko zasłuchane w bajkę. Tylko jej dłonie poderwały się z kolan i przywarły do piersi. Mogło się zdawać, że to dwa niesforne stworzonka o czerwonych łapkach, poruszające się wbrew jej woli.

- Susan nie mogła zrobić czegoś takiego. Ma łagodne usposobienie. Kocha dzieci. Na pewno nie skrzywdziłaby małego chłopca.

- Więc czemu go porwała?

To nią wstrząsnęło. Spojrzała na mnie z niechęcią. Wyrwałem ją ze snu, w którym żyła. Dłonie opadły jej z powrotem na kolana.

- Musi być jakieś wytłumaczenie.

- Wie pani, dlaczego uciekła z domu?

- Nie mogę... oboje z mężem nie możemy tego pojąć. Wszystko układało się tak pomyślnie. Dostała się na uniwersytet w Los Angeles, miała ciekawe zajęcia wakacyjne, tenis, skoki z trampoliny, konwersacje francuskie. I nagle w czwartek rano, kiedy wyszliśmy po zakupy, zniknęła bez słowa. Nawet się nie pożegnała.

- Zawiadomili państwo policję?

- Lester to zrobił. Powiedzieli, że nie mogą nic obiecać. Co tydzień znika kilkudziesięciu młodych dziewcząt i chłopców. Nigdy nie przypuszczałam, że moja córka będzie jedną z nich. Miała naprawdę dobre życie, zapewniliśmy jej wszystko.

Przywołałem ją z powrotem do przykrew rzeczywistości.

- Nie zauważyła pani ostatnio u córki jakichś zasadniczych zmian?

- O czym pan mówi?

- O zmianach w jej zachowaniu. Może spała znacznie więcej niż normalnie? Albo znacznie mniej? Może zrobiła się drażliwa i wpadała bez powodu w gniew? Albo odwrotnie, zrobiła się apatyczna i przestała o siebie dbać?

- Nie zauważyłam niczego takiego. Susan się nie narkotyzuje, jeśli o to panu chodzi.

- Niech pani się dobrze zastanowi. W czwartek w nocy, chyba po zażyciu czegoś, skoczyła do basenu portowego w Santa Teresa.

- Czy był z nią Jerry Kilpatrick?

- Tak. Zna go pani?

- Był tu raz. Poznaliśmy go w Newport Beach. Sprawiał całkiem sympatyczne wrażenie.

- Kiedy to było?

- Ze dwa miesiące temu. Posprzeczali się z moim mężem i więcej się nie pokazał.

W jej głosie był zawód.

- O co się posprzeczali?

- O to musi pan spytać Lestera. Jakoś nie przypadli sobie do gustu.

- Chciałbym porozmawiać z pani mężem.

- Odpoczywa. Ma za sobą kilka ciężkich dni.

- Przykro mi, ale „będzie pani musiała mu przeszkodzić.

- Wołałabym tego nie robić. Lester nie jest już taki młody, rozumie pan.

Nie ruszyła się z miejsca. Była jedną z tych platynowych blondyn żyjących w nierealnym świecie, które nie potrafią stawić czoła żadnemu kryzysowi. Jedną z matek, które gotowe są czekać godzinami przy telefonie, a potem nie wiedzą, co powiedzieć, gdy zadzwoni.

- Pani córka wypląnęła na morze z nieobliczalnym chłopakiem. Jest podejrzana o porwanie i morderstwo. A pani nie chce niepokoić jej ojca. - Wstałem i otworzyłem drzwi salonu. - Jeśli pani nie poprosi męża, sam go znajdę.

- Skoro pan nalega.

Gdy mnie mijala w drzwiach, prawie fizycznie poczułem w jej doskonałym cieple chłód, który wycisnęła swoje piętno na charakterze tego pokoju, z jego rozjarzonym kandelabrem przywodzącym na myśl kiść zastygłych łez i białym marmurowym kominkiem przypominającym grobowiec. Nawet kwiaty w wazonach były plastikowe, bezwonne, emanujące martwą aurę sztuczności.

Do pokoju wszedł Lester Crandall, jakby to on był gościem, nie ja. Był przysadzistym mężczyzną o stalowo-siwych włosach i bokobrodach, które obejmowały jego nieco zmiętą twarz jak pinceta eksponat. Miał uśmiech człowieka, któremu zależy, żeby być lubianym. Uścisnął mi mocno dłoń. Zauważyłem, że ma duże, zdeformowane ręce z zastarzałymi śladami pracy fizycznej - spuchniętymi stawami, zrogowaciałym naskórkiem. Harował całe życie, żeby się dochrapać tych luksusów - pomyślałem - po to, by jego córka odtrąciła je jednym ruchem.

Miał na sobie wzorzysty czerwony jedwabny szlafrok, nałożony na spodnie i podkoszulek. Zaróżowiona twarz i wilgotne włosy zdradzały, że wyszedł przed chwilą z kąpeli. Przeprosiłem, że mu przeszkadzam, ale zbył to machnięciem ręki.

- Gotów byłbym wstać o każdej porze nocy, może mi pan wierzyć. Podobno ma pan wiadomości o mojej małej dziewczynce?

Powiedziałem mu pokrótce, co wiem. Pod ciężarem moich słów jego twarz jakby się napięła. Ale był zdecydowany nie pokazać po sobie strachu, mimo że w oczach wzbierały mu łzy.

- Nie robi tego wszystkiego bez powodu - powiedział. - Susan to rozsądna dziewczyna. Nie wierzę, żeby się narkotyzowała.

- Może pan wierzyć albo nie, to nie zmieni postaci rzeczy - odrzekłem.

- Pan jej nie zna. Spędziłem cały wieczór kursując tam i z powrotem po Sunset Strip. Dało mi to pojęcie o tym, co się dzieje z dzisiejszą młodzieżą. Ale Susan nie jest taka. Była zawsze bardzo zdyscyplinowana.

Usiadł ciężko na jednym ze stylowych foteli, jakby te parę zdań na zakończenie długiego wieczoru zupełnie go wyczerpało. Usiadłem naprzeciwko niego.

- Nie będziemy dyskutowali - powiedziałem. - Jeden dobry ślad jest więcej wart od wszystkich teorii świata.

- Święta racja.

- Czy mógłbym obejrzeć notes Susan? Podobno pan go ma.

Podniósł wzrok na żonę, która stała nad nim.

- Nie przyniosłabyś, mamusku? Jest w bibliotece na stole.

Kiedy wyszła, powiedziałem do Crandalla:

- Nim dojdzie do takiego kryzysu jak u państwa, rodzina ma prawie zawsze sygnały ostrzegawcze. Czy Susan nie miała ostatnio jakichś kłopotów?

- Absolutnie żadnych. Nie miała najmniejszego kłopotu w życiu, jeśli pan chce wiedzieć.

- Może piła?

- Nie lubi alkoholu. Dawałem jej czasami spróbować ze swojego kieliszka, tylko się krzywiła.

Sam się skrzywił. Pozostawiło to na jego twarzy wyraz przestachu czy konsternacji. Przypomniało mu się coś czy próbował nie dopuścić do siebie jakiejś myśli, nie wiedziałem.

- Jak córka spędza wolny czas?

- Jesteśmy bardzo zżytą rodziną - odrzekł. - Spędzamy wiele czasu razem. Mam kilka moteli na wybrzeżu i często robimy krótkie wypadki we trójkę, łącząc przyjemne z pożytecznym. Poza tym Susan ma oczywiście zajęcia pozaszkolne, tenis, skoki z trampoliny, konwersacje francuskie.

Był jak człowiek z zawiązanymi oczami, usiłujący po omacku odnaleźć dziewczynę, której nie ma. Zaczynało mi się powoli rozjaśniać w głowie. Zwykły problem - egzystencja tak jałowa i przygnębiająca, że młodzi przy pierwszej okazji uciekają od niej, by się zachłysnąć prawdziwym życiem. Albo szukają ucieczki w narkotykach.

- Czy Susan spędza dużo czasu na Sunset Strip?

- Skądże, proszę pana. Nigdy tam nie była. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

- Więc dlaczego pan jej tam szukał?

- Podsunął mi to jeden policjant. Powiedział, że to port zaginionych dziewcząt i może ją tam znaleźć.

- Z jakimi chłopcami córka chodzi?

- Ma niewiele do czynienia z chłopcami. Była na paru prywatkach, oczywiście pod nadzorem dorosłych. I posyłamy ją od lat na lekcje tańca, zarówno towarzyskiego, jak baletowego. Ale co do chodzenia z chłopcami, to prawdę mówiąc, jestem temu przeciwny. Przy dzisiejszym stanie obyczajów, sam pan rozumie. Spotyka się i przyjaźni głównie z dziewczętami.

- A Jerry Kilpatrick? Słyszę, że ją odwiedzał. Crandall poczerwieniał.

- Tak, był tu raz, jakoś w czerwcu. Mieli sobie z Susan mnóstwo do powiedzenia, ale zamilkli, gdy tylko wszedłem do pokoju. Nie podobało mi się to.

- Podobno doszło do sprzeczki? Rzucił mi badawcze spojrzenie.

- Skąd pan wie?

- Od pańskiej żony.

- Kobiety zawsze za dużo gadają. Tak, przemówiliśmy się. Chciałem skorygować jego filozofię życiową. Zapytałem po przyjacielsku, co ma zamiar robić w życiu, a on mi odpowiedział, że nie zaprzęta sobie tym głowy, jakoś to będzie. Nie zadowolili mnie ta odpowiedź, zapytałem, co by się stało z krajem, gdyby wszyscy przyjęli podobną postawę. Odparł, że już się to stało. Nie wiem, co przez to rozumiał, ale nie podobał mi się jego ton. Powiedziałem, że jeśli wyznaje taką filozofię, to może sobie iść i więcej się nie pokazywać w moim domu. Odszczeknął, że z przyjemnością to zrobi, gówniarz jeden. I rzeczywiście, poszedł i więcej nie wrócił. Bóg z nim, mała strata, krótki żal.

Twarz Crandalla zrobiła się ciemnopurpurowa, na skroni pulsowała mu żyła. Moja obolała głowa pulsowała także.

- Żona uważała wówczas, że źle zrobiłem - podjął. - Wie pan, jakie są kobiety. Jeśli dziewczyna nie wyjdzie za mąż albo przynajmniej nie jest zaręczona w wieku osiemnastu lat, to od razu uważają, że zostanie starą panną. - Przekrzywił głowę, jakby odebrał jakiś niesłyszalny dla mnie sygnał. - Ciekawym, co mamuśka robi tyle czasu w bibliotece.

Wstał i otworzył drzwi do hallu. Poszedłem za nim. Ruchy miał ciężkie, zrezygnowane, jakby barki przytłaczała mu już rozpacz, której nie dopuszczał jeszcze do świadomości.

Za drzwi biblioteki dochodził kobiecy płacz. Pani Crandall stała twarzą do ściany pustych półek i zanosiła się łkaniem. Crandall podszedł i pogładził kojąco jej plecy wstrząsane spazmami.

- Nie płacz, mamuśku. Sprowadzimy ją z powrotem.

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Susan nigdy tu nie wróci. Nie mieliśmy prawa jej tu przywozić.

- Co ty?

- To nie miejsce dla nas. Wszyscy to rozumieją z wyjątkiem ciebie.

- Nieprawda. Mam więcej na koncie niż ktokolwiek na tej ulicy. Większość sąsiadów mógłbym kupić i sprzedać.

- Co mi po koncie. Jesteśmy tu jak ryby bez wody. Nie mam ani jednej przyjaznej duszy na całej ulicy. Susan też nie.

Ujął ją ciężkimi dłońmi za ramiona, obrócił twarzą do pokoju.

- Wymyślasz niestworzone historie, mamuśku. Wszyscy mi się kłaniają, uśmiechają się, kiedy przejeżdżam. Wiedzą, kim jestem i co sobą reprezentuję.

- Może wiedzą. Ale to nie pomaga Susan ani mnie.

- W czym nie pomaga?

- Życ - powiedziała. - Udawałam, że wszystko jest w porządku. Ale teraz wiemy, że nie jest.

- Wszystko się znowu ułoży, gwarantuję ci. Wszystko będzie klasa.

- Nigdy nie było.

- Nonsens, dobrze wiesz, że było.

Jęła gwałtownie kręcić głową. Crandall powstrzymał dłońmi jej przeczące ruchy, jakby to był jedynie nerwowy tik. Odgarnął jej włosy z czoła, które pozostało jasne i niezmacone na przekór twarzy zalanej łzami. Oparła się na nim, pozwalając się podtrzymywać. Jej twarz spoczywała nieruchomo na jego ramieniu, niepomna mojej obecności, jak twarz kobiety, która utonęła we własnym życiu.

Przytuleni wyszli do hallu, zostawiając mnie samego w bibliotece. Na stoliku w rogu leżał otwarty mały notes. Usiadłem, by go przejrzeć. Na czerwonej safianowej okładce był złotymi literami wytłoczony napis „Adresy”. Na pierwszej kartce właścicielka wypisała niewyrobionym charakterem swoje nazwisko: „Susan Crandall”. W notesie były adresy i telefony trzech dziewcząt i jednego chłopca, Jerry’ego Kilpatricka. Zrozumiałem powód płaczu matki Susan. Ich rodzina stanowiła samotne trio, żyjące jak aktorzy w hollywoodzkich dekoracjach. Teraz pozostało ich tylko dwoje do podtrzymywania fikcji.

Do biblioteki weszła pani Crandall przyprowadzając mnie o nowe zaskoczenie. Zdążyła umyć twarz, uczesać się i umalować, błyskawicznie i precyzyjnie.

- Przepraszam pana - powiedziała. - Nie chciałam się rozkleić.

- Nikt nigdy nie chce. Ale to czasami dobrze robi.

- Nie mnie i nie Lesterowi. On może nie wygląda na to, ale jest bardzo uczuciowy.

Kocha Susan.

Podeszła do stolika. Smutek emanował od niej jak zapach perfum. Należała do tych rzadkich istot, które nie tracą kobiecego wdzięku w żadnych okolicznościach.

- Ma pan rozbitą głowę - powiedziała. - Rozbił mi Jerry Kilpatrick.

- Przyznaję, pomyliłam się co do niego.

- Ja także, proszę pani. Co zrobimy z Susan?

- Nie wiem. - Stała nade mną przewracając z westchnieniem puste kartki notesu. -

Rozmawiałam ze wszystkimi jej koleżankami. Z tymi, które tu figurują, i z innymi. Z żadną się właściwie nie przyjaźniła. Chodziły razem do szkoły, grały w tenisa, to wszystko.

- To nie życie dla osiemnastoletniej dziewczyny.

- Wiem. Próbowałam jej aranżować różne kontakty, ale nic z tego nie wychodziło.
Bała się.

- Czego?

- Nie wiem. Ale to był najprawdziwszy strach. Przez cały czas drżałam, że ucieknie z domu. I stało się.

Zapytałam, czyby mi nie pokazała pokoju Susan.

- Dobrze, ale niech pan nie wspomina o tym Lesterowi. Gniewałby się.

Zaprowadziła mnie do wielkiego pokoju z rozsuwanymi oszklonymi drzwiami, wychodzącymi na patio. Mimo swoich rozmiarów pokój sprawiał wrażenie zatłoczonego. Meble koloru kości słoniowej ze złotymi wykończeniami harmonizowały ze stereofonicznym adapterem, telewizorem, panińskim biurkiem i kremowym telefonem. Przywodziło to na myśl królewskiego więźnia, który ma spędzić życie w jednym pomieszczeniu. Na ścianach wisiały plakaty psychodeliczne i fotografie męskich zespołów beatowych, jeszcze podkreślające ciszę. Nie było żadnych zdjęć ani innych śladów ludzi z krwi i kości, których dziewczyna by знаła.

- Jak pan widzi - powiedziała jej matka - staraliśmy się dać jej wszystko. Ale nie tego chciała.

Pokazała mi wnętrze szafy, pachnące wonnymi saszetkami. Wiszące w nim ciasno sukienki i płaszczyki przypominały kolumnę maszerujących dziewcząt. Również zawalających komodę sweterków i innych fatalaszków starczyłoby do ubrania dziewczęcego internatu. Z jedynej szuflady toaletki wysypywały się kosmetyki.

Na kremowym biurku leżała otwarta książka telefoniczna. Usiadłem na wyściełanym krześle i zapaliłem świetlówkę nad biurkiem. Książka była otworzona na żółtych kartach, w miejscu, gdzie ogłaszały się motele, i w prawym dolnym rogu widniała reklama motelu Pod Gwiazdą. Nie mógł to być przypadek. Podzieliłem się odkryciem z panią Crandall, ale nic jej to nie mówiło. Opis Ala też nie.

Poprosiłem, żeby mi dała jakieś niedawne zdjęcie Susan. Zaprowadziła mnie do pokoiku, który nazwała pokojem dc robót ręcznych, i wyjęła pocztówkową fotografię maturalną. Patrzyła z niej młoda blondynka o jasnych oczach, wyglądająca, jakby miała nigdy nie utracić niewinności i młodości, nigdy się nie zestarzeć i nie umrzeć.

- Kiedyś ja tak wyglądałam - powiedziała jej matka.

- Do dziś jest uderzające podobieństwo.

- Trzeba mnie było widzieć, kiedy chodziłam do szkoły.

Nie była to czcza przechwałka, ale zabarwiła jej dystyngowany chłód szczyptą pospolitości.

- Żałuję, że pani wtedy nie znałem - odrzekłem. - Gdzie pani chodziła do szkoły?

- W Santa Teresa.

- Czy dlatego Susan tam pojechała?

- Wątpię.

- Nie mają tam państwo jakichś krewnych?

- Już nie. - Zmieniła temat. - Jeśli dowie się pan czegoś o Susan, da nam pan zaraz znać?

Przyrzekłem, a ona, jakby dla dobicia targu, wręczyła mi fotografię. Schowałem ją wraz z książką w zielonej okładce i wyszedłem. Cienie palm kładły się jak rozbryzgi ciemnej cieczy na bruku i na dachu mego auta.

ROZDZIAŁ XV

Motel Pod Gwiazdą stał na wąskim, gęsto zabudowanym skrawku lądu między autostradą a oceanem, wsparty tylną częścią na palach. Obok mieściła się całonocna stacja obsługi, której światła padały na żółtą elewację motelu, imitującą kamień, i poszarzałą tabliczkę „Wolne pokoje” na drzwiach recepcji. Wszedłem do środka i stuknąłem w przycisk ręcznego dzwonka na kontuarze. Z zaplecza wyszedł ciężko mężczyzna o pofałdowanej, zaspanej twarzy. Zlustrował mnie spod oka.

- Pojedynczy czy podwójny?

Odparłem, że szukam pewnego mężczyzny, i zacząłem opisywać Ala. Przerwał mi niecierpliwym ruchem brudnej głowy. Gniew nagromadzony w nim jak trująca substancja podszedł mu do gardła i mało go nie zadławił.

- Nie ma pan prawa budzić mnie po nocy. To zakład handlowy.

Położyłem na kontuarze dwa banknoty dolarowe. Przełknął gniew i zgarnął pieniądze.

- Dziękuję. Pański kolega mieszka z żoną w siódemce. Pokazałem mu fotografię Susan.

- Była tutaj?

- Może i była.

- Albo pan ją widział, albo nie.

- Za co jest poszukiwana?

- Za nic. Uciekła z domu.

- Pan jest ojcem.

- Przyjacielem rodziny - powiedziałem. - Więc co, była tutaj?

- Zdaje się, że była przed paroma dniami. Od tamtej pory jej nie widziałem. Zresztą - dodał z krzywym uśmiechem - dowiedział się pan dosyć za swoje dwa dolary.

Zostawiłem go i ruszyłem wzdłuż galerii obudowanej balustradą. Fale przypływu chlupotały melancholijnie o pale. Neonowe litery stacji obsługi mieniły się na wodzie jak opalizująca plama. Kiedy zapukałem, blaszana siódemka zagrzecotała na drzwiach. Wąska smuga światła obramiająca drzwi poszerzyła się nieco. Ujrzawszy moją twarz, kobieta za drzwiami chciała je zamknąć, ale wsunąłem łokieć i ramię w szparę i wszedłem.

- Zjeżdżaj pan - powiedziała.

- Chcę tylko zadać parę pytań.

- Niestety, straciłam pamięć. - Zdawała się rozumieć to dosłownie. - Czasami nie wiem, jak się nazywam.

Jej głos był martwy, twarz bez wyrazu. Tylko w oczach i w kącikach ust pojawiały się ślady zapomnianej mimiki. Wyglądała równocześnie młodo i staro. Zakutana była w pikowany różowy szlafrok, tak że nie wiedziałem, czy jest dobrze zakonserwowaną kobietą, czy nad wiek zniszczoną dziewczyną. Jej oczy były koloru mroku w kątach pokoju.

- A jak się nazywasz?

- Mów mi Elegantka.

- Bombowe imię.

- Dziękuję. Wpadło mi kiedyś do głowy, jak się czułam na sto dwa. Już dawno się nie czuję.

Rozejrzała się po pokoju, jakby wszystkiemu winne było otoczenie. Skotłowana pościel wałała się po podłodze. Na komodzie, wśród ponadgryzanych hamburgerów, stały puste butelki. Krzesła były obwieszane jej garderobą.

- Gdzie Al? - zapytałem.

- Powinien już dawno wrócić. Ale go nie ma.

- Jak on się nazywa?

- Każe się nazywać Al Nesters.

- A skąd pochodzi?

- Mam nikomu nie mówić.

- Czemu?

Zrobiła nieokreślony gest zniecierpliwienia.

- Za dużo byś chciał wiedzieć. Co ty sobie wyobrazasz?

Nie próbowałem na to odpowiadać.

- Dawno stąd wyjechał?

- Ładne parę godzin. Nie wiem dokładnie. Nigdy nie mogę się połapać w czasie.

- Założył perukę, wąsy i brodę przed wyjazdem? Posłała mi nie rozumiejące spojrzenie.

- Niczego takiego nie nosi.

- Albo ty o tym nie wiesz.

Na jej twarzy pojawił się błysk zainteresowania, może nawet gniewu.

- Co to ma znaczyć? Al mnie kantuje?

- Może. Kiedy go widziałem wieczorem, miał długą czarną perukę z wąsami i brodą do kompletu.

- Gdzie go widziałeś?

- W Northridge.

- To ty mu obiecałeś pieniądze?

- Nie, ale występuję w imieniu tego faceta.

Była w tym odrobina prawdy - pracowałem przecież dla żony Stanleya Broadhursta. Poczulem się, jakbym pośredniczył między dwoma duchami. W jej oczach zapalił się ponownie błysk zainteresowania.

- Przywiozłeś ten tysiąc?

- Tyle nie.

- Możesz mi zostawić to, co przywiozłeś.

- Nie wydaje mi się.

- Przynajmniej tyle, żeby starczyło na szprycę.

- To znaczy?

- Dwadzieścia dolarów urządzi mnie na dziś i na cały jutrzejszy dzień.

- Zastanowię się. Nie jestem pewien, czy Al wywiązał się z zobowiązania.

- Dobrze wiesz, że się wywiązał, jeśli w tym siedzisz. Czeka na forszę już parę dni. Jak długo ma jeszcze czekać?

Musiałbym odpowiedzieć: do sądnego dnia. Wolałem tego nie mówić. Powiedziałem:

- Nie sądzę, żeby usługa była warta całego patyka.

- Nie zasuważ. Tyle stało napisane. - Jej błędne oczy się zwężyły. - Czy ty aby na pewno występujesz w imieniu tego nadzianego bubka? Jak mu tam, Broadman?

- Broadhurst. Stanley Broadhurst.

Usiadła swobodniej na brzegu łóżka. Nie czekając, aż znowu obudzą się w niej podejrzenia, pokazałem jej fotografię otrzymaną od matki Susan. Obejrzała ją z wyrazem zazdrości i uznania.

- Byłam kiedyś prawie taka ładna - powiedziała zwracając fotografię.

- Wiadomo, Elegantka.

Dźwięk tego przezwiska sprawił jej przyjemność. Uśmiechnęła się.

- Wcale nie tak dawno, jak przypuszczasz.

- Wierzę. Znasz tę dziewczynę?

- Widziałam ją raz czy dwa.

- Niedawno?

- Zdaje się. Okropnie mi się płacze czas. Tyle mam na głowie. Była tutaj w ostatnich dniach.

- Co robiła?

- O to musisz spytać Ala. Kazał mi wyjść z pokoju i czekać w wozie. Szczęście, że nie jestem zazdrosna. To mi musi każdy przyznać.

- Myślisz, że Al się z nią kochał?

- Możliwe. Po nim można się wszystkiego spodziewać. Ale głównie chciał jej rozwiązać język. Kazał mi dosypać LSD do Coli. Miało ją to rozkleić.

- O czym mówiła?

- Skąd mogę wiedzieć. Al zabrał ją gdzieś, więcej jej nie widziałam. Chodziło chyba o sprawę tego Broadmana... Broadhursta. Al o niczym innym nie myślał przez cały tydzień.

- Którego to było dnia? W czwartek?

- Nie pamiętam. Spróbuję sobie przypomnieć. - Jej wargi poruszyły się w takt liczenia, jakby między tamtym dniem a dzisiejszym przekroczyła międzynarodową strefę czasu. - W niedzielę wyjechaliśmy z Sacramento, pamiętam dobrze. Al pojechał do San Francisco odpowiedzieć na ogłoszenie. Noc spędziliśmy tam, w poniedziałek przyjechaliśmy tutaj. A może to był wtorek? Jeszcze raz, jaki dziś dzień?

- Sobota wieczór. Właściwie już niedziela rano. Zaczęła liczyć na palcach. Minione noce i dni kładły się cieniem na jej twarzy.

- Al, zdaje się, złapał tego Broadhursta w środę. Wrócił tutaj i powiedział, że będziemy mogli prysnąć za granicę najpóźniej w sobotę. - Spojrzała na mnie z nagłą wrogością. - Gdzie te pieniądze? Co się z nimi dzieje?

- Nie zostały wypłacone.

- Kiedy je dostaniemy?

- Nie wiem. Nie wiem nawet, co Al miał za nie zrobić.

- Proste - powiedziała. - Chodziło o tego faceta z babką. Al miał wskazać, gdzie są. Powinieneś to wiedzieć, jak pracujesz dla Broadhursta.

- Broadhurst mi się nie zwierza.

- Chyba widziałeś ogłoszenie w „Chronicie”?

- Nie. Masz je?

Pospieszyłem się zbyt i na jej twarzy pojawiła się nieufność.

- Może mam, a może nie mam. Co za nie dostanę?

- Obiecuję, że coś dostaniesz. Ale jeżeli to ogłoszenie ukazało się w „San Francisco Chronicle”, to widziało je co najmniej milion osób. Możesz pokazać i mnie.

Rozważyła to, po czym wyciągnęła spod łóżka sfatygotowaną walizkę, otworzyła ją i podała mi wycinek po-przecierany w miejscach złożenia. Ogłoszenie zajmowało dwie kolumny i miało może piętnaście centymetrów wysokości. Reprodukcji zdjęć, które znalazłem w biurku Stanleya Broadhursta, towarzyszył nieco zmieniony tekst:

Kto może zidentyfikować tego mężczyznę i tę kobietę? Pod nazwiskiem państwa Ralphostwa Smithów przybyli samochodem do San Francisco około 5 lipca 1955 roku. Stamtąd prawdopodobnie odpłynęli przez Vancouver do Honolulu na pokładzie frachtowca „Swansea Castle”, który wyszedł z San Francisco 6 lipca 1955. Ale mogą również mieszkać do dziś w rejonie Zatoki San Francisco. Tysiąc dolarów nagrody za informację, która doprowadzi do ustalenia obecnego miejsca pobytu tej pary.

Obróciłem się do kobiety, która kazała się nazywać Elegantką.

- I gdzie są?

- Mnie pytasz? - Wzruszyła ramionami, aż rozchylił się szlafrok. Owinęła go ciasniej dokoła piersi. - Chociaż chyba widziałam tę kobietę.

- Kiedy?

- Niech sobie przypomnę.

- Jak ona się nazywa?

- Al mi nie powiedział. W ogóle nic mi nie mówi. Ale wstąpiliśmy do jej domu jadąc tutaj. Mignęła mi jej twarz w drzwiach. Oczywiście się zestarzała, ale jestem prawie pewna, że to była ona. - Zastanowiła się. - A może nie. Al chyba od niej dostał wycinek.

- Ogłoszenie?

- Tak. Nie trzyma się to kupy, co? Może truł. A może mi się coś pokiełbało.

- Umiałabyś powiedzieć, gdzie jest ten dom?

- To musi kosztować - oświadczyła.

- Ile?

- Jak w ogłoszeniu. Tysiąc. Al by mnie zakatrupił, jakbym wzięła mniej.

- Al nie wróci.

Poszukała moich oczu i nie odwróciła wzroku.

- Nie żyje, tak?

- Tak.

Skuliła się na brzegu łóżka, jakby zmrożona wiadomością o śmierci Ala.

- Wiedziałaś, że nie dotrzemy do tego Meksyku. - Posłała mi zimne, świdrujące spojrzenie jak pozbawiony jadu wąż. - Ty go kropnąłeś?

- Nie.

- Gliny?

- Co ci przyszło do głowy?

- Al był zbiegiem. - Rozejrzała się po pokoju. - Muszę się stąd zbierać.

Ale się nie ruszyła.

- Był zbiegiem skąd?

- Dał nogę z więzienia. Powiedział mi o tym kiedyś po pijanemu. Powinam go była rzucić, póki czas. - Poderwała się i zrobiła gorączkowy gest. - Co się stało z moim Volkswagenem?

- Gliny położyły na nim pewnie łapę.

- Muszę się stąd wydostać. Weź mnie z sobą.

- Nie. Możesz złapać autobus.

Posłała mi kilka wyzwisk, które nie zrobiły na mnie większego wrażenia. Dopiero gdy ruszyłem do drzwi, pobiegła za mną.

- Ile możesz dać?

- Nie tysiąc.

- Stówę? Miałabym za co wrócić do Sacramento.

- Jesteś z Sacramento?

- Mieszkają tam moi rodzice. Ale nie chcą mnie znać.

- A Al?

- On nie ma rodziców. Wychował się w sierocińcu.

- Gdzie?

- W takim mieście na północ stąd. Wstępowaliśmy tam po drodze. Pokazał mi sierociniec.

- Wstępowaliście do sierocińca?

- Nic nie rozumiesz - powiedziała protekcyjnie. - Pokazał mi sierociniec w przejeździe. A zatrzymaliśmy się w mieście, żeby zdobyć forszę na benzynę i życie.

- W jakim mieście?

- W jednym z tych Santa. Santa Teresa, zdaje się.

- Jak zdobyliście forszę?

- Al wydębił od jednej starszej kobiety. Dała mu dwadzieścia dolarów. Al ma swoje sposoby na starsze paniusie.

- Mogłabyś ją opisać?

- Bo ja wiem. Taka starszawa kobiecina w starym domku na małej uliczce. Nawet ładna była ta uliczka, cała w kwitnących fioletowych drzewach.

- Jakarandach? Kiwnęła głową.

- Tak, w kwitnących jakarandach.

- Czy ta kobieta nie nazywała się pani Snow?

- Chyba tak.

- A ta kobieta z ogłoszenia? Gdzie ona mieszka? Na jej twarzy pojawił się wyraz głupawej chytrności.

- To musi kosztować. O to przecież cały szum.

- Dam ci pięćdziesiąt dolarów.

- Pokaż.

Wyjąłem portfel i dałem jej banknot otrzymany w charakterze napiwku od Fran Armistead. Byłem po trosze rad, że się go pozbywam, chociaż i tym razem miałem poczucie czegoś poniżającego dla jednej i dla drugiej strony. Jakbym wpłacał pierwszą ratę na ten pokój i jego lokatorkę. Ta pocałowała banknot.

- Z nieba mi spadł. Wydostanę się z tej nory.

Ale rozejrzała się po pokoju, jakby to był koszmar stale powracający w jej snach.

- Miałaś mi powiedzieć, gdzie mieszka kobieta z ogłoszenia.

- Miałam? - Ociągała się zakłopotana. Powiedziała z przymusem: - Mieszka w takim wielkim starym domu w lesie.

- Zmyślasz.

- Nie zmyślam.

- O jakim lesie mówisz?

- Gdzieś na Półwyspie. Nie zwracałam zbytnio uwagi po drodze. Miałam kaca, byłam po seansie einsteinowskim.

- Po seansie einsteinowskim?

- Tak. To kiedy człowiek dociera do końca galaktyki, za ostatnią gwiazdę, gdzie kosmos się zagina:

- Gdzie na Półwyspie?

Potrząsnęła głową, tak jak się potrząsa zegarkiem, który przestał chodzić.

- Nie pamiętam. Tyle jest tych miejscowości jedna za drugą. Nie pamiętam, w której.

- Jak wyglądał dom?

- Był bardzo stary, piętrowy... nie, dwupiętrowy. Miał dwie okrągłe wieżyczki, po jednej z każdej strony.

Podniosła pionowo kciuki.

- Jakiego był koloru?

- Taki szary, zdaje się. Wydawał się zielonkawoszary między drzewami.

- Jakimi drzewami?

- Dębami - powiedziała - i sosnami. Ale głównie dębami.

Odczekałam chwilę.

- Co więcej pamiętasz?

- To już chyba wszystko. Nie było mnie tam naprawdę, rozumiesz? Naprawdę byłam gdzieś koło Arktura, patrzyłam z góry. Aha, między drzewami biegał ogromny pies. Dog. Miał wspaniały szczek.

Zaszczekała basem dla zademonstrowania.

- Był z tego domu?

- Nie wiem. Chyba nie. Tak, pamiętam. Pomyślałam, że wygląda na zagubionego. Czy to ci coś da?

- Nie wiem. Którego to było dnia?

- W niedzielę, zdaje się. Mówiłam, że wyjechaliśmy z Sacramento w niedzielę, prawda?

- To trochę, mało jak za pięćdziesiąt dolarów. Zmieszła się i przestraszyła, że jej odbiorę pieniądze.

- Mogę się z tobą przespać, jak chcesz.

Nie czekając wstała i zrzuciła różowy szlafrok na podłogę. Ciało miała młode, o wysokich piersiach i wąskiej kibici, niemal za szczupłe. Ale na jej udach i ramionach widniały siniaki jak orderzy za wierną służbę. Była nad wiek zniszczoną dziewczyną. Podniosła wzrok na moją twarz. Nie wiem, co w niej ujrzała, dość że rzekła:

- Al mnie trochę poturbował. Był zupełnie szalony po więziennym poście. Nie chcesz mnie, zdaje się, co?

- Dziękuję ci. Miałem ciężki dzień.

- I nie weźmiesz mnie z sobą?

- Nie.

Dałem jej swój bilet wizytowy i poprosiłem, żeby dzwoniła na mój koszt, gdyby sobie coś przypomniała.

- Wątpię - odrzekła. - Mam pamięć jak rzeszoto.

- Albo gdybyś potrzebowała pomocy.

- Zawsze potrzebuję. Ale ty nie będziesz chciał o mnie więcej słyszeć.

- Jakoś to przeżyję.

Oparłszy mi dłonie na ramionach, uniosła się na palcach i musnęła mi usta smutnymi wargami.

Wyszedszy złożyłem ogłoszenie Stanleya Broadhursta i zamknąłem je wraz z książką w zielonej okładce w bagażniku auta. Potem wróciłem do siebie, do Zachodniego Los Angeles.

Przed pójściem do łóżka połączyłem się z numerem przyjmującym dla mnie zlecenia. Nocna sekretarka poinformowała mnie, że dzwonił Arnie Shipstad. Mężczyzna, którego trupa znalazłem w domu Stanleya Broadhursta, zbiegł niedawno z więzienia stanowego w Folsom. Nazywał się Albert Sweetner i miał kilkanaście wyroków. Po raz pierwszy był aresztowany w Santa Teresa w Kalifornii.

ROZDZIAŁ XVI

Była późna noc, w pół drogi do świtu. Oszłomiłem się solidnym haustem whisky i poszedłem spać. We śnie, który owładnął moim otępiałym umysłem, musiałem stawić się gdzieś w bardzo krótkim czasie. Ale gdy wyszedłem, auto nie miało kół, nie miało nawet kierownicy.

Siedziałem w nim jak ślimak w skorupie i obserwowałem przesuwaną się obok noc.

Obudziłem się, gdy światło przenikające przez żaluzje zaczęło szarzeć, potem bieleć. Leżałem nasłuchując budzącego się ruchu ulicznego. Zaćwierkało kilka ptaków. O pełnym brzasku zaczęły skrzeczeć i bombardować do okna sójki. Zapomniałem o nich. Na ich zgiełkliwe napomnienie przeszedł mnie zimny dreszcz. Zrzuciłem prześcieradło, wstałem, ubrałem się.

W szafce kuchennej była ostatnia puszka orzeszków arachidowych. Sypnąłem garść przez okno i przyglądałem się, jak sójki śmigają w dół. Zdawało mi się, że patrzę na

wyświetlaną od końca, błękitną eksplozję, która scala na powrót poranny świat. Ale brakowało w nim centralnego ogniwa.

Ogoliłem się, wyszedłem na śniadanie i już nie wracałem. Na wiele mil przed Santa Teresa, wcześniej, niż się spodziewałem, nad autostradą wykwitł ogień. Rozprzestrzenił się na południe i na wschód, wzdłuż linii wzgórz, które były czarne, obrębione płomieniami. Ale masy wilgotnego powietrza, które napłynęły w nocy znad oceanu, odwróciły pożar od nadbrzeżnej równiny i miasta. Wiatr wiał nadal od oceanu. W miejscu, gdzie autostrada szła łukiem nad brzegiem, widać było białą pianę niesioną znad wody i słyhać potężny przybój.

Zatrzymałem się przed letnim domkiem Armisteadów. Fala była wysoka, przewalające się grzywacze zalewały całą plażę i lizały pale, na których stał dom. Zapukałem do drzwi na piętrze od frontu. Otworzyła mi Fran Armistead w męskiej piżamie. Twarz miała zapuchniętą od snu, włosy jak nastroszone pióra.

- Czy my się znamy? - zapytała bez wrogości.

- Archer - przypomniałem. - Odstawiłem wczoraj pani auto. Uciekaliśmy razem przed pożarem.

- Oczywiście. To zabawne być uciekinierką, prawda?

- Może pierwszy raz. Czy pani mąż jest w domu?

- Niestety, wyszedł bardzo wcześnie.

- Nie wie pani, dokąd?

- Pewnie na przystań. Wziął sobie bardzo do serca tę historię z jachtem. Kiedy pan Kilpatrick zadzwonił rano, nic nie wiedział, że „Ariadna” została ukradziona.

- Znaczący, że nie ma żadnych wiadomości o „Ariadnie”?

- Nie było, kiedy wychodził. Roger jest wściekły na małego Kilpatricka. Nie wiem, co mu zrobi, jak go dostanie w swoje ręce.

- Byli ze sobą blisko?

Zmierzyła mnie nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Nie tak, jak pan myśli. Roger jest ogromnie męski. Przeszedł ją dreszcz, otuliła się ramionami. Podjechałem na przystań, ustawiłem wóz na niemal pustym parkingu. Było jeszcze bardzo wcześnie. Przez druciane ogrodzenie zobaczyłem, że miejsce „Ariadny” jest puste. Na pomoście, wpatrzony w morze, stał Roger Armistead w posągowej pozie. Odniosłem wrażenie, że upozował się świadomie. Obok stał twarzą do mnie Brian Kilpatrick. Zdawali się obcy sobie, a jednocześnie boleśnie świadomi swojej obecności, jakby się pokłócili.

Kilpatrick dostrzegł mnie pierwszy. Podszedł i wpuścił mnie do środka. Miał na sobie to samo ubranie co wczoraj. Wyglądało, jakby w nim spał czy próbował spać.

- Armistead jest w paskudnym nastroju, ostrzegam pana - powiedział. - Uważa, że wszystkiemu jestem winien ja. Mój Boże, przecież ja prawie nie widywałem Jerry'ego w ostatnich miesiącach. Wymknął mi się spod kontroli. To Armistead na dobrą sprawę go adoptował. Nie poczuwam się do żadnej odpowiedzialności.

Ale wzruszył ciężko ramionami, jakby na plecach dźwigał brzemień syna.

- Dokąd Jerry mógł popłynąć? Nie domyśla się pan?

- Nie mam pojęcia. Nie jestem żeglarzem. To zresztą było jednym z powodów, dla których Jerry się zajął żeglarstwem. Gdybym ja się interesował jachtingiem, on zająłby się na pewno golfem.

Kilpatrick postarzał się w ciągu nocy. Jego głos brzmiał zrzędnie.

- Popłynął na północ czy na południe? - zapytałem.

- Raczej na południe. To wody, które zna. Może na którąś z wysp.

Wskazał wyspy leżące na horyzoncie jak szafirowe wieloryby. Na dwudziestomilowym pasie wody między nimi a brzegiem nic nie było widać.

- Zawiadomił pan szeryfa? Speszył się.

- Jeszcze nie.

- Obiecał pan z nim wczoraj pomówić.

- Próbowałem, naprawdę. Był cały czas w rejonie pożaru. Jest zresztą do tej pory.

- Ktoś go musi zastępować.

- Tak, są zastępcy. Ale wszyscy myślą tylko o pożarze. To prawdziwa katastrofa, sam pan rozumie.

- Jerry'emu też grozi katastrofa.

- Nie musi mi pan przypominać. To mój syn. - Spojrzał na mnie kącikiem oka. - Crandall się znowu odezwał. Dziś skoro świt. Podobno był pan jednak u niego.

- Co mówił?

- Willi o wszystko Jerry'ego. Oczywiście, chłopcy są zawsze winni, kiedy w grę wchodzi dziewczyna. Według tego, co mówi, nie mieli dotąd z córką najmniejszego kłopotu. Trudno w to uwierzyć.

- Crandall zdaje się wierzy. Są oboje z żoną trochę nie z tego świata.

Przed oczami przesunął mi się obraz Susan, najpierw samej w swoim kremowym pokoju, potem z Alem Sweetnerem w motelu Pod Gwiazdą.

- Mam do pana żal, że pan pojechał do Crandalla - powiedział Kilpatrick obrażonym głosem. - To komplikuje sytuację. Crandall może mi narobić kłopotów, jeśli zechce.

- Przykro mi, muszę iść tropem własnej sprawy.

- Więc to pańska sprawa?

- Chętnie się nią z panem podzielę. Jeśli pan chwilę poczeka, możemy razem poszukać pańskiego przyjaciela szeryfa. Co pan na to?

- Ja się na wszystko zgadzam.

Zostawiłem go przy bramie i podszedłem do Armistead. Obrócił się wolno dopiero, gdy przemówiłem do jego pleców. Był równocześnie smutny i zły, ale silił się, żeby tego po sobie nie pokazać. Ubrany był w marynarską czapkę i sportowy blezer, na szyi miał chustkę.

- Dlaczego mnie pan nie zawiadomił wieczorem? Teraz możemy „Ariadny” więcej nie zobaczyć. - Zabrzmiało to, jakby mówił o utraconej kobiecie albo o ideale kobiety. - Może być już sto mil stąd. Albo na dnie oceanu.

- Zawiadomił pan Straż Przybrzeżną?

- Tak. Obiecali mieć oko. Ale ściśle biorąc, poszukiwanie ukradzionych jachtów nie należy do ich obowiązków.

- To nie jest zwyczajna kradzież - powiedziałem. - Chyba pan wie, że na pokładzie jest dziewczyna i mały chłopiec?

- Kilpatrick mi mówił.

Przymknął powieki, jak na widok makabrycznej wizji. Potarł oczy kostkami palców i odwrócił się ponownie plecami.

Fale przelewały się ciężkimi zielonymi cielskami przez falochron, woda w basenie z chlupotem unosiła i opuszczała pomost pod naszymi nogami. Świat się odmienił, jakby jedno brakujące ogniwo wszystko rozstroiło i rozhuśtało.

Armistead oddalił się na koniec pomostu. Poszedłem za nim. Był człowiekiem zamkniętym, ale miałem wrażenie, że jest bliski zwierzeń.

- Podobno przyjaźni się pan z Jerrym?

- Przyjaźniłem. Nie chcę o tym mówić. Nie zraziłem się.

- Nie dziwię się, że jest pan na niego wściekły. Ja też mam z nim na pieńku. Zdzielił mnie wczoraj po głowie rewolwerem. Wyglądało to na trzydziestkę ósemkę.

Po chwili wahania powiedział:

- Mam trzydziestkę ósemkę na jachcie.

- Zabrał ją pewnie ze sobą?

- Przypuszczam. Nie mogę za to odpowiadać.

- To samo mówi Kilpatrick. Nikt się nie poczuwa do odpowiedzialności. Chciałbym dojść motywów, jakimi się kieruje Jerry. Jak pan myśli, do czego on zmierza?

- Do niczego. Na mój rozum to czysty wandalizm.

- Mam nadzieję, że pan się myli.

- Nadużył mojego zaufania. - Powiedział to jak zawiedziony, rozgoryczony żeglarz, który dotarł do krańca płaskiej ziemi. - Powierzyłem mu jacht. Pozwoliłem mu na nim mieszkać przez całe lato.

- Właśnie, czemu?

- Potrzebował własnego kąta. Mam na myśli nie tylko miejsce do spania. Potrzebował własnego miejsca w świecie. Myślałem, że stanie się nim morze. - Zrobił pauzę. - Sam w wieku Jerry'ego miałem bzika na punkcie żeglarstwa. Kręcenie się koło jachtów było moim głównym zajęciem, jeśli pan chce wiedzieć. Nie mogłem sobie znaleźć miejsca na lądzie - tak samo jak Jerry. Jedynym moim pragnieniem było wyrwać się na morze - zrobić szeroki ruch dłonią - być sam na sam z wiatrem i wodą. Rozumie pan, morze, niebo i ja.

Jak wielu zawiedzionych, zamkniętych w sobie mężczyzn, Armistead miał staromodne ciągoty poetyckie. Musiałem kuć żelazo, póki gorące.

- Gdzie pan mieszkał jako chłopiec?

- Koło Newport Beach. Tam poznałem swoją żonę. Opiekowałem się jachtem jej pierwszego męża.

- Podobno Jerry poznał Susan Crandall w Newport Beach.

- Możliwe. Zawinęliśmy tam w czerwcu. Pokazałem mu fotografię dziewczyny, ale potrząsnął głową.

- O ile dobrze wiem, nigdy nie sprowadzał dziewczyn na pokład. Ani tej, ani żadnych innych.

- Do czwartku.

- Zgadza się.

- Co właściwie wydarzyło się w nocy z czwartku na piątek? Chciałbym sobie wyrobić jasny pogląd na sprawę.

- Ja też. O ile mogłem wywnioskować z portowych plotek, dziewczyna była pod działaniem czegoś. Wdrapała się na maszt i skoczyła do wody. O mało się nie roztrzaskała o pal. To było w piątek nad ranem.

- Słyszę, że Jerry się narkotyzuje. Jego twarz się ściągnęła.

- Tego nie wiem.

- Potwierdził to jego ojciec.

Armistead popatrzył w stronę bramy. Kilpatrick stał, gdzie go zostawiłem.

- Mnóstwo ludzi używa narkotyków - powiedział.

- To może mieć zasadnicze znaczenie.

- Więc dobrze. Staralem się go odwieść. Rzeczywiście używa środków podniecających i narkotyków. To właśnie jeden z powodów, dla których pozwoliłem mu zamieszkać na jachcie.

- Nie rozumiem.

- Było mniej prawdopodobne, że podpadnie mieszkając na jachcie. Przynajmniej tak rozumowałem. Jego twarz zrobiła się znowu ponura.

- Lubi pan tego chłopca?

- Chciałem mu zastąpić ojca czy starszego brata. Wiem, to brzmi jak bajer. Ale uważałem go za dobrego chłopca, mimo narkotyków. Dlaczego pan przywiązuje do nich taką wagę?

- Obawiam się, że ta dziewczyna, Susan, doprowadziła się do stanu niepoczytalności. I kto wie, czy nie zabiła wczoraj pewnego mężczyzny. Słyszał pan o morderstwie?

- Nie, nie słyszałem.

- Został zabity niejaki Stanley Broadhurst.

- Znam w Santa Teresa panią Broadhurst.

- To jego matka. Dobrze ją pan zna?

- Nie znamy tu nikogo dobrze. Ja znam najlepiej ludzi w porcie. Fran ma swoich znajomych.

Rozejrzał się niespokojnie po porcie jak marynarz, który poszedł za młodu na morze i nie potrafi się pogodzić z myślą o powrocie na ląd. Potem popatrzył nie widzącym wzrokiem na miasto. Wisiało jak majak z mgły czy dymu między rozkołysanym morzem a czarnymi wzgórzami.

- Nic mnie nie łączy z tym miastem - powiedział.

- Z wyjątkiem Jerry'ego. Zmarszczył czoło.

- Z Jerry'm skończyłem raz na zawsze. Nie chcę go więcej znać.

Mogłem mu powiedzieć, że to nie takie proste. Rodzony ojciec Jerry'ego zdawał się to już rozumieć.

ROZDZIAŁ XVII

Kilpatrick stał wewnątrz ogrodzenia. Popatrzył na mnie jak czekający na zwolnienie aresztant.

- Armistead jest rozgoryczony, co? Odda Jerry'ego pod sąd.

- Nie przypuszczam. Jest bardziej zawiedziony niż zły.

- Jeśli kto, to ja mogę być zawiedziony - powiedział Kilpatrick, jakby nie chciał się dać przelicytować.

Zmieniłem temat.

- Wie pan, gdzie może być szeryf Tremaine?

- Wiem, gdzie był godzinę temu. W głównej bazie akcji przeciwpożarowej na terenie college'u.

Zaofiarował się wskazać mi drogę. Jadąc pierwszy swoim nowym czarnym Cadillakiem, wyprowadził mojego wysłużonego Forda na wschodni skraj miasta, po czym skręcił w wiejską drogę, pnącą się pod górę stokami strawionymi przez pożar. Niedaleko college'u minęliśmy bazę Straży Leśnej ogrodzoną murem, z oczekującymi reperacji ciężarówkami i traktorami.

Kawałek dalej zostaliśmy zatrzymani przed dwuskrzydłową żelazną bramą, stojącą otworem między żelaznymi słupami. Do jednego z nich umocowana była mosiężna tablica z napisem: Santa Teresa College. Strażnik leśny, który nas zatrzymał, znał Kilpatricka. Przepuścił nas informując, że szeryf jest z komendantem straży pożarnej na stadionie lekkoatletycznym. Joe Kelsey, o którego również zapytałem, przejeżdżał tędy niedawno furgonetką, zastępcy koronera.

Zaparkowaliśmy obaj za trybunami otaczającymi stadion. Wsiadłszy wyjąłem z bagażnika książkę w zielonej okładce i schowałem do kieszeni marynarki. Ruszyliśmy między pojazdami różnych władz stanowych, które zjechały tu z całej południowej Kalifornii, od Tehar chapów na północy do granicy meksykańskiej na południu.

Stadion przypominał rejon koncentracji w przeddzień wielkiej ofensywy. W trawiastym owalu, otoczonym żużlową bieżnią, co chwila lądowały helikoptery o kabinach jak wielkie szklane bańki, by wkrótce wystartować ponownie z posiłkami. Na trawie, niepomni szumu, leżeli skoczkiwie spadochronowi z twarzami zwróconymi ku niebu, zamkniętymi, nieczytelnymi od sadzy. Byli wśród nich ludzie wszystkich kolorów skóry - Indianie, Murzyni i ogorzali biali - zahartowani, stoicy czarnoroboczy, nie mający do stracenia nic prócz śpiworów i życia.

Szeryfa Tremaine znaleźliśmy na głównym stanowisku dowodzenia, mieszczącym się w zwykłej szarej przyczepie Straży Leśnej. Szeryf, a zarazem koroner, był mężczyzną o

potężnym brzuchu, w uniformie khaki i szerokoskrzydłym stetsonie. Skóra zwisała mu z policzków obszernymi fałdami jak u buldoga, nadając uśmiechowi osobliwy, dwuznaczny wyraz. Podał Kilpatrickowi rękę na sposób dawnych polityków, podtrzymując lewą dłonią łokieć jego prawicy, którą energicznie potrząsnął.

- Czym mogę służyć, Brian? - zapytał. Kilpatrick odchrząknął. Głos, który się wydobył z jego gardła, był drewniany, niepewny.

- Mam kłopoty z synem, Jerrym. Wziął jacht Rogera Armisteadą i wypłynął z dziewczyną na morze.

Szeryf uśmiechnął się swoim dwuznacznym uśmiechem.

- To jeszcze nie tragedia. Wróci.

- Myślałem, że może zaalarmujesz posterunki nadbrzeżne.

- Ba, gdybym się mógł rozdzielić. Zwróć się z tym do mego biura, Brian. My się szykujemy do przeniesienia bazy w ciągu najbliższej doby. Na domiar złego mam na głowie zabójstwo.

- Stanleya Broadhursta? - zapytałem.

- Tak jest. Znał go pan?

- Byłem przy tym, jak Kelsey znalazł ciało. Dziewczyna, o której wspomniał pan Kilpatrick, jest koronnym świadkiem w tej sprawie. Ponadto mają z Jerrym na jachcie synka Broadhursta.

Tremaine nadstawił uważniej ucha, ale był zdaje się zbyt zmęczony, by zareagować.

- Czego panowie oczekujecie? - zapytał.

- Żeby pan zarządził ogólny alarm, jak proponuje pan Kilpatrick, ze szczególnym uwzględnieniem portów i miast nadbrzeżnych. Uprowadzony jacht to slup „Ariadna”. - Przeliterowałem nazwę. - Czy ma pan do dyspozycji zwiad lotniczy?

- Tylko paru ochotników. Piloci mają pełne ręce roboty.

- Mógłby pan odkomenderować jednego do spenetrowania wysp. Niewykluczone, że tam zakotwiczyli.

Z miejsca, gdzie staliśmy, wyspy wyglądały jak rzeźbione na pochyłym oceanie.

- Zastanowię się - powiedział szeryf. - Jeżeli byłoby coś więcej, zwróćcie się do Kelseya. Współpracuje z nami.

- Jeszcze jedna sprawa, szeryfie.

Pochylił głowę z cierpliwą rezygnacją. Wyciągnąłem książkę w zielonej okładce i wyjąłem z niej ogłoszenie Stanleya z „San Francisco Chronicle”. Szeryf wziął wycinek w

obie dłonie i zabrał się do studiowania. Kilpatrick zajrzał mu przez ramię. Obaj jednocześnie podnieśli wzrok i wymienili niedowierzające spojrzenia.

- Mężczyzna to bez wątpienia Leo Broadhurst - powiedział szeryf. - Ale kim jest kobieta? Ty masz lepsze oczy, Brian.

Kilpatrick przełknął.

- To moja żona - odrzekł. - Moja była żona.

- Wydawało mi się, że to Ellen. Gdzie ona teraz jest, Brian?

- Nie mam pojęcia. Szeryf zwrócił mi wycinek.

- Czy to ma związek ze śmiercią Stanleya Broadhursta?

- Wszystko na to wskazuje.

Chciałem wprowadzić Tremaine'a w całą sprawę, opowiedzieć mu o drugim zamordowanym, Alu Sweetnerze, lecz uciszył mnie niecierpliwym ruchem ręki.

- Zwróćcie się z tym do kogo innego. Najlepiej do Kelseya. Zróbcie to dla mnie, panowie. Komendant straży chce się stąd ewakuować do jutra rana. Ja mu pomagam w planowaniu akcji.

- Dokąd się przenosicie? - spytał Kilpatrick.

- Na halę pod Jelenim Rogiem, jakieś szesnaście mil na wschód.

- Czy to znaczy, że miastu nie grozi już niebezpieczeństwo?

- To się powinno wyjaśnić do jutra. Ale najgorsze dopiero przyjdzie. - Popatrzył na nagie czarne zbocze górskie nad nami. - Pierwszy większy deszcz i utoniemy wszyscy w błocie.

Otworzył drzwi przyczepy. Nim wywindował swoje potężne ciało do ciasnego otworu, mignęła mi sylwetka wysokiego mężczyzny w bluzie Straży Leśnej pochylonego nad mapą. Mężczyzna miał siwiejącą nordycką głowę i wyglądał na wikinga usiłującego żeglować po suchym oceanie. Obróciłem się do Kilpatricka.

- Nie powiedział mi pan, że Leo Broadhurst uciekł z pańską żoną.

- Mówiłem panu, że mnie rzuciła. Nie mam zwyczaju zwierzać się nieznajomym.

- Czy jest ciągle z Broadhurstem?

- Skąd mogę wiedzieć. Nie opowiadają mi się.

- Rozwiódł się pan z żoną?

- Wystąpiła o rozwód zaraz potem, jak mnie rzuciła.

- I wyszła za niego?

- Przypuszczalnie. Nie przysłali mi zawiadomienia o ślubie.

- Gdzie wystąpiła o rozwód?

- W Newadzie.

- Gdzie teraz mieszka? W okolicach San Francisco?

- Nie mam zielonego pojęcia. Zmieńmy temat, jeśli łaska.

Ale nie potrafił przejść nad tym do porządku dziennego. Nurtował go gniew czy jakieś inne uczucie, głos mu się załamywał.

- Zrobił mi pan wielkie świństwo pokazując to zdjęcie szeryfowi.

- Świństwo?

- Postawił mnie pan w idiotycznej sytuacji. Mógł mi pan to pokazać w cztery oczy, zamiast urządzać publiczną egzekucję.

- Przepraszam. Nie wiedziałem, że to pańska żona. Rzucił mi spojrzenie pełne tak jawnej niewiary, że ogarnęły mnie samego wątpliwości. Może na dnie mojej świadomości błąkał się jednak cień podejrzania.

- Mógłbym jeszcze raz zobaczyć zdjęcie? - zapytał.

Podąłem mu wycinek. Zamarł ze wzrokiem utkwionym w fotografii, niepomny krzątający dookoła ani szumu helikopterów nad głową, jak człowiek zagląający przez krawędź teraźniejszości w odległą przeszłość. Gdy podniósł wzrok, twarz miał zmienioną. Postarzała się, straciła dotychczasową agresywność. Oddał mi wycinek.

- Skąd pan to ma? Od Jerry'ego?

- Nie.

- Stanley Broadhurst dał to ogłoszenie do „Chronicie”?

- Tak wygląda - odrzekłem. - Widział je pan przedtem?

- Może. Nie przypominam sobie.

- Więc skąd pan wie, że się ukazało w „Chronicie”? Odpowiedział gładko:

- To oczywiste. Druk jest typowy dla „Chronicie”. Zresztą - dodał po chwili intensywnego namysłu - w tekście wymienione jest San Francisco.

Odpowiedź była zbyt dobra, ale pominąłem to milczeniem.

- Dlaczego pan przypuszcza, że dostałem wycinek od Jerry'ego?

- Tak mi przyszło do głowy - powiedział z krzywym uśmiechem. - Jerry nie schodzi mi z myśli, a wiem, że czytuje „Chronicie”. Uważa San Francisco za pępek cywilizowanego świata.

- Czy Jerry widział to ogłoszenie?

- Może. Skąd mam wiedzieć?

- Zdaje się, że pan dobrze wie, Kilpatrick.

- Mało mnie obchodzi, co się panu zdaje. Podniósł zaciśniętą pięść jak do ciosu. Osłoniłem się, ale przycisnął tylko pięść do piersi. Popatrzył na nią, jakby miał jej za złe, że mu się na chwilę wymknęła spod kontroli. Odwrócił się raptownie i ruszył szybkim chwiejnym krokiem za trybuny, jakby mu się zrobiło niedobrze.

Poszedłem za nim. Stał oparty o słup trybuny, ze zwieszoną głową. Na twarzy miał wyraz bezgranicznego zawodu. Na mój widok wyprostował się i przybrał zrezygnowaną minę, pasującą lepiej do jego rysów.

- Uwziął się pan na mnie - powiedział. - Czemu?

- Niełatwo się od pana czegoś dowiedzieć.

- Czyżby? Opowiedziałem panu niemal cały swój życiorys. Nie ma w nim nic ciekawego.

- Dla mnie jest. Przyznał pan na dobrą sprawę, że Jerry widział to ogłoszenie. Tłumaczyłoby to wiele.

- Nic nie przyznałem. Ale na przykład, co by tłumaczyło?

- Jerry mógł się skontaktować ze Stanleyem Broadhurstem i popchnąć go do działania.

- Stanleya nie trzeba było popychać. Miał na tym punkcie fioła od lat. Nigdy nie przebaczył ojcu, że porzucił matkę i jego.

- Rozmawiał pan o tym ze Stanleyem?

- Owszem, rozmawiałem.

- I powiedział mu pan, że pańska żona uciekła z jego ojcem?

- Nie musiałem mówić. Wiedział, aż za dobrze. Wszyscy wiedzieli.

- Co znaczy wszyscy?

- Całe miasto. Sprawa była tajemnicą poliszynele. Ale szczęśliwie wszyscy do tej pory zapomnieli. - Zaczynał mieć znowu taką minę, jakby mu się zbierało na mdłości. - Nie mogliśmy i my zapomnieć? Ta historia nie należy do moich ulubionych tematów.

- A co o tym myśli Jerry?

- Wini mnie, już panu mówiłem. Wygodnie mu uważać, że jego matka mnie rzuciła, bo na nic innego nie zasługiwałem.

- Czy nigdy jej nie odwiedzał?

- Nic o tym nie wiem. Pan zdaje się nie rozumie sytuacji. Ellen porzuciła mnie piętnaście lat temu, zerwała wszelkie kontakty. Ostatnią wiadomością jaką od niej miałem, były papiery rozwodowe od jej adwokata w Reno.

- Jak się nazywał ten adwokat?

- Nie pamiętam. Po tylu latach...

Wyjąłem jeszcze raz książkę w zielonej okładce, otwarłem na pierwszej stronie i pokazałem mu ekslibris z pawim piórem.

- Ellen Strome to panięskie nazwisko pańskiej byłej żony?

- Tak.

- Jeżeli Jerry się z nią nie widział, to skąd wziął tę książkę?

- Zostawiła ją w domu. Zostawiła mnóstwo rzeczy.

- Dlaczego wyjechała tak nagle?

- To wcale nie było takie nagle. Czuję, że się na to zanoszi. Nie lubiła mojego zajęcia, chyba nawet mnie nie bardzo lubiła. Byłem w owych czasach takim zwykłym pośrednikiem sprzedaży nieruchomości. Ellen miała mi za złe, że pracuję w świętek i piątek, że w domu bez przerwy urywa się telefon, że jestem na wysoki dla różnych panius z Dubuque. Pragnęła czegoś innego. Wytwornego życia, romantyzmu.

Jego głos był podszyty goryczą i sarkazmem.

- A Leo Broadhurst był uosobieniem romantyzmu, tak?

- Czy ja wiem? Nie jestem kobietą. Do mnie nie przemawiał jego sposób bycia.

- Jaki sposób bycia?

- Leciał na kobiety. Każda spódniczka była dla niego wyzwaniem, tak jak dla innych mężczyzn polowanie. Ellen nie powinna go była brać tak serio. Ten jego syn, Stanley, też zresztą nie. Chociaż Stanley chciał się może doszukać w zniknięciu ojca jakiegoś głębszego sensu. Chciał go odnaleźć i uzyskać od niego wyjaśnienie.

- Kto zabił Stanleya?

Kilpatrick ciężko wzruszył ramionami.;

- Któż to może wiedzieć? Wątpię, czy to ma jakiś związek z tamtą sprawą.

- To niemal nieuniknione - odparłem. Kilpatrick zmierzył mnie przeciągłym spojrzeniem.

Wytworzył się między nami rodzaj gniewnego braterstwa. Wynikało to częściowo z faktu, o którym nie wiedział, że mnie także porzuciła żona przysyłając papiery rozwodowe przez adwokata. A częściowo z tego, że byliśmy obaj dojrzałymi ludźmi, przyglądającymi się bezradnie, jak troje młodych stacza się po pochyłości świata.

- Więc dobrze - powiedział Kilpatrick. - Jerry widział to ogłoszenie w „Chronicie”. Było to jakoś pod koniec czerwca. Poznał matkę na zdjęciu i uważał, że powinienem coś z tym zrobić. Powiedziałem mu, że samochcąc szuka guza. Skoro matka nas porzuciła, to nie pozostaje nam nic innego, jak starać się o tym zapomnieć.

- Jaka była jego reakcja?

- Wyniósł się z domu. Ale pan już to wszystko wie; Zamilkł, jakby nagle stracił zainteresowanie własnym życiem.

ROZDZIAŁ XVIII

Kilpatrick wsiadł do swego Cadillaka i odjechał z powrotem w stronę bramy, ja zaś ruszyłem w przeciwnym kierunku, ku zachodniemu krańcowi terenów college'u. Ze skraju płaskowyzu schodziła tu zygzakiem ścieżka do ogołconego zagajnika, w którym się rozpoczął pożar.

Widać tam było furgonetkę i dwóch krzątających się mężczyzn, maleńkich z tej odległości. Jeden z nich poruszał się z niezdatną lekkością Kelseya.

Zacząłem schodzić po zboczu wypalonych zarośli. Poniżej ścieżki, mniej więcej równoległe do niej, buldożery wycięły ogień. Pożar przeskoczył go w paru miejscach, ale został ugaszony po drugiej stronie, tak że nie zszedł bliżej miasta. Po drugiej stronie ścieżki, wysoko w górze, żywe cielsko ognia zdawało się odpędzać ku wschodowi. Ścieżka usłana była zwęglonymi gałęziami i popiołem.

Wybierając ostrożnie drogę, między dopalającymi się resztkami zszedłem na szeroką półkę, na której jeszcze tak niedawno stał domek myśliwski Broadhurstów. Zbudowany był z bali drzewnych i nie pozostało z niego nic prócz kilku sprężyn od materaców, kuchenki i osmalonego cynowego zlewu. Nieco dalej minąłem miejsce, gdzie stała szopa. Teraz sterczał tu tylko wypalony szkielet kabrioletu Stanleya, z obnażonymi obręczami kół zarytymi w popiele. Wyglądał jak relikwiaz zamierzchłej cywilizacji, nadgryziony przez bieg wieków i na pół zagrzebany w ich ekskrementach.

Furgonetka, zaparkowana na dróżce prowadzącej z grzbietu, miała na boku emblemat szeryfa-koronera. W szoferce ktoś siedział, ale szyba tak lśniła odbłaskiem porannego słońca, że nie mogłem dostrzec kto. Za furgonetką, między ogołconymi drzewami, widać było kpiącego mężczyznę w mundurze i przyglądającego mu się Kelseya. Doznałem uczucia, że już raz to widziałem, i serce ścisnął mi skurcz egzystencjalnego lęku, jakby rytuał pogrzebu i ekshumacji miał się odtąd powtarzać co dzień.

Z furgonetki wysiadła Jean Broadhurst i zamachała do mnie ręką. Miała na sobie ten sam modny strój co wczoraj i na niesamowitym tle zwęglonych drzew wyglądała bardziej niż kiedykolwiek na owdowiałą i zagubioną kolombinę. Była nie umalowana, nawet wargi miała blade.

- Nie spodziewałem się pani tutaj - powiedziałem.

- Przywieźli mnie, żebym zidentyfikowała Stanleya.

- Trochę opieszale się do tego zabierają.

- Pan Kelsey nie mógł złapać żadnego z zastępców koronera. Dla Stanleya to już nie ma znaczenia. Dla mnie też nie.

Była w nieobliczalnym nastroju, trzeźwa i opanowana, lecz gotowa wybuchnąć z byle powodu. Chciałem jej powiedzieć, że widziałem małego, ale nie wiedziałem, jak to zrobić, żeby się nie przeraziła. Dla zyskania na czasie spytałem o zdrowie jej teściowej.

- Jest załamana. Ale doktor Jerome twierdzi, że ma wielkie siły żywotne.

- Pamięta, co się stało?

Zrobiłem ręką ruch w stronę, gdzie dwaj mężczyźni dokonywali ekshumacji.

- Nie bardzo wiem. Doktor kazał mi unikać bolesnych tematów, to bardzo ogranicza konwersację.

Starła się za wszelką cenę utrzymać fason, lecz jej wysiłki działały na mnie paralizująco. Zamilkliśmy zakłopotani, jakby nas łączył jakiś wstydlivy sekret.

- Widziałem wczoraj przez moment Ronniego - powiedziałem.

- Co to znaczy? Że nie żyje?

Oczy jej pociemniały, gotowe na przyjęcie każdej okropności. Był jak najbardziej żywy.

Opowiedziałem jej, kiedy i w jakich okolicznościach go widziałem.

- Dlaczego nie dał mi pan znać wczoraj?

- Myślałem, że będę miał lepsze nowiny.

- Ale nie ma pan?

- W każdym razie Ronnie żyje i nic nie wskazuje, żeby się z nim źle obchodzono.

- Dlaczego go w ogóle zabrali? Do czego oni zmierzają?

- To jest i dla mnie niejasne. W sprawę jest zamieszanych wiele osób, w tym przynajmniej jeden notoryczny kryminalista. Pamięta pani mężczyznę, który się zjawiał wczoraj w Northridge?

- Tego, który chciał pieniędzy? Jak mogłabym zapomnieć?

- Wrócił i włamał się do domu. Znalazłem go zabitego w gabinecie pani męża.

- Zabitego?

- Ktoś go zasztyletował. Czy nikt prócz państwa nie ma dostępu do mieszkania?

- Nikt. - Starła się pojąć to drugie zabójstwo. - Czy ciało jest jeszcze w domu?

- Nie, zabrali je. Wezwałem policję. Ale gabinet jest przewrócony do góry nogami.

- To już nie ma znaczenia - powiedziała. - Postanowiłam nie wracać do tego domu.
Nigdy.

- To niezbyt odpowiedni moment do podejmowania decyzji.

- Nie mogę czekać na odpowiedniejszy. Rytmiczne odgłosy kopania ustały i Jean obróciła się w kierunku nagłej ciszy. Pracujący mężczyzna był prawie niewidoczny w wykopie. Po chwili uniósł się, jakby się dźwigał z wnętrza ziemi, z ciałem Stanleya w ramionach. We dwóch z Kelseyem ułożyli ciało na noszach i ruszyli ku nam między ogołocionymi pniami.

Jean śledziła ich, jakby pragnęła, by nigdy nie doszli. Gdy jednak złożyli nosze na tylnej klapie furgonetki, podeszła pewnym krokiem i bez wzdrygnięcia zajrzała w oczy zaspane ziemią. Potem odgarnęła włosy zabitego i nachyliwszy się pocałowała go w czoło. Jej ruchy miały nienaturalną intensywność, jak ruchy aktorki odgrywającej tragiczną scenę.

Pozostała przy mężu przez jakiś czas. Kelsey nie niepokoił jej indagacjami. Natomiast zapoznał mnie z zastępcą koronera, młodym człowiekiem o poważnej twarzy, nazwiskiem Vaughan Purvis.

- W jaki sposób został zamordowany? - zapytałem. - Motyką?

- Na mój rozum rany od motyki są wtórne - odparł Pufyis. - Z boku ma ranę kłutą, prawdopodobnie od noża.

- Znalazł pan nóż?

- Nie, mam zamiar szukać dalej.

- Wątpię, czy pan znajdzie.

Opowiedziałem im o trupie znalezionym w domu Broadhursta w Northridge. Kelsey oświadczył, że się skontaktuje z Arniem Shipstadem. Purvis, który przysłuchiwał się w milczeniu, wybuchnął nagle z nieoczekiwanym uczuciem:

- To zakrawa na spisek. Pewnie mafia w tym maczała palce.

Odparłem, że bardzo wątpię w udział mafii. Kelsey udał taktownie, że nie słyszy.

- Czy pan coś z tego rozumie? - spytał mnie Purvis. - Kto go mógł dźgnąć nożem pod żebro i poprawić motyką w tył głowy? Kto go pochował w lesie?

- Dziewczyna jest pierwszą podejrzaną - powiedziałem na próbę.

- Nie wierzę w to - rzekł Purvis. - Grunt jest tu gliniasty, wyschnięty na kamień, a ciało było zakopane na głębokości przeszło metra. Dziewczyna nie wykopałaby takiego dołu.

- Mogła mieć współnika. Albo może Stanley sam wykopał dół. Pożyczył narzędzie od ogrodnika.

Purvis zrobił zaskoczoną minę.

- Któż by kopał sobie grób?

- Mógł nie wiedzieć, że to dla niego - odrzekłem.

- Chyba nie myśli pan, że chciał zabić syna? - zapytał Purvis. - Jak Abraham Izaaka w Biblii?

Kelsey parsknął drwiącym śmiechem, aż Purvis poczerwieniał ze wstydu. Poczłapał z powrotem do dołu po łopatę. Gdy się oddalił poza zasięg głosu, Kelsey powiedział:

- Ogrodnik mógł żelgać w sprawie narzędzi. Mógł je sam przynieść i wykopać dół. Niech pan nie zapomina, że pożyczył dziewczynie wóz i wyparł się tego.

- Widzę, że Fryc figuruje nadal na pańskiej liście. Kelsey poskrobał się po krótkiej siwej czuprynie.

- Jak może nie figurować? Dogrzebałem się jego przeszłości.

- Więc ma przeszłość?

- Niby nic wielkiego, ale na mój rozum nie bez znaczenia. Jako szczeniak miał sprawę o wykroczenie seksualne. Był to jego pierwszy konflikt z prawem, przynajmniej pierwszy, który podpadł, i sędzia potraktował go pobłaźliwie. Skończyło się na przymusowej pracy w obozie leśnym.

- Co to było za wykroczenie?

- Uwiedzenie nieletniej. Interesuję się tymi sprawami nie od dziś, bo w życiorysach podpalaczy wykroczenia seksualne trafiają się często. Oczywiście nie twierdzę, że Fryc jest podpalaczem, nie mam na to dowodów. Ale faktem jest, że będąc w obozie interesował się techniką zwalczania pożarów. Brał nawet udział w paru pomniejszych akcjach w głębi kraju.

- Cóż w tym złego?

- Nic, ale to symptomatyczne - odparł Kelsey poważnie. - Niech pan tego nie powtarza żadnemu strażakowi, zresztą ja sam kiedyś byłem strażakiem, ale strażacy i podpalacze są z jednej gliny. Jednych i drugich fascynuje ogień. Fryca też widocznie fascynował, skoro po zwolnieniu z obozu wstąpił do Straży Leśnej.

- Dziwne, że go przyjęli.

- Miał dobre plecy. Zaręczyli za niego państwo Broadhurstowie. Tylko że w Straży nie zrobili z niego strażaka. Podszkolili go trochę i przydzielili do buldożera. Nawiasem mówiąc, pracował przy budowie tego szlaku. - Kelsey wskazał ścieżkę schodzącą po urwisku do kanionu Broadhurstów. - Odwalił z kolegami solidną robotę. Szlak jest do dziś w stanie używalności, chociaż minęło od tej pory piętnaście lat. Ale Fryc nie utrzymał się długo w Straży Leśnej. Mówiąc ogólnie, miał zbyt wiele problemów osobistych.

- Zwolnili go z powodów osobistych?

- Tego nie wiem. W aktach nie ma powodu zwolnienia, a sprawa miała miejsce nie za moich czasów.

- Może pan zapytać Fryca.

- To nie będzie takie proste. Wczoraj po pana odjeździe chciałem z nim jeszcze pogadać, ale jego matka nie wpuściła mnie do domu. Broni jak lwica tego swojego pożał się Boże synalka.

- Może mnie prędzej wpuści. Tak czy inaczej muszę z nią pogadać. Dała w zeszłym tygodniu pieniądze temu zabitemu w Northridge, Albertowi Sweetnerowi.

- Ile dała?

- Właśnie chcę ją zapytać. - Spojrzałem na zegarek. - Jest kwadrans po dziesiątej. Może się pan ze mną spotkać przed jej domem o jedenastej?

- Niestety. Chcę być przy wstępnych oględzinach zwłok. Niech pan sam pogada z Frycem. Nie bez powodu trzęsie się ze strachu.

Powiedział to głosem chłodnym, nie rozumiejącym, jakby sam nigdy nie doświadczył strachu. Może wziął się do badania pożarów - pomyślałem - z jątrzącej potrzeby zrozumienia, co popycha niezrównoważonych osobników pokroju Fryca do bezsensownych zbrodni podpalenia.

- Kim była dziewczyna, którą uwiódł? - zapytałem.

- Nie wiem. Sprawa toczyła się przed sądem dla nieletnich, akta są zapieczętowane. Moje informacje pochodzą od starych wyjadaczy sądowych.

ROZDZIAŁ XIX

Jean stała wpatrzona w twarz męża, jakby się zastanawiała, co czuje umarły. Kiedy wrócił Purvis z łopata na ramieniu, drgnęła i obróciła się. Purvis położył łopatę cicho i delikatnie. Z kieszeni na piersi wyjął skórzany portfel z wytłoczonym złotymi literami nazwiskiem Stanleya. Wewnątrz było prawo jazdy, jakiś drugi dokument z fotografią, parę kart kredytowych i legitymacji członkowskich oraz trzy banknoty dolarowe.

- Niewiele miał - powiedział.

Uderzył mnie jego nabrzmiały uczuciem głos.

- Znał pan Stanleya Broadhursta? - zapytałem.

- Znaliśmy się prawie całe życie, od powszechniaka.

- Słyszałem, że Stanley chodził do szkoły prywatnej.

- Tak, po ukończeniu powszechnej. Chorował tego lata, więc matka umieściła go w szkole specjalnej.

- Tego lata, którego uciekł jego ojciec?

- Tak. Stanley nie miał szczęścia w życiu. - W jego głosie był jakby lęk. - Zazdrościłem mu przez całą szkołę. Miał bogatych rodziców, a myśmy byli biedni jak myszy kościelne. Teraz nie będę mu zazdrościł.

Obejrzałem się na Jean, która tymczasem zawędrowała pod szopę. Zdawała się szukać uciezki. Przypominała wylęknioną łanię, którą widziałem w tym miejscu wczoraj, tylko nie było przy niej jelonka. Gdy podszedłem, stała koło spalonego auta.

- To nasze auto? - spytała.

- Niestety.

- Ma pan jakiś środek transportu? Muszę się stąd wydostać.

- Dokąd pani chce jechać?

- Do domu teściowej. Spędziłam noc w szpitalu. Poinformowałem Kelseya, dokąd jedziemy, dodając, że może go odszukam później w prosektorium, po czym jęliśmy się pięć ścieżką, którą przyszedłem. Jean szła spieszenie przodem, jak kobieta uciekająca od terażniejszości.

Nie opodal trybun, koło których zaparkowałem samochód, rozstawiono na krzyżakach stoły ze sklejki. Siedziało przy nich stu lub więcej mężczyzn zajadając gulasz z jarzynami, wydawany przez zmotoryzowaną kuchnię polową. Większość unosiła głowy na nasz widok i kilku zagwizdało z uznaniem, a dwu czy trzech wzniosło nawet głośne hura. Jean maszerowała nie oglądając się, ze zwieszoną głową. Wskoczyła do auta, jakby ją goniono.

- To moja wina - powiedziała wściekła na siebie. - Nie powinnam była się pokazywać w tym stroju.

Jechaliśmy długo okrężną drogą przez przedmieścia. Próbowałem zagadywać ją o męża, ale nie była w nastroju do rozmowy. Siedziała ze zwieszoną głową, zatopiona w myślach.

Wyprostowała się i zaczęła rozglądać dopiero, gdyśmy wjechali do kanionu pani Broadhurst. Pożar dotarł niemal do wylotu, osmalił drzewa i krzewy na zboczach. Większość domów Canyon Estates uchowała się nietknięta, tylko kilka spłonęło bez widocznego powodu. Z jednego nie pozostało nic prócz marmurowego kominka, posągu Wenus sterczącego z rumowiska i płataniny wykoślawionych rur. W pogorzeliisku grzebało dwoje ludzi.

Szlak ognia był równie kapryśny w głębi kanionu. Drzewka awokado pani Broadhurst zdawały się nienaruszone, natomiast nieco dalej z oliwek pozostały czarne szkielety. Eukaliptusy górujące nad dachówkami domu utraciły większość gałęzi i wszystkie liście, stodoła spłonęła. Sam dom był osmalony, ale cały.

Jean miała klucz. Weszliśmy do środka. Zamknięty dom, pełen gorzkiej woni spalenizny, robił wrażenie dawno opuszczonego. Wytarte wiktoriańskie meble wyglądały, jakby nadawały się tylko na śmietnik. Nawet wypchane ptaki w gablotach zdawały się pamiętać lepsze czasy. Dzięki żołędnik miał tylko jedno szklane oko, rudzikom wyblakły piersi. Wyglądały jak imitacja zrobiona dla ożywienia parszywego i martwego świata.

- Przepraszam na chwilę - powiedziała Jean. - Muszę znaleźć coś czarnego do przebrania się.

Zniknęła w drugim skrzydle domu. Postanowiłem zadzwonić do Williego Mackeya, detektywa z San Francisco, z którym współpracowałem w kilku sprawach. Rozglądając się za telefonem, wszedłem do małego pokoiku, przylegającego do salonu. Wisiały tu staroświeckie fotografie przodków. Z czarnej ramy piorunował mnie wzrokiem mężczyzna z bokobrodami a la Franciszek Józef i w fatermerderze, jakby wyzywając mnie do zrobienia niepoehlebnej uwagi o jego powierzchowności.

Jego twarz przypomniała mi panią Broadhurst, nie przyczyniając się bynajmniej do jej rozszyfrowania. Widziałem ją młodą i energiczną, potem chorą i niedołązną. Brakowało mi czegoś do wypełnienia luki między dwiema wersjami jej osoby, czegoś, co by tłumaczyło, dlaczego mąż ją porzucił, a syn nie mógł się wyzwolić spod jej wpływu.

W pokoiku stała wśród innych sprzętów czarna skórzana kozetka, kusząca, żeby się na niej wyciągnąć, oraz biurko z polerowanej wiśni, z wycięciami na kolana. Na biurku leżała wytarta skórzana teka, na niej stał telefon. Usiadłem przy biurku, z kolanami wygodnie wsuniętymi w wycięcia, i nakręciłem numer agencji Williego Mackeya na Geary Street w San Francisco. Sekretarka przełączyła mnie do jego prywatnego mieszkania na najwyższym piętrze budynku. Tu przyjęła telefon druga kobieta, nie tak urzędowym tonem, i po chwili odezwał się Willie:

- Zadzwoń później, Lew. Przerwałeś mi akurat w czułym momencie.

- Ty zadzwoń.

Podawszy mu numer pani Broadhurst, odstawiłem telefon i otworzyłem skórzaną tekę. W środku było kilka arkuszy papieru kancelaryjnego oraz wypłowiała mapa, rysowana piórkciem na pomarszczonym, pożółkłym papierze. Mapa przedstawiała może połowę nadoceanicznej równiny stanowiącej dzisiejsze Santa Teresa, a naszkicowane w tle wzgórza i

szczyty przypominały odciski palców i zwierzęce tropy. W górnym prawym rogu mapy ktoś wykaligrafował:

*Federalna Komisja Ziemska Robert Driscoll Falconer Dawna misja Santa Teresa
Wciągnął do rejestru 14 czerwca 1866*

John Berry.

Wierzchni arkusz papieru kancelaryjnego zapisany był spencerowskim pismem. Pod nagłówkiem „Wspomnienia Elizabeth Falconer Broadhurst” przeczytałem:

Towarzystwo Historyczne hrabstwa Santa Teresa zwróciło się do mnie z prośbą o spisanie niektórych faktów dotyczących mojej rodziny. Mój dziadek po mieczu, Robert Driscoll Falconer, był synem kupca i uczonego z Massachusetts oraz uczniem i współpracownikiem Louisa Agassiza. Brał udział w wojnie secesyjnej po stronie Unii i 3 maja 1863 roku został ciężko ranny w bitwie pod Chancellorsville. Rana wydawała się śmiertelna, wyżył jednak i w podeszłym wieku mógł mi o tym opowiadać.

Na wybrzeże Pacyfiku przyjechał na rekonwalescencję po odniesionych ranach. Wszedł tutaj - częściowo przez kupno, ale głównie przez małżeństwo - w posiadanie kilku tysięcy akrów ziemi, znanych później pod nazwą rancza Falconera. Większość tych gruntów stanowiła uprzednio część składową dóbr misyjnych, sekularyzowanych w 1834 roku i objętych meksykańskim nadaniem ziemskim, które jako wiano mojej babki przeszło na mego dziadka, a następnie na mego ojca, Roberta Falconera juniora.

Trudno mi pisać bezstronnie o moim świętej pamięci ojcu. Jak jego ojciec i dziad uczęszczał on na Uniwersytet Harvarda. Był bardziej przyrodnikiem i naukowcem niż ranczerem i człowiekiem interesu. Krytykowano go za roztrwonienie części dóbr. Jego odpowiedź brzmiałaby, że miał ważniejsze rzeczy do zrobienia w życiu. Stał się cenionym ornitologiem amatorem, autorem pierwszej systematyki ptaków okolic Santa Teresa. Jego bogate zbiory zarówno okazów rodzimych, jak egzotycznych posłużyły za załączek muzeum w Santa Teresa.

W tym miejscu pismo zaczęło tracić swój spencerowski charakter.

Doszły mnie fałszywe pogłoski, że mój ojciec zabijał masowo ptaki śpiewające dla zdrowszej przyjemności. Nic biedniejszego! Ojciec zabijał ptaki tylko w celach naukowych, po to, by ocalić ulotne piękno ich upierzenia. Z całego serca kochał swoich małych śpiewaków, których nauka kazała mu zabijać. Mogę to zaświadczyć na podstawie własnych obserwacji.

Często towarzyszyłam ojcu w jego wyprawach naukowych, zarówno w kraju, jak za granicą, i nieraz zdarzało mi się widzieć go płaczącego nad przestrzelonym ciałkiem piegży czy drozda, które trzymał w swojej dobrotliwej dłoni. Czasami płakaliśmy oboje, on i ja,

ukryci w jakimś zakątku naszego rodzinnego kanionu. Był dobrym człowiekiem i wybornym strzelcem i używając łaski śmierci, czynił to niezawodną ręką, w sposób natychmiastowy i bezbolesny. Robert Driscoll Falconer junior był bogiem, który zstąpił na ziemię w ludzkim ciele.

Pod koniec charakter pisma uległ całkowitemu rozprężeniu. Nierówne litery biegły w poprzek żółtej liniowanej stronicy jak armia w rozsypce.

Z kolei zjrzałem do biurka. Prawa górna szuflada była zapchana po brzegi rachunkami. Niektóre z nich czekały na zapłacenie od miesięcy i miały odręczne dopiski w rodzaju: „Oczekujemy bezzwłocznego uregulowania” albo „W razie dalszej zwłoki będziemy zmuszeni skierować sprawę na drogę sądową”.

W drugiej szufladzie znalazłem stare drewniane pudło na pistolety. W wyłobieniach wyścielanych wojłokiem leżały dwa niemieckie pistolety sportowe. Były stare, ale naoliwione i połyskujące jak osobliwe oksydowane klejnoty. Wyjąłem jeden z nich i zważyłem w ręce. Był tak lekki i dobrze wyważony, że sam zdawał się układać do strzału. Wycelowałem w fotografię mężczyzny z bokobrodami, ale zrobiło mi się głupio. Podszedłem do okna poszukać lepszego celu.

Ptaków nie było nigdzie widać, lecz spostrzegłem kulisty karmnik na metalowym pręcie zabetonowanym w ziemi. Ziarnka pozostałe w karmniku wyjadał szczur. Wycelowałem w niego nie nabity pistolet. Szczur zbiegł po pręcie i zniknął w parowie.

ROZDZIAŁ XX

- Na miłość Boską, co pan robi? - odezwała się za moimi plecami Jean.

- Bawię się.

- Niech pan to odłoży. Elizabeth byłaby niezadowolona, że ktoś rusza jej pistolety.

Schowałem broń do pudła.

- Ładne pistolety.

- Nie uważam. Nienawidzę wszystkiego, co strzela. Zamilkła, lecz jej spojrzenie świadczyło, że ma więcej do powiedzenia. Zmieniła krótką jaskrawą sukienkę na czarną zakrywającą kolana, która nie bardzo na nią pasowała. Znów przypominała aktorkę, tym razem dziewczynę grającą starszą kobietę.

- Wyglądam w tym przyzwoicie?

W jej głosie była niepewność, jakby pod nieobecność męża i syna zwątpiła w swoją tożsamość.

- Choćby pani chciała, nie potrafiłaby pani wyglądać inaczej.

Skwitowała komplement niecierpliwym gestem, jak coś uwłaczającego, i wycofała się na kanapę podciągając pod siebie nogi, tak że zniknęły całe pod czarną spódnicą. Zamknąłem pudło z pistoletami i odłożyłem na miejsce.

- Czy te pistolety należały do ojca teściowej?

- Tak, zostały po ojcu Elizabeth.

- Używa ich czasami?

- Jeśli panu chodzi o to, czy strzela z nich do ptaków, to nie. Stanowią drogocenną pamiątkę po wielkim człowieku. Wszystko w tym domu jest pamiątką. Sama czuję się tu czasem jak eksponat.

- Czy to suknia teściowej?

- Tak.

- Ma pani zamiar zamieszkać w tym domu?

- Może. Odpowiada mojemu obecnemu nastrojowi. Pochyliła głowę, przybierając nasłuchującą postawę, jakby czarna suknia była skafandrem kosmicznym z wbudowanym aparatem odbiorczym.

- Kiedyś Elizabeth polowała na ptaki. Nauczyła strzelać Stanleya. Musiało go to dręczyć, bo inaczej by mi o tym nie opowiadał. Zresztą jej samej też zdaje się nie dawało spokoju. Dość że zarzuciła polowanie, jeszcze zanim ją poznałam. Tylko mój ojciec nigdy nie zarzucił - powiedziała nieoczekiwanie. - Przynajmniej dopóki mamusia od niego nie odeszła. Lubił strzelać do wszystkiego, co się rusza. Potem my z mamusią musiałyśmy skubać przepiórki i gołębie. Kiedy się wyniosłyśmy z domu, nie poszłam go nigdy nawet odwiedzić.

Przeskoczyła bez ostrzeżenia z rodziny Stanleya na swoją. Zaintrygowany tym, spytałem:

- Chce pani wrócić do rodziny?

- Nie mam rodziny. Mamusia wyszła po raz drugi za męża, mieszka w New Jersey.. A ojciec, kiedy o nim po raz ostatni słyszałam, miał łódź sportową na Bahamach i woził bogatych turystów na grubą rybę. Nie mogłabym się pokazać żadnemu z nich. Uważaliby, że to wszystko moja wina.

- Czemu?

- Tak by uważali. Bo wyniosłam się z domu i ukończyłam o własnych siłach uniwersytet. Mieli mi to oboje za złe. Dziewczyna powinna robić, co jej się każe.

Powiedziała to głosem kamiennym z żalu do nich.

- Kogo pani wini za to, co się wydarzyło?

- Siebie, oczywiście. I trochę Stanleya. - Opuściła znowu wzrok. - Wiem, że to okropne, co powiem. Mogę mu wybaczyć tę dziewczynę. I tę całą idiotyczną historię z ojcem. Ale po co ciągnął... po co zabrał z sobą Ronniego?

- Chciał od matki pieniędzy. Wizyta Ronniego była częścią transakcji.

- Skąd pan wie?

- Elizabeth mi powiedziała.

- To do niej podobne. Jest zimna. - Ale zaraz, jakby dla usprawiedliwienia jej, dodała:

- Nie powinnam tego mówić. Nacierpiała się dosyć. My ze Stanleyem nie byliśmy jej nigdy pociechą. Zawsze tylko braliśmy, nic w zamian nie dając.

- Co państwo brali?

- Pieniądze.

W jej głosie była złość na samą siebie.

- Czy Elizabeth ma dużo pieniędzy?

- Oczywiście, jest bogata. Musiała zrobić majątek na budowie Canyon Estates. A pozostało jej jeszcze setki akrów.

- Nie ma z nich wielkiego pożytku, jeśli nie liczyć tych kilku akrów awokado. Pani teściowa ma podejrzenie dużo nie zapłaconych rachunków.

- Bo jest bogata. Bogaci nigdy nie płacą rachunków. Mój ojciec miał swego czasu mały sklep sportowy w Reno. I musiał zawsze grozić sądem właśnie ludziom, którym jego rachunki nie robiły najmniejszej różnicy. Elizabeth ma tysiące dolarów rocznego dochodu.

- Ile tysięcy?

- Nie wiem dokładnie. Nie afiszuje się ze swymi dochodami. Ale je ma.

- Kto odziedziczy majątek, jeśli umrze?

- Niech pan nie wymówi w złą godzinę! - W jej głosie był zabobonny lęk. - Doktor Jerome twierdzi, że będzie zdrowa - podjęła bardziej opanowanym tonem. - Atak był jedynie wynikiem napięcia i szoku.

- Czy mówi normalnie?

- Oczywiście. Ale nie męczyłabym jej dzisiaj na pana miejscu.

- Uzgodnię to z doktorem Jerome - uspokoiłem ją. - Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Kto odziedziczy po niej majątek?

- Ronnie. - Powiedziała to cicho, ale w jej całej postawie wyczuwało się z trudem tłumione wzburzenie. - Martwi się pan, kto panu zapłaci? Dlatego pan tu siedzi, zamiast go szukać?

Nie próbowałem odpowiadać, tylko zamilkłem i odczekałem chwilę, żeby się uspokoiła. Gniew i ból pulsowały w niej jak zmienne prądy. Skierowała gniew przeciwko sobie ujmując w dłonie rąbek spódnicy i szarpiąc nią, jakby ją chciała rozerwać.

- Niech pani tego nie robi, Jean.

- Dlaczego? To ohydna sukienka.

- Więc niech się pani przebierze. Trzeba się wziąć w garść.

- Nie zniosę tego czekania.

- Musi pani. To prawdopodobnie jeszcze potrwa.

- Nie może pan czegoś zrobić? Pojechać, poszukać go?

- To nie takie proste. Musiałbym przeczesać pół Kalifornii i szmat oceanu na dokładkę. - Miała tak przygnębioną minę, że dorzuciłem: - Ale mam pewne ślady. - Wyciągnąłem ogłoszenie z fotografią ojca Stanleya i żony Kilpatricka. - Widziała pani to?

Pochyliła głowę nad wycinkiem.

- Tak, ale dopiero w jakiś czas po ukazaniu się w „Chronicie”. Stanley dał ogłoszenie bez mojej wiedzy podczas naszego pobytu w San Francisco w czerwcu. Matce też nic nie powiedział. Była wściekła, jak zobaczyła ogłoszenie.

- Czemu?

- Powiedziała, że odgrzebuje stary skandal. Ale nikogo to chyba nie obeszło z wyjątkiem jej i Stanleya.

I Jerry’ego Kilpatricka - pomyślałem. - I jego ojca: A może także zaginionej kobiety.

- Wie pani, kim jest ta kobieta?

- Nazywa się Kilpatrick według Elizabeth. Była żoną miejscowego pośrednika sprzedaży nieruchomości, Briana Kilpatricka.

- W jakich stosunkach z Kilpatrickiem jest pani teściowa?

- O ile wiem, w bardzo dobrych. Są współnikami, razem budowali Canyon Estates.

- A co pani wie o synu Kilpatricka, Jerry’em?

- Chyba go nie znam. Jak wygląda?

- Chudy chłopak, około dziewiętnastu lat, z długimi rudawymi włosami i bródką. Bardzo pobudliwy. Zdzielił mnie wczoraj wieczorem kolbą przez głowę.

- Czy to on zabrał Ronniego z tą dziewczyną na jacht?

- On.

- Może go i widziałam. - Jej oczy zrobiły się nieobecne, jakby obliczała coś w pamięci. - Nie miał wtedy brody, ale chyba był u nas w domu któregoś wieczora w czerwcu. Widziałam go tylko przez moment, Stanley zamknął się z nim zaraz w gabinecie. Chyba

przyszedł z tym wycinkiem. - Podniosła głowę do góry. - Myśli pan, że się na nas mści? Za to, że jego matka uciekła z ojcem Stanleya?

- Wszystko możliwe. Chłopak zdaje się do tej pory kocha matkę. Niewykluczone, że właśnie u niej będzie szukał schronienia.

- Więc musimy ją odnaleźć - powiedziała Jean.

- Też tak uważam. Jeśli mogę polegać na moich informacjach, ekspani Kilpatrick mieszka gdzieś na Półwyspie, na południe od San Francisco.

Chwyciła się tego jak tonący brzytwy.

- Pojedzie pan tam? Zrobi pan to dla mnie? Jeszcze dzisiaj?

Życie powróciło jej na policzki. Przykro mi było oblewać ją zimną wodą.

- Rozsądniej będzie poczekać, dopóki nie natrafimy na wyraźniejszy ślad. Jerry brał udział w regatach w Ensenadzie. Równie dobrze mógł popłynąć w tamtym kierunku.

- Do Meksyku?

- Wielu młodych tam ląduje. Oczywiście nie można lekceważyć i tropu prowadzącego na Półwysep.

Podniosła się.

- Sama tam pojedę.

- Nie, zostanie pani tutaj.

- W tym domu?

- W każdym razie w mieście. Wątpię, żeby to było porwanie dla okupu. Ale jeśli tak, porywacze skontaktują się z panią prędzej czy później.

Spojrzała na telefon, jakby już się odezwał.

- Ja nie mam pieniędzy.

- Dopiero co mówiła pani o bogactwach swojej teściowej. W razie konieczności zdobędzie pani pieniądze. To nawet dobrze, że pani poruszyła ten temat.

- Bo panu nie zapłaciłam?

- Mnie się nie pali. Ale niedługo możemy potrzebować gotówki.

Ogarnął ją znów niepokój. Zaczęła krążyć po ciasnym pokoiku, gniewna i niezręczna w nie dopasowanej czarnej sukience.

- Nie będę prosić Elizabeth o pieniądze. Mogę się rozejrzeć za pracą.

- To mało realne w obecnej sytuacji. Zatrzymała się przede mną. Wymieniliśmy szybkie świdrujące spojrzenia, mogące równie dobrze stanowić zapowiedź, że zostaniemy wrogami jak przyjaciółmi na śmierć i życie. Zapiękły gniew nagromadził się w niej jak lawa

we wnętrzu ziemi, głębiej niż gorycz nieudanego małżeństwa i ból wdowieństwa. Odezwała się pewniejszym tonem, jakby mnie ostatecznie przejrzała:

- Skoro mowa o rzeczach realnych: jakie kroki zamierza pan podjąć dla odzyskania mojego syna?

- Czekam na rozmowę z niejakim Williem Mackeyem, który prowadzi agencję detektywistyczną w San Francisco. Zna cały rejon zatoki jak własną kieszeń. Chcę go wziąć do pomocy.

- Niech pan to zrobi. Zdobędę potrzebne pieniądze. -

Powiedziała to, jakby podjęła decyzję nie tylko w sprawie pieniędzy. - Ale co pan zamierza zrobić?

- Czekać. Zadawać ludziom pytania...

Zrobiła gest zniecierpliwienia i usiadła z powrotem na kanapie.

- Nic, tylko pan zadaje pytania.

- Samego mnie to czasem męczy. Niektórzy ludzie mówią mi bez pytania różne rzeczy. Pani do nich nie należy.

Popatrzyła na mnie podejrzliwie.

- Jeszcze jedna indagacja?

- Niezupełnie. Tylko że dziwne było to pani małżeństwo.

- I chciałby pan, żebym panu o nim opowiedziała. Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

- Chętnie posłucham.

- Niby dlaczego miałabym panu opowiadać?

- Bo wciągnęła mnie pani w to wszystko.

To pobudziło znowu jej gniew. Drzemał tuż pod powierzchnią.

- Wiedziałaś, że są chorobliwi podglądacze. Pan jest podsłuchiwarem.

- Czego pani się tak wstydzi?

- Nie wstydzę się - odpaliła. - Niech pan mi da święty spokój. Nie chcę o tym mówić.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu. Czułem, że jestem na najlepszej drodze do zakochania się w niej, po trosze dlatego że jest matką Ronniego, ale po trosze i dlatego że jest piękną młodą kobietą. Jej postać w obcisłej czarnej sukni chwytiała nieprzeparcie za serce, lecz - żaloba otaczała ją kręgiem cienia, przez który nie mogłem się przebić. Poza tym, napomniałem się, jestem od niej dwa razy starszy. Przyglądała mi się otwarcie, jakby czytając w moich myślach.

- Trudno mi o tym mówić - odezwała się. - Nie przyznawałam się do tego nawet przed sobą. Moje małżeństwo było pomyłką. Stanley żył w swoim własnym świecie, nie umiałam trafić do niego. Może gdyby tu był, powiedziałby to samo o mnie. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Mieszkaliśmy pod jednym dachem, ale każde żyło własnym życiem. Ja się zajmowałam Ronniem, a Stanley coraz bardziej pogrążał się w swoich poszukiwaniach. Podglądałam go czasami, kiedy się zamykał w gabinecie. Często siedział i przekładał bez celu listy i fotografie. Wyglądał jak człowiek liczący pieniądze - powiedziała ze swoim nagłym niekontrolowanym uśmiechem. - Ale nie powinnam była go lekceważyć - uzupełniła zaraz. - Powinnam była brać to wszystko znacznie bardziej serio. Pastor Riceyman mnie ostrzegął. Mówił, że Stanley szuka swego zagubionego ja. Teraz widzę, że miał rację.

- Chętnie bym pomówił z Riceymanem.

- Ja też. Niestety nie żyje.

- Na co umarł?

- Na starość. Naprawdę mi go brak. Był uroczym człowiekiem, pełnym wyrozumiałości. Ale mnie zaślepił gniew. Zazdrość.

- Zazdrość?

- Tak. O Stanleya, o jego rodziców, o ich rozbite małżeństwo. Miałam przez cały czas uczucie, że ono zagraża mojemu własnemu małżeństwu, że je stopniowo wypiera poza nawias. Stanley zatapiał się coraz bardziej w przeszłości, miał coraz mniej cierpliwości do mnie. Może gdybym się bardziej przykładła, przywiódłabym go jakoś do opamiętania.. Ale nagle okazało się, że jest za późno. To ogłoszenie w „Chronicie” przypieczętowało sprawę, prawda?

Dzwonek telefonu uwolnił mnie od odpowiedzi. Był to Willie Mackey.

- Cześć, Lew. Akcja zakończona. Jestem do twojej dyspozycji.

- Szukam pewnej kobiety. Wiek około czterdziestu lat. Opuściła Santa Teresa piętnaście lat temu. Nazywała się wówczas Ellen Strome Kilpatrick. Wyjechała z mężczyzną, nazwiskiem Leo Broadhurst. Niewykluczone, że są dotąd razem. Według mojej lekko trzepniętej informatorce Ellen mieszka gdzieś na Półwyspie, w starym, jedno - lub dwupiętrowym domu z dwiema wieżyczkami. Dookoła rosną drzewa, dęby i trochę sosen.

- Nie masz żadnych bliższych danych? Na Półwyspie zachowało się jeszcze kupę drzew.

- Tydzień temu koło domu kręcił się wielki dog. Wyglądał na zabłąkanego.

- Co wiesz o tej Ellen?

- Jest rozwiedziona żoną pośrednika sprzedaży nieruchomości w Santa Teresa, Briana Kilpatricka. Powiedział mi, że Ellen ukończyła Uniwersytet Stanforda.

Willie cmoknął z zadowoleniem.

- Wobec tego zaczniemy od Pało Alto. Byłe studentki wracają tam jak gołębnie do gołębnika. Masz fotografię Ellen Strome Kilpatrick?

- Mam ogłoszenie, które ukazało się w „Chronicie” pod koniec czerwca. Jest w nim zdjęcie przedstawiające ją i Leo Broadhursta przed piętnastu laty, kiedy po raz pierwszy zjechali do San Francisco jako państwo Ralphostwo Smithowie.

- Mam to ogłoszenie w kartotece - oznajmił Willie. - O ile mnie pamięć nie myli, jest w nim mowa o tysiącu dolarów nagrody.

- Pamięć cię rzadko myli, gdy chodzi o pieniądze.

- Tak. Ożeniłem się właśnie ponownie. Czy będę na liście kandydatów do nagrody?

- Niestety, człowiek, który ją wyznaczył, nie żyje. Opowiedziałem mu o śmierci Stanleya i dalszych wydarzeniach.

- Jaką rolę gra w tym Ellen?

- Chcę ją o to zapytać. Ty nie zadawaj jej żadnych pytań. Jak ją odnajdziesz, daj mi znać. Przejmę sprawę.

Skończywszy rozmowę, pożegnałem się z Jean. Jej nastrój zmienił się tymczasem. Nie chciała mnie teraz puścić i zostać sama. Nim zamknąłem za sobą drzwi wejściowe, doszedł mnie jej gniewny płacz.

ROZDZIAŁ XXI

Na całej długości ulicy, na której mieszkała pani Snow, fioletowe kwiecie oblepiało jak skroplona chmura gałęzie jakarand. Siedziałem przez minutę w aucie sycąc oczy ich widokiem. W ogródku sąsiedniego domu bawiły się śniade dzieci.

Firanka w oknie pani Snow drgnęła jak powieka dotknięta tikiem. Po chwili w drzwiach ukazała się sama właścicielka. Podeszła do auta. Miała suknię ze zrudziałego jedwabiu, przypominającego zbroję, i twarz białą od pudru, jakby oczekiwała jakiegoś ważnego gościa. Nie mnie, bo powiedziała z tłumioną pasją:

- Nie ma pan prawa nas nachodzić. Uwziął się pan na nas.

Wysiadłem z auta i stanąłem z kapeluszem w ręce.

- Nie niepokoiłbym pani, gdyby pani syn nie był ważnym świadkiem.

- Nie ma obowiązku odpowiadać na pańskie pytania, dopóki się nie poradzi adwokata. Tyle wiem, bo miał już raz kłopoty. Ale tym razem jest niewinny jak nowo narodzone dziecko.

- Taki niewinny?

Stała bez uśmiechu, zagradzając mi drogę do wejścia. Z sąsiedniego domu, jakby wietrząc awanturę, wyszło kilka osób. Podchodzili pojedynczo w naszą stronę, tworząc milczące audytorium. Pani Snow obrzuciła ich przeciągłym spojrzeniem. Jej gniew zastąpił nagle w wyrazie bliskim paniki. Obróciła się do mnie.

- Jeśli pan chce koniecznie rozmawiać, to wejdźmy do środka.

Wprowadziła mnie do swego małego pokoju. Plama po herbacie wylanej przez panią Broadhurst wyglądała jak brunatny ślad dawnej zbrodni. Pani Snow nie usiadła ani nie zaprosiła mnie, żebym usiadł.

- Gdzie Fryc? - zapytałem.

- Syn jest w swoim pokoju.

- Nie mógłby wyjść?

- Nie. Ma przyjść do niego lekarz. Nie chcę, żeby pan go znowu zdenerwował tak jak wczoraj.

- Był zdenerwowany przed rozmową ze mną.

- Wiem. Ale pan go zdenerwował jeszcze bardziej. Fryderyk jest bardzo pobudliwy. Nie panuje nad swoimi uczuciami, odkąd przeszedł załamanie nerwowe. Jeśli to będzie tylko w mojej mocy, nie dopuszczę, żeby pan go znowu wpędził w chorobę.

Poczułem ukłucie wstydu, po prostu dlatego, że była istotą - płci żeńskiej, kruchą i nieugiętą. Ale stała mi na drodze, a gdzieś za nią był zaginiony chłopiec.

- Czy pani zna Ala Sweetnera? - zapytałem. Zaciśnęła wargi, potrząsnęła głową.

- Nigdy o takim nie słyszałam. Ale jej oczy zrobiły się czujne.

- Nie był tu przypadkiem w zeszłym tygodniu?

- Możliwe. Nie mogę pilnować domu po całych dniach. Niech pan powtórzy nazwisko jeszcze raz.

- Al Sweetner. Został wczoraj wieczorem zabity. Policja w Los Angeles zidentyfikowała go jako zbiega z więzienia w Folsom.

Jej ciemne oczy rozbłysły jak oczy nocnego zwierzęcia w świetle latarki.

- Ach, tak.

- Czy nie dawała mu pani pieniędzy?

- Niewiele. Dałam mu pięć dolarów. Nie wiedziałam, że uciekł z więzienia.

- Dlaczego dała mu pani pieniądze?

- Zrobiło mi się go żal.

- Przyjaźniła się pani z nim?

- Nie powiedziałabym. Ale potrzebował na benzynę, żeby się wydostać z miasta, więc odżałowałam pięć dolarów.

- Ja słyszałem, że dała mu pani dwadzieścia. Popatrzyła na mnie bez zmruczenia oka.

- Jeśli nawet? Nie miałam drobnych. Nie chciałam, żeby się tu kręcił, kiedy Fryderyk wróci z pracy.

- Był przyjacielem Fryderyka?

- Nie nazwałabym go przyjacielem. Al nie był nikomu przyjacielem, nie wyłączając samego siebie.

- Ale znała go pani.

Usiadła sztywno na brzeżku fotela na biegunach. Usiadłem i ja na pobliskim krześle. Twarz miała zamkniętą i skupioną. Robiła wrażenie kobiety, która nabiera w płuca powietrza przed zanurzeniem się pod wodę.

- Nie przeczę, znałam go. Mieszkał z nami przez pewien czas jako chłopak. Już wtedy był na bakier z prawem i kurator szukał dla niego rodziny zastępczej. W przeciwnym razie groził mu dom poprawczy. Mój mąż jeszcze żył w tym czasie i zdecydowaliśmy się wziąć Alberta na wychowanie.

- To wspomniałomyślnie z państwa strony. Potrząsnęła energicznie głową.

- Nie przypisuję sobie wielkiej zasługi. Po prostu potrzebne nam były pieniądze. Ze względu na Fryderyka. Nie chcieliśmy dopuścić, żeby nasz dom się rozleciał. Mój mąż w tym czasie ciągle niedomagał, ceny były zawrotne. Jednym słowem wzięliśmy Alberta i robiliśmy, co w naszej mocy. Ale sprawa była beznadziejna, nie mieliśmy na niego żadnego wpływu. Natomiast on miał zły wpływ na Fryderyka. Zastanawialiśmy się właśnie, co z tym fantem zrobić, kiedy sam nam rozwiązał ręce. Ukradł auto i uciekł z dziewczyną.

- Fryderyk był w to zamieszany, prawda?

Zrobiła głęboki wdech, jak nurek wypływający na powierzchnię dla zaczerpnięcia powietrza.

- Słyszał pan o tym?

- Co nieco.

- Ale na pewno słyszał pan na opak. Mnóstwo ludzi winiło o wszystko Fryderyka, bo był z nich najstarszy. Ale Albert Sweetner był nad wiek dojrzały, dziewczyna też. Miała

wszystkiego piętnaście lat, ale może mi pan wierzyć, nie była już niewinna. A Fryderyk ulegał łatwo wpływom, był jak wosk w ich rękach.

- Znała pani tę dziewczynę?

- Owszem, znałam.

- Jak się nazywała?

- Marta Nickerson. Jej ojciec był robotnikiem budowlanym, jeśli W ogóle pracował. Mieszkali w motelu na końcu ulicy. Znałam ją, bo państwo Broadhurstowie brali ją do pomocy w kuchni, kiedy wydawali przyjęcia. Ja im w tym czasie prowadziłam dom. Marta była ładniutkim stworzeniem, ale pozbawionym wszelkich skrupułów. To ona była prowodyrem, jeśli pan chce wiedzieć. I oczywiście jej jednej uszło na sucho.

- Co dokładnie się wydarzyło?

- Ukradli samochód, jak już panu powiedziałam. Musiał to być pomysł Marty, bo ukradli jej znajomemu, właścicielowi motelu, w którym mieszkała. No, i uciekli we trójkę do Los Angeles. To też był jej pomysł. Chciała się za wszelką cenę urządzać w Los Angeles, wbiła sobie w głowę, że zostanie gwiazdą filmową. Przebidowali trzy dni, kombinując na różne sposoby i śpiąc w aucie. W końcu przyłapano wszystkich troje na kradzieży w nowo otwartej piekarni.

Opowiadała z taką swadą, jak gdyby wraz z synem brała udział w eskapadzie. Uświadomiwszy to sobie, przywołała na twarz wyraz kamiennej dezaprobaty.

- Co gorsza, okazało się, że Marta Nickerson jest w ciąży. Była małoletnia, a Fryderyk przyznał się do obcowania cielesnego z nią. W rezultacie sędzia i kurator postawili go przed trudnym wyborem. Albo będzie się bronił przed normalnym sądem, narażając się na więzienie, albo przyzna się do winy przed sędzią dla nieletnich i dostanie nadzór sądowy oraz pół roku przymusowej pracy w obozie leśnym. Adwokat uważał, że nie powinniśmy się upierać przy sprawie, bo sądy dla nieletnich nie lubią, gdy im się sprzeciwiać. I Fryderyk wylądował w obozie.

- Co się stało z pozostałymi?

- Marta wyszła za mąż. Poślubiła człowieka, któremu ukradli samochód. Nawet nie wzywali jej do sądu.

- Gdzie jest teraz?

- Nie bardzo wiem. Jej mąż miał jakiś interes w północnej części hrabstwa. Może z nim tam dotąd mieszka.

- Jak się nazywa z męża? Zastanowiła się.

- Nie przypominam sobie. Mogę sprawdzić, jeśli to ważne. Miała po tym wszystkim czelność przysłać Fryderykowi kartkę gwiazdkową. Zdaje się, że przechowuje ją dotąd w szufladzie razem z innymi skarbami.

- A co z Alem?

- Z Alem to inna sprawa. To nie było jego pierwsze wykroczenie. Znajdował się już pod nadzorem sądowym, więc go osadzili w domu poprawczym w Preston aż do pełnoletności. Pamiętam, jak wyszedł. W lecie minęło akurat piętnaście lat. Jakarandy zaczynały właśnie kwitnąć, kiedy przyszedł po swoje rzeczy. Przechowywałam wszystko w kartonie. Książki szkolne, granatowy garnitur, który dostał z opieki społecznej, żeby miał w czym; chodzić do kościoła. Ale z garnituru przez ten czas wyrósł, książki go nic nie obchodziły. Nakarmiłam go, dałam mu trochę pieniędzy.

Potrząsnęła głową, jakbym coś powiedział.

- To nie była wspaniałomyślność z mojej strony. Chciałam się go pozbyć, zanim Fryderyk zwącha się z nim znowu. Pracował w tym czasie w Straży Leśnej i nie chciałam, żeby Albert sprowadził go jeszcze raz na złą drogę. Ale stało się.

- Co się stało?

- Albert doprowadził go do utraty posady i wpędził na dodatek w chorobę nerwową. Nie chcę wchodzić we wszystkie malownicze szczegóły. Co się stało, to się nie odstanie. W każdym razie Albert nie przestąpił progę mojego domu aż do zeszłego tygodnia. Teraz dowiaduję się, że nie żyje.

- Został zamordowany wczoraj w nocy w Northridge. Nie wiemy, kto go zamordował ani dlaczego. Ale może by nam pomogło, gdyby pani powiedziała, co się wydarzyło przed piętnastu laty. W jaki sposób Albert wpędził Fryderyka w chorobę nerwową?

- Wpakował go w kabałę. Zawsze ta sama stara historia.

- Jaką kabałę?

- Wziął buldożer Fryderyka i urządził sobie przejażdżkę po górkach. Tylko że to oczywiście nie był buldożer Fryderyka, ale państwowy. No i nieszczęście gotowe. Fryderyk o mały włos nie trafił razem z Albertem do więzienia federalnego. Szczęściem skończyło się na wylaniu go z posady. Wszystko przez Alberta.

Zaczynałam po trochu tracić cierpliwość.

- Czy mógłbym teraz pomówić z Fryderykiem, proszę pani?

- Nie widzę potrzeby. Odpowiedziałam na wszystkie pana pytania. Mogę panu powiedzieć tyle samo, co Fryderyk.

- Być może są sprawy, o których pani nie wie.

- Zdaje się, że pan nie rozumie - powiedziała z lekką wyższością. - Żyjemy z Fryderykiem bardzo blisko. - Ale po chwili dodała: - O jakich sprawach pan myśli?

- Wolałbym pomówić z nim. Jest pani jego matką, stara się go pani chronić. To zrozumiałe.

- Muszę go chronić. Fryderyk nie potrafi się sam bronić. Od czasu choroby i utraty posady wini siebie o wszystko. Trzeba było widzieć, jak rozpaczał wczoraj po pańskim przesłuchaniu.

- Nie powiedział mi nic obciążającego. Obrzuciła mnie sceptycznym wzrokiem.

- A co panu powiedział?

- Nie widzę powodu, żeby pani powtarzać. Pani syn jest dorosłym mężczyzną.

- Myli się pan. Jest chłopcem mimo męskiego wieku. Nie jest sobą od czasu załamania nerwowego.

- Które miało miejsce przed piętnastu laty. Czy tak?

- Tak. Tego lata, kiedy wyjechał kapitan Broadhurst.

- Czy Fryderyk lubił kapitana?

- Czy lubił? Otaczał go bałwochwalczą czcią. Kapitan Broadhurst był mu drugim ojcem. Ubóstwiał jego i całą rodzinę. O mało mu serce nie pękło, kiedy kapitan zniknął. To było tak, jakby jego własny ojciec umarł po raz drugi. Nie wymyśliłam sobie tego. Powiedział to sam doktor Jerome.

- Czy to on ma przyjść do Fryderyka? Kiwnęła głową.

- Powinien być lada chwila.

- Czy doktor Jerome jest psychiatrą?

- Nie wierzę w psychiatrów - oświadczyła tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Doktor Jerome jest dobrym lekarzem - Gdyby nie był dobry, nie leczyłby pani Broadhurst. Kiedy Fryderyk się rozchorował, pani Broadhurst oddała go pod opiekę doktora Jerome. Płaciła za niego wszystkie rachunki, z domem opiekuńczym włącznie. A kiedy wyszedł z tego miejsca, dała mu posadę ogrodnika. - Pani Snow uśmiechnęła się, jakby czerpiąc odrobinę otuchy z tego wspomnienia. - Ale obawiam się, że teraz utraci z kolei i tę pracę.

- Nie rozumiem, dlaczego miałby ją utracić, skoro nie zrobił nic złego. Prawdę mówiąc, nie rozumiem także, dlaczego utracił pracę w Straży Leśnej.

- Ja też nie. Albert wziął klucz od buldożera bez jego pozwolenia. Ale nadleśniczy nie uwierzył Fryderykowi. Pewno z powodu tej sprawy w sądzie dla nieletnich. Jak chłopiec raz wejdzie w kolizję z prawem, to już zostaje napiętnowany na resztę życia.

ROZDZIAŁ XXII

Pani Snow wstała i podeszła do drzwi, jakby chcąc mnie wypuścić. Atmosfera jej domu działała na mnie przygnębiająco, ale nie byłem jeszcze gotów do wyjścia. Nie ruszyłem się z miejsca, więc po milczącej próbie sił wróciła i usiadła z powrotem na bujanym fotelu.

- Jeszcze coś? - zapytała.

- Tak. Chciałbym, żeby mi pani pomogła. To nie ma bezpośredniego związku z panią ani z Fryderykiem. Zdaje się, pracowała pani u państwa Broadhurstów, kiedy kapitan Broadhurst uciekł z domu?

- Owszem, pracowałam.

- Nie znała pani przypadkiem tej kobiety?

- Ellen Kilpatrick? Oczywiście, że znałam. Była żoną miejscowego pośrednika sprzedaży nieruchomości. Uczyła w szkole rysunków. Dopiero ostatnio jej mąż się dorobił na Canyon Estates, wtedy z trudem wiązali koniec z końcem. Pani Kilpatrick zwierzyła widać okazję urządzenia się i zastawiła sieci na kapitana Broadhursta. Wszystko rozgrywało się na moich oczach. Gdy tylko pani Broadhurst wychodziła za drzwi, podrzucali mi Stanleya i szli do domku myśliwskiego. Pani Kilpatrick niby to uczyła kapitana malować, ale naprawdę uczyła go zupełnie czego innego. Myśleli, że wszystkich wodzą za nos, ale tylko im się wydawało. Często łapałam ich na ukradkowych spojrzaniach, jakby żyli we własnym świecie i nikt poza nimi nie istniał.

- Czy pani Broadhurst wiedziała o romansie?

- Jak mogła nie wiedzieć? Widziałam, jak cierpi. Ale nigdy nie zająknęła się o tym słówkiem, przynajmniej w mojej obecności. Przypuszczam, że chciała uniknąć zerwania. Rozumie pan, jej rodzina coś znaczy w mieście. W każdym razie wówczas znaczyła. Może robiła to również przez wzgląd na Stanleya. Chociaż kiedy o tym teraz myślę, wydaje mi się, że jawne zerwanie wyszłoby mu bardziej na zdrowie. Pytał mnie ciągle, co tatuś robi z tą panią w domku myśliwskim. Musiałam wymyślać niestworzone historie, ale nigdy mi naprawdę nie wierzył. Dzieci zawsze wiedzą.

- Znaczy, że to trwało przez dłuższy czas?

- Przynajmniej rok. To był dziwny rok, nawet dla mnie. Prowadziłam pani Broadhurst dom, byłam tam, ale miałam uczucie, jakbym patrzyła na wszystko z zewnątrz. Stopniowo ci dwoje przestali się mnie krępować. Zachowywali się tak, jakbym była meblem. Pod koniec nawet nie zawsze fatygowali się do domku myśliwskiego.

Może trochę dlatego, że Fryderyk pracował akurat przy budowie szlaku w górze kanionu. Dość że zostawali często w domu pod nieobecność pani Broadhurst. Zamykali się na klucz w małym pokoiku i wychodzili stamtąd z rozpalonymi policzkami, a ja musiałam tłumaczyć Stanleyowi, dlaczego skrzyiała kozetka. - Jej twarz powlekła się lekkim pąsem pod grubą warstwą pudru. - Nie wiem, dlaczego panu to opowiadam. Poprzysięgłam sobie, że zejđę do grobu nie pisnąwszy nikomu słówka.

- Nie wie pani, co ich skłoniło do wyjazdu?

- Przypuszczam, że zaczęło im to ciążyć. Ja już goniłam resztkami sił. Wymówiłabym pewnie, gdyby nie to, że akurat uciekli.

- Dokąd pojechali?

- Do San Francisco, przynajmniej tak się mówiło. W każdym razie żadne już nie wróciło. Ciekawam tylko, z czego żyli. Kapitan nie miał zawodu ani majątku. Znając ich, skłonna jestem przypuszczać, że to ona wystarała się o posadę i utrzymuje go do dziś dnia. Kapitana trudno by nazwać człowiekiem praktycznym.

- A ona jaka jest?

- Typ artystyczny. Ale w gruncie rzeczy znacznie bardziej praktyczna, niż się przyznawała. Udawała, że chodzi z głową w chmurach, a naprawdę stąpała pewnie po ziemi. Czasami było mi jej szczerze żal. Wodziła za nim oczami jak pies za swoim panem. Często się nad tym później zastanawiałam. Jak kobieta mająca własnego męża i syna może się tak zadurzyć w cudzym mężu?

- Sądząc po fotografii kapitan był bardzo przystojnym mężczyzną.

- Faktycznie. Gdzie pan widział jego fotografię? Pokazałem jej ogłoszenie Stanleya. Rozpoznała je.

- Albert Sweetner miał ten wycinek z sobą. Chciał się upewnić, że to kapitan Broadhurst. Potwierdziłam.

- A o kobietę nie pytał?

- Nie potrzebował, znał panią Kilpatrick z dawnych czasów. Była jego wychowawczynią w szkole, kiedy u nas mieszkał. - Przetarłszy okulary pochyliła się ponownie nad wycinkiem. - Kto dał to ogłoszenie do gazety?

- Stanley Broadhurst.

- Skąd on wziął tysiąc dolarów na nagrodę? Nigdy nie miał centa przy duszy.

- Od matki. Tak sobie przynajmniej zaplanował.

- Rozumiem. - Podniosła znad wycinka oczy pełne spraw minionych. - Biedny mały Stanley. Do końca próbował dojść, co się działo w domku myśliwskim.

Intuicja tej kobiety nie przestawała mnie zdumiewać. Lata kłopotów i osłaniania Fryca wyostrzyły jej umysł ponad zwykłą miarę. Zdawałem sobie sprawę, że opowiada mi to wszystko nie bez kozery, że zwodzi mnie jak podstarzała Szeherezada, budująca zaporę słów między mną a swoim synem. Spojrzałem na zegarek. Była za kwadrans pierwsza.

- Musi pan iść? - spytała skwapliwie pani Snow.

- Gdybym mógł porozmawiać z Fryderykiem...

- Nie może pan. Nie pozwalam. Zawsze siebie obwinia o rzeczy, których nie zrobił.

- Wezmę to pod uwagę. Potrząsnęła głową.

- Nie powinien pan nawet prosić. Powiedziałam panu więcej, niżby się pan dowiedział od Fryderyka. - Po chwili dorzuciła z gniewną brawurą: - Jeśli chce pan jeszcze coś wiedzieć, niech pan spyta mnie.

- Tylko jedno. Wspomniała pani o karcie gwiazdkowej, którą Marta Nickerson przysłała Fryderykowi.

- Właściwie to nie była karta gwiazdkowa. Zwykła pocztówka z pozdrowieniami. - Wstała. - Postaram się ją znaleźć, jeśli panu na tym zależy.

Zniknęła w drzwiach kuchni. Słyszałem, jak otwiera i zamyka drugie drzwi. Potem przez cienkie ściany doszedł szmer głosów, histerycznie wznoszący się głos Fryderyka i uspokajający głos jego matki.

Po chwili pani Snow wróciła z kartką w ręce. Kolorowa fotografia przedstawiała front piętrowego motelu z napisem: Yucca Tree Motor Inn. Znaczek na odwrocie nosił stempel: Petroleum City, 22 grudnia 1952. Wyblakły, pisany zielonym atramentem tekst brzmiał:

Drogi Frycu!

Dawnośmy się nie widzieli. Co słyhać w naszej poczciwej starej Santa Teresie? Ja mam małą córeczkę. Urodziła się 15 grudnia, na samą Gwiazdkę, ważyła prawie trzy i pół kilo. Powiadam Ci, istna laleczka. Postanowiliśmy ją nazwać Susan. Jestem bardzo szczęśliwa, mam nadzieję, że Ty też. Najlepsze życzenia gwiazdkowe dla Ciebie i Twojej matki.

Marta (Nickerson) Crandall.

Ledwo skończyłem czytać, w kuchni zadzwonił telefon. Pani Snow podskoczyła jak na dźwięk dzwonka alarmowego. Ale zamknęła za sobą starannie drzwi, nim odebrała telefon. Po chwili drzwi otworzyły się z powrotem.

- To do pana. Pan Kelsey - powiedziała krzywiąc usta, jakby to nazwisko miało gorzki posmak.

Usunęła się na bok, żeby mnie przepuścić, po czym stanęła w otwartych drzwiach nasłuchując. Głos Kelseya był naglący.

- Pilot z eskadry ochotniczej wyszedł „Ariadnę”. Weszła na mieliznę w Zatoce Wydmowej.

- Co z pasażerami?

- Niejasna sprawa. Nie wygląda to zbyt różowo. Według moich informacji przybój grozi jachtowi w każdej chwili rozbiciem.

- Gdzie to dokładnie?

- Tuż poniżej parku stanowego. Zna pan to miejsce?

- Tak. Gdzie pan jest? Mogę pana zabrać po drodze.

- Niestety, nie mogę się ruszyć z miasta. Mam poszlakę w sprawie zabójstwa Stanleya Broadhursta. Zresztą nie powinienem się oddalać z rejonu pożaru.

- Co to za poszlaka?

- Widziano wczoraj w okolicy tego pańskiego faceta w peruce. Jechał Drogą Grzechotników starym białym autem. Widziała go studentka, która poszła się tam przejść niedługo przed pożarem.

- Potrafi go zidentyfikować?

- Jeszcze nie wiem. Jadę z nią porozmawiać. Kelsey odłożył słuchawkę. Odwróciwszy się od telefonu, zauważyłem, że drzwi do pokoju Fryca są uchylone. W szparze błyszczało jego wilgotne oko, jak oko ryby w podwodnej szczelinie. Matka obserwowała go jak rekin z przeciwległych drzwi kuchni.

- Jak się masz, Fryc? - zapytałem.

- Okropnie.

Otworzył szerzej drzwi. W wygniecionej piźniamie przy-; pominął bardziej niechlujnego chłopca niż mężczyznę.

- Wracaj do siebie i siedź cicho - zgromiła go matka.

Potrząsnął rozczochraną głową.

- Nie chcę siedzieć. Męczą mnie różne zwidy. - Jakie zwidy, Fryc? - zapytałem.

- Pan Broadhurst w grobie.

- Czy to ty go pochowałeś?

Kiwnął głową i rozplakał się. Stał tak kiwając się i lży kapały mu ciurkiem. Jego matka wkroczyła między nas. Oparłszy się swoim nikłym ciężarem o jego bezwolne ciało wpechnęła go z powrotem do pokoju. Zamknęła drzwi, przekręciła klucz w zamku i trzymając go jak broń obróciła się do mnie.

- Proszę stąd wyjść. Znowu go pan wyprowadził z równowagi.

- Jeśli to on pochował wczoraj Stanleya Broadhursta, nie uda się pani tego zatuszować. Musi pani być szalona, żeby próbować.

Wydała dźwięk, który miał być śmiechem, ale zabrzmiał jak szczeknięcie teriera.

- To nie ja jestem szalona. On ma tyle wspólnego z pochowaniem pana Broadhursta, co ja. Tak go panowie zastraszyliście, tak mu zamieszaliście w głowie, że sam nie wie, co widział i robił. Ale ja wiem z całą pewnością, że nie zrobił nic złego. Znam dobrze swojego syna.

Mówiła z takim przekonaniem, że byłam bliski uwierzenia jej.

- Mimo wszystko sędzę, że wie więcej, niż powiedział.

- Wie o wiele mniej, chciał pan powiedzieć. Sam nie wie, co wie. Powinien się pan wstydzić, tak napastować biedną wdowę i jej jedyne syna. Jeśli doktor go zobaczy w takim stanie, będzie go chciał oddać do szpitala wariatów.

- Był tam już kiedyś?

- Nie, ale mało brakowało. Gdyby pani Broadhurst nie opłaciła mu prywatnego leczenia...

- To było w 1955 roku?

- Tak. A teraz proszę wyjść z mojej kuchni. Nie zapraszałam pana tutaj, teraz pana wypraszam.

Podziękowałam jej i wyszedłem. Przed domem stało żółte auto sportowe, z którego wysiadł nie pierwszej młodości mężczyzna w sportowym ubraniu. Wyjął z bagażnika torbę lekarską i ruszył w moją stronę. Jego siwe włosy i błękitne oczy kontrastowały z ogorzałym wyglądem.

- Doktor Jerome?

- Tak.

Obrzucił mnie pytającym spojrzeniem. Powiedziałem mu, kim jestem i czym się zajmuję.

- Zaangażowała mnie Jean Broadhurst. A propos, jak się ma Elizabeth Broadhurst?

- Jest ogólnie wyczerpana. Doprowadziło to do lekkiego ataku serca.

- Można z nią pomówić?

- Nie dzisiaj. Może jutro. Ale nie poruszałbym sprawy jej syna. Ani wnuka. - Doktor zrobił głęboki wdech i westchnął z nieoczekiwanym uczuciem. - Oglądałem w prosektorium ciało Stanleya. Przykro, kiedy taki młody człowiek umiera.

- Umarł od rany kłutej?

- Przypuszczam.

- Czy pan go leczył?

- Przez większą część życia. Regularnie, dopóki mieszkał w domu. Potem odwiedzał mnie od czasu do czasu. Lubił zasięgać mojej rady, kiedy miał kłopoty.

- Jakie kłopoty?

- Emocjonalne, małżeńskie. To nie są tematy do dyskusji z osobami postronnymi.

- Stanleyowi to już nie zaszkodzi. Nie żyje.

- Sam nie wiem - odparł doktor nie bez cierpkości. - Bardziej mnie interesuje, kto go zabił i pochował.

- Pański pacjent, Fryc Snow, twierdzi, że go pochował.

Obserwowałem jego reakcję. Ale jego spokojne oczy nie uciekły, ogorzała jędrna twarz nie zmieniła zabarwienia. Uśmiechnął się nawet lekko.

- Niech pan w to nie wierzy. Fryc się do wszystkiego przyznaje.

- Skąd pan wie, że to nieprawda?

- Jest moim pacjentem od przeszło dwudziestu lat.

- Jest umysłowo chory?

- Tego bym nie powiedział. Jest chorobliwie przewrażliwiony, ma skłonności do obwiniania się o wszystko. Gdy zostanie wytrącony z równowagi; traci całkowicie poczucie rzeczywistości. Odkąd go znam, biedny Fryc jest małym zastraszoną chłopcem.

- Czego się właściwie boi?

- Między innymi matki.

- Też bym się bał.

- Wszyscy byśmy się jej bali na jego miejscu - powiedział doktor z błyskiem humoru.

- Chociaż drobnego ciała, to twarda kobieta. Cóż, życie ją taką zrobiło. Jej nieboszczyk mąż był bardzo podobny do Fryca. Nie mógł utrzymać żadnej pracy. Podejrzewam, że u podłoża wszystkiego kryją się jakieś zaburzenia genetyczne. Niestety wobec obciążeń dziedzicznych jesteśmy ciągle bezradni.

Spojrzeliśmy obaj w kierunku domu. Pani Snow obserwowała nas przez okno. Widząc, że patrzymy w jej stronę, opuściła firankę.

- Muszę iść do mojego pacjenta - oświadczył doktor.

- Może byśmy o nim jeszcze kiedyś porozmawiali? Jeśli nawet Fryc jest niewinny, jak pan twierdzi, coś go niewątpliwie łączyło z głównym podejrzanym o zabójstwo Stanleya. - Opowiedziałem mu o Albercie Sweetnerze i odnalezionej przez Kelseya studentce, która go

widziała. - Skądinąd wiadomo, że Fryc miał dostęp do narzędzi, którymi wykopano grób. Co więcej, przyznaje się do pochowania Stanleya.

Doktor pokręcił wolno siwą głową.

- Gdyby niebo się zawaliło, Fryc też by sobie przypisał winę. Nawiasem mówiąc jest bardzo prawdopodobne, że Stanley sam sobie wykopał grób.

- Rozważaliśmy z zastępcą koronera tę ewentualność.

- W świetle faktów to coś więcej niż ewentualność - odrzekł Jerome - Oglądając ciało Stanleya, stwierdziłem, że ma na rękach pęcherze.

- Co za pęcherze?

- Najzwyklejsze w świecie. Na obydwu dłoniach. - Doktor postukał szerokimi łyżkowatymi palcami prawej ręki w otwartą lewą dłoń. - Odciski podeszłe płynem surowicznym, jakich człowiek nienawykły dostaje od łopaty. Chociaż przyznaję, trudno uwierzyć, żeby ktoś sam sobie kopał grób.

- Może go ktoś zmusił - odparłem - Al Sweetner, ten człowiek w peruce, był notorycznym kryminalistą. Mógł stać nad Stanleyem z pistoletem w ręku. Względnie Stanley mógł mieć jakiś inny powód.

- Jaki?

- Nie wiem. Może sam miał zamiar kogoś pochować. Była z nim młoda dziewczyna. No i jego synek.

- Co się z nimi stało?

- Właśnie jadę się przekonać.

ROZDZIAŁ XXIII

Do Zatoki Wydmowej dojeżdżało się krętą boczną drogą, odchodzącą od szosy numer 1. Nad wydmami rzeźbionymi przez wicher, wznoszącymi się ku północy wzdłuż brzegu, płynęły w głąb lądu chmury jak trzepoczące proporce. Wyglądały na zwiastuny sztormu.

Pawilon u wjazdu do parku stanowego stał zamknięty i pusty. Nie zatrzymując się dojechałem do parkingu, skąd był widok na ocean. Może sto metrów od brzegu, w miejscu, gdzie załamywały się fale, leżała na burcie „Ariadna”. Dalej krążyło stado pelikanów, ód czasu do czasu nurkując po ryby.

Z plaży przyglądały się jachtowi trzy osoby. Nie te, których szukałem. Najbliżej stał mężczyzna w mundurze strażnika parku stanowego. W pobliżu niego stało dwóch chłopców z długimi włosami wypłowiałymi od słońca opartych na deskach surfingowych.

Wyjąłem z bagażnika lornetkę i nastawiłem na jacht. Słup utracił maszt, takielunek zwisał mu przez burtę jak podarta sieć. Kadłub wydawał się rozpruty i obciążony wodą. Jacht prostował się ociężale na fali przyboju, po czym kładł się niezdarnie z powrotem na burtę. Złapałem się na tym, że oddycham ciężko w takt przyboju.

Zszedłem na plażę po drewnianym chodniku, na pół zasypanym piaskiem. Strażnik obrócił się na moje spotkanie. Spytałem go, czy trójka z jachtu została uratowana.

- Tak jest. Wydostali się na brzeg.

- Wszyscy troje?

- Tak jest. Ci chłopcy bardzo pomogli.

Idąc za ruchem jego dłoni, obróciłem się do chłopców z deskami. Odwzajemnili moje spojrzenie z rodzajem nieufnej dumy, jakby nie dowierzali aprobachie dorosłych.

- Nic im się nie stało - powiedział starszy i obaj kiwnęli głowami w solennym unisono.

- Gdzie są? - spytałem: Wzruszył gibkimi ramionami.

- Ktoś po nich przyjechał autem.

- Jakim autem? Chłopiec wskazał na strażnika.

- Niech pan jego spyta. Obróciłem się do mężczyzny, który robił wrażenie czyjegoś protegowanego na ciepłej posadce. Odpowiedział z ociąganiem.

- To był niebieski Chevrolet kombi, nowy model. Nie - zwróciłem uwagi na numer, nie widziałem potrzeby. Nie wiedziałem, że są uciekinierami.

- Mały nie jest uciekinierem. Raczej ofiarą porwania.

- Nie zachowywał się jak porwany.

- A jak się zachowywał?

- Był przerażony. Ale nie bał się tamtych dwojga. Szedł z nimi bez oporu.

- Dokąd go zabrali?

- Do auta.

- To wiem. Kto po nich przyjechał?

- Postawna kobieta w kapeluszu kowbojskim.

- Skąd wiedziała, że tu są?

- Pozwoliłem dziewczynie zadzwonić od siebie. Skąd mogłem wiedzieć...

- Nie może pan sprawdzić, dokąd dzwoniła?

- W jaki sposób? Chyba że się łączyła przez międzymiastową. Spróbuję.

Poczłapał w kierunku chodnika osłaniając twarz przed zacinającym piaskiem. Poszedłem za nim do pawilonu przy wjeździe. Wszedł do środka zadzwonić, a ja czekałem na zewnątrz. Po jakimś czasie wyszedł kręcąc głową i rozkładając bezradnie ręce.

- W centrali nie ma żadnego śladu.

- Z policją pan rozmawiał?

- Przyjechali i pojechali. Kapitan z biura szeryfa w Petroleum City. Zjawił się po odjeździe całej trójki.

Zszedłem ponownie na zdradliwy skraj oceanu, żeby popatrzeć jeszcze raz na „Ariadnę”. Trzepotała się na przyboju jak ptak nie mogący się wzbić na skrzydłach oblepionych ropą: Obejrzawszy się stwierdziłem, że starszy z dwu chłopców podszedł cicho po piasku.

- Przykro, jak taki jacht się marnuje - powiedział. - Ciarki człowieka przechodzą.

- Co się właściwie stało?

- Motor wysiadł. Tak twierdzi ten z bródką. Nim zdążył postawić żagle, wiatr rzucił jacht na mieliznę. Maszt poszedł od uderzenia. Widzieliśmy obaj z bratem. Wypłynęliśmy i ściągnęliśmy ich na deskach surfingowych.

- Nikomu się nic nie stało?

- Tylko Bródce. Zerwany takielunek wyrzwał go w rękę.

- A co z małym?

- W porządku. Zimno mu było, więc brat pożyczył mu swój pled. Trząsał się biedak, jakby miał nigdy nie przestać. Nie przesadzam.

Chłopiec sam drżał z zimna, ale zachowywał stoicką postawę niczym syn prymitywnego plemienia poddawany rytuałowi inicjacji.

- Dokąd pojechali? - zapytałem. Zlustrował mnie jeszcze raz nieufnym wzrokiem.

- Kim pan jest? Tajniakiem? i

- Detektywem prywatnym. Chcę odnaleźć chłopca.

- Bródkę?

- Nie, małego.

- Mówiąc o porwaniu, mówił pan... tak jak jest?

- Tak.

- To oni nie są rodzeństwem? Tak mówili.

- Co jeszcze mówili?

- Bródką mówił, że pan... że go poszukują za strzykanie się. Czy to prawda?

- Nie, chcę tylko odzyskać małego. Jego ojciec został wczoraj zamordowany.

- Przez Bródkę?

- Możliwe. Nie wiem.

Chłopiec odszedł, zamienił kilka słów z bratem i zawrócił w moją stronę. Spotkałem go w pół drogi.

- Co to za tajemnice?

- Chciałem tylko sprawdzić u brata. Dziewczyna powiedziała, żeby odebrać koc w Petroleum City. Ma go zostawić w recepcji motelu Yucca Tree Inn.

Jadąc do Petroleum City, mijalem całe pola wież wiertniczych i szybów naftowych. Dalej na horyzoncie majaczyły wyrzutnie raketowe Bazy Lotniczej Yandenberga. Samo Petroleum City było prowincjonalnym miasteczkiem, które dzięki gwałtownej koniunkturze rozlało się poza pierwotne granice milami tandetnych osiedli, zastygłych w lodowiec pospolitości.

Motel Yucca Tree Inn rozrósł się w ciągu tych piętnastu lat, sprzed których pochodziła widokówka. Usytuowany na południowym skraju miasta, zajmował trzy boki niewielkiego kwartału, którego czwarty bok był zamknięty przez ośrodek konferencyjny. Ruchome litery na daszku nad głównym wejściem reklamowały „Befszyki, homary, muzyka non-stop”. Już parkując samochód przed motelem, słyszałem westernową melodię jak przedśmiertny lament ginącego pogranicza.

Kobieta w recepcji ubrana była jak parodia kowboja - w jaskrawą pasiastą bluzkę i szerokoskrzydły kapelusz z imitacją nie garbowanej skóry zamiast wstążki. Miała przyjazne rozłożyste ciało, z którym mimo lat praktyki nie bardzo zdaje się wiedziała, co począć.

- Nie zostawił ktoś u pani pledu? - zapytałem. - Mokrego?

Zlustrowała mnie bez uśmiechu.

- To nie pan pożyczał Susie pled.

- Nie twierdzę, że ja. Susie jest?

- Nie, pojechali dalej. - Zastygła z rozchyłonymi wargami, jakby nagle ogarnięta wątpliwościami. - Miałam o tym nie mówić.

- Kto tak powiedział?

- Pan Crandall.

- Lester Crandall?

- Tak. Jest właścicielem motelu.

- Chciałbym z nim pomówić.

- O czym?

- O jego córce. Jestem detektywem prywatnym. Byłem wczoraj u niego w Pacific Palisades. Działamy wspólnie.

- Nie ma go tu.

- Powiedziała pani, że zabronił pani o tym mówić.

- Przez telefon. Rozmawiałam z nim przez telefon.

- Kiedy?

- Przed paroma godzinami. Jak tylko Susie zadzwoniła z Zatoki Wydmowej. Kazał mi ją tutaj zatrzymać do swego przyjazdu. Łatwo mu mówić. Ledwo się odwróciłam, wskoczyli w auto i tyle ich widziałam.

- W którym kierunku pojechali?

- W stronę San Francisco.

Zrobiła wielkim palcem ruch autostopowicza wskazującego kierunek jazdy. Wziąłem od niej numer samochodu.

- Zawiadomiła pani policję? - zapytałem.

- Po co? To auto pana Crandalla. Nie życzy sobie, żeby w to wciągać policję.

- Kiedy go się pani spodziewa?

- Lada chwila. - Jej mina świadczyła, że nie spieszy jej się do spotkania. - Jeśli ma pan u niego chody, niech pan mi wyświadczy przysługę, dobrze? Niech pan mu powie, że robiłam, co mogłam, ale mi uciekła.

- Dobrze. Jak pani, się nazywa? Ja Lew Archer.

- Joy Rawlins. Ale chyba będę musiała zmienić imię na Sorrow - dorzuciła takim tonem, jakby powtarzała odgrzewany dowcip.

- Niech pani tego nie robi. Mogę panią zaprosić na jednego?

- Niestety, muszę pilnować recepcji. Ale dziękuję za zaproszenie. - Posłała mi uśmiech, który stopniowo zgasł. - Co się właściwie dzieje z Susie? Była taką miłą, spokojną dziewczyną, może trochę za spokojną.

- Już nią nie jest. Uciekła z domu.

- Uciekła? Więc czemu dzwoniła?

- Potrzebowała środka lokomocji. Co powiedziała, kiedy zadzwoniła z plaży?

- Że wypłynęła z przyjaciółmi na przejażdżkę, jacht się rozbił i wylądowali na odludziu przemoczeni do suchej nitki. Prosiła, żeby nie zawiadamiać ojca, ale musiałam. Zostawił wyraźne instrukcje. Przywiozłam ich tutaj, przebrali się w suche ubrania, przegryźli coś...

- Skąd wzięli suche ubrania?

- Z apartamentu pana Crandalla. Otworzyłam im. Myślałam, że zostaną. Chłopak z bródką prosił mnie nawet o sprowadzenie lekarza. Ma chyba złamaną rękę, zwisa mu bezwładnie. Ale potem się rozmyślił, powiedział, że poczeka, aż dojedzie do matki. Pytałam, dokąd, ale nie odpowiedział.

- A co z małym?

- Mam synka, więc dałam mu coś do przebrania się.

- Mówił coś?

- Chyba ani słowa. - Zastanowiła się. - Nie, nie słyszałam, żeby się odezwał słowem.

- Nie płakał? Potrząsnęła głową.

- Nie, nie płakał.

- Zjadł coś?

- Wmusiłam w niego trochę zupy i kawałek hamburgera. Ale przez większą część czasu siedział jak posązek. - Zamilkła na chwilę, po czym zapytała od rzeczy: - Widział pan pelikany w Zatoce Wydmowej? Nie mogą mieć małych, wie pan? Są zatrute DDT, ich jaja pękają, nim się zdążą wykluć pisklęta. Odparłem, że wiem, i zapytałem:

- A co Susan? Mówiła coś?

- Bardzo niewiele. Nie wiem, co myśleć. Zmieniła się nie do poznania.

- Na czym polega zmiana?

- Byliśmy z sobą bardzo blisko, dopóki się nie wyprowadzili do Los Angeles. Tak mi się wydawało.

- Jak dawno się wyprowadzili?

- Już parę lat temu. Les... pan Crandall otworzył nowy motel w Oceano, z Los Angeles było mu wygodniej dojeżdżać. Taki podał powód.

- A były inne?

Recepcjonistka zmierzyła mnie powątpiewającym spojrzeniem, ni to przyjaznym, ni podejrzliwym.

- Magluje mnie pan. A ja mówię za dużo. Ale nie mogę spokojnie patrzeć, jak Susie marnuje sobie życie. To była dobra dziewczyna, naprawdę. Uparta jak jej ojciec, ale w gruncie rzeczy dobra.

Pogrzażyła się na chwilę w myślach. Niepomna mojej obecności, opuściła marzycielsko wzrok, jakby tuliła do piersi dziecko. Przywołałem ją do rzeczywistości.

- Co ją odmieniło?

- Jest doprowadzona do ostateczności. Nie wiem, dlaczego. - Skrzywiła usta. - Właściwie wiem. Przeprowadzili się do Los Angeles, żeby jej zapewnić lepsze warunki,

pozycję społeczną i tak dalej. To był pomysł pani Crandall. Zawsze miała bzika na punkcie Los Angeles. Dla Susie przeprowadzka okazała się jednym wielkim nieporozumieniem. Zresztą dla nich także. Ale oczywiście mają pretensję do Susie, że jest nieszczęśliwa. Biadaczka nie ma się do kogo zwrócić, jest zupełnie sama. To zabójstwo.

Drgnąłem na to słowo, ale nawiązałem do jaśniejszej strony sytuacji.

- Zwróciła się do pani.
- Tak, ale prędko się odwróciła z powrotem.
- Susan nie jest pani obojętna.
- Nie jest. Nigdy nie miałam córki.

ROZDZIAŁ XXIV

Nie jadłem nic od siedmiu czy ośmiu godzin, więc wszedłem do restauracji-baru, skąd dochodziła muzyka, i powiesiłem kapelusz na rogu longhorna na ścianie zabezpieczonym mosięzną gałką. Czekaając na stek z rusztu zamknąłem się w kabinie telefonicznej i połączyłem ponownie z Williem Mackeyem. Tym razem telefon przyjął on sam.

- Agencja Mackeya.
- Mówi Archer. Wpadłeś na trop Ellen?
- Jeszcze nie. Ale mam już psa.
- Jakiego psa?

- No, tego doga - zniecierpliwiał się Willie. - Rzeczywiście zaginał. Jestem w kontakcie z właścicielem, ale on mieszka pod Mili Valley. Dał w zeszłym tygodniu ogłoszenie o zaginięciu psa i ktoś go znalazł w Sausalito. To kawał drogi od Półwyspu, Lew. - Moja informatorka była zdaje się po LSD.

- Właśnie nie wiedziałem, co o tym myśleć - powiedział Willie. - Na wszelki wypadek posłałem człowieka do Sausalito. Znasz Harolda?

- Możesz się z nim skontaktować?
- Przypuszczam. Ma radio w wozie.
- Powiedz mu, żeby uważał na niebieski Chevrolet kombi z trzema pasażerami.

Podaliśmy ich nazwiska i opisy oraz numer wozu.

- Co Harold ma zrobić, jeśli ich przyuważy?
- Jechać za nimi. Odebrać małego, jeśli to będzie możliwe.
- Sam pojedę - oznajmił Willie. - Nie mówiłeś mi, że to porwanie.
- To nie jest zwykłe porwanie.

- Więc co te szczeniaki kombinują?

Nie miałem na to odpowiedzi. Po chwili milczenia powiedziałem:

- Ojciec małego został wczoraj zamordowany. Chłopiec był prawdopodobnie świadkiem zabójstwa.

- Zamordowało go tamtych dwoje?

- Nie wiem. - Miałem coraz większe wątpliwości co do Jerry'ego i Susan. Chciałem położyć kres ich szaleńczej ucieczce nie tylko ze względu na Ronniego, ale i na nich samych.

- Musimy się z tym liczyć - powiedziałem.

Wróciłem do stolika, gdzie czekał już na mnie stek. Popiłem go piwem. Przy eliptycznym barze siedziało czterech kowbojów, którzy nigdy nie widzieli z bliska krowy. Zawodzili kowbojskie piosenki, brzmiące tak, jakby powstały daleko na Wschodzie.

Zamówiłem drugie piwo i rozejrzałem się po sali, która była hałaśliwym konglomeratem prawdziwego i podrabianego Zachodu. Spotykali się tu kowboje i mieszczuchy udający kowbojów, wojskowi w towarzystwie żon i dziewczyn, turyści, robotnicy naftowi w butach na wysokich obcasach jak kowboje oraz kilku ubranych po miejsku mężczyzn w modnych szerokich krawatach, ale o oczach otoczonych siecią zmarszczek od stałego przebywania na słońcu.

Niektóre z tych oczu zabłyśły, gdy w drzwiach hallu ukazał się Lester Crandall. Zapaliły się jak elektronowe detektory pieniądza. Wszedłszy, Crandall zatrzymał się i rozejrzał po sali. Podniosłem rękę. Podszedł i uścisnął mi dłoń.

- Jak pan się tu tak szybko znalazł? - zapytał. Powiedziałem mu, obserwując przy tym jego twarz.

Reakcje miał przytępione i zwolnione, jakby w ogóle nie spał w nocy. Ale widać było, że czuje się lepiej w motelu niż w swojej luksusowej willi w Pacific Palisades. Kelnerki poderwały się na jego widok i jedna podeszła do stolika.

- Podać coś? - spytała.

- Kukurydzówkę. Wiesz, którą. I zapisz należność pana Archera na mój rachunek.

- To niepotrzebne - powiedziałem. - Ale dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Pochylił się lustrując mnie spod spuchniętych powiek. - Niech pan wybaczy, jeśli już o to pytałem, ale jestem dziś trochę otępiały. Ciągle nie bardzo wiem, w czyim imieniu pan występuje.

- Wdowy po Stanleyu Broadhurście. Chcę odzyskać jej synka, nim mu się coś stanie, a ona postrada zmysły.

- Sam jestem bliski utraty zmysłów. - Ujął mnie spracowaną dłonią za przegub gestem niespodziewanej poufałości i równie szybko puścił. - Ale mogę pana uspokoić co do jednego. Moja Susan nie należy do dziewcząt, które by zrobiły krzywdę małemu chłopcu.

- Chyba że nieумыślnie. Wystawia go na niebezpieczeństwo. Cud, że nie utonęli dziś rano.

- Właśnie mówiła mi pani Rawlins. Szkoda, że nie wykazała dość charakteru, żeby ich zatrzymać. Obiecała.

- To nie jej wina. Sam jej pan zabronił wezwać policję.

Crandall zmierzył mnie spojrzeniem pełnym zimnej wściekłości.

- Znam policję w tej części kraju. Urodziłem się tutaj, wychowałem. Tu policja najpierw strzela, a potem zadaje pytania. Nie mam zamiaru ich napuszczać na moją nieletnią córkę.

Nie mogłem mu nie przyznać racji.

- Nie będziemy się sprzeczać - powiedziałem. - To nie zmieni faktu, że są już pewnie w rejonie Zatoki San Francisco.

- Gdzie w rejonie zatoki?

- Prawdopodobnie w Sausalito.

Zacisnął pięści i potrząsnął nimi, jakby szykował się do rzutu kośćmi.

- Czemu pan za nimi nie jedzie?

- Myślałem, że dowiem się od pana czegoś sensownego.

Oczy miał nadal ciemne od gniewu.

- Co to, dowcip?

- Nie, fakt. Niech pan się uspokoi. Szuka ich w San Francisco mój kolega.

- Pański kolega?

- Detektyw prywatny nazwiskiem Willie Mackey.

- Co, jeśli ich znajdzie?

- Postąpi zależnie od sytuacji. Odbierze małego, jeśli to będzie możliwe.

- To niebezpieczne. Co będzie z moją córką?

- Pańska córka puściła się na niebezpieczne wody.

- Niech pan mi nie zasuwa głodnych kawałów. Chcę ją ratować.

- Więc niech pan ratuje.

Rzucił mi ponure spojrzenie. Nadbiegła kelnerka z kukurydźówką, próbując rozpaczliwymi uśmiechami rozproszyć zły nastrój szefa. Skuteczniej niż jej uśmiechy

podziałął alkohol. Zaróżowił mu policzki, roziskrzył wilgocią oczy. Nawet bokobrody zjeżyły mu się jak żywe.

- To nie moja wina - powiedział. - Dałem jej wszystko, co może się tylko zamarzyć w jej wieku. To wina tego małego Kilpatricka. Znalazł niewinną dziewczynę i sprowadził na złą drogę.

- Ktoś ją sprowadził.

- Chce pan powiedzieć, że to nie on?

- Chcę powiedzieć, że nie on jeden. W zeszłym tygodniu była któregoś dnia w motelu Pod Gwiazdą. Zdaje się w czwartek.

- Przy szosie nadbrzeżnej? Susie by tam nie pojechała.

- Jednak ją widziano. Była w pokoju zbiegłego kryminalisty, niejakiego Alberta Sweetnera. Nic to panu nie mówi?

- Nic. Reszta pańskiej historyjki też nie. Po prostu w to nie wierzę. - Ale jego twarz już się przystosowała, jak twarz starego boksera, który bierze cięgi i wie, że na tym nie koniec. - Po co pan mi to mówi?

- Żeby pan przemyślał sprawę. Nie można nic zrobić nie znając faktów. Al Sweetner został w sobotę wieczór zamordowany.

- I pan oskarża Susan?

- Nie. Była według wszelkiego prawdopodobieństwa na morzu, kiedy to się stało. Chcę tylko, żeby pan sobie uświadomił, w co się wplątała.

- Wiem, to poważna historia. - Oparł splecione ręce na stole i patrzył znad nich jak człowiek wyglądający zza barykady. - Co robić, żeby ją z tego wyciągnąć? Odkąd uciekła, kręcę się w kółko, a ona jest coraz dalej i dalej.

Zamilkł na chwilę. Jego spojrzenie powędrowało za mnie i zrobiło się nieobecne, jakby odprowadzał wzrokiem córkę znikającą za horyzontem. Nie miałem nigdy dzieci, ale dawno przestałem zazdrościć ludziom, którzy mają.

- Nie domyśla się pan, przed czym ucieka? - zapytałem.

Potrząsnął głową.

- Zapewniliśmy jej wszystko. Myślałem, że jest szczęśliwa. Ale coś się stało. Nie wiem, co.

Pokręcił tępo głową, jakby daremnie macał po ciemku w poszukiwaniu córki. Ogarnęło mnie uczucie beznadziejności, kto wie, czy niepodobne do jego. Odsunąłem krzesło, wstałem.

- Dziękuję za poczęstunek.

Crandall podniósł się również i stał tak, niższy, masywniejszy, starszy, smutniejszy i bogatszy ode mnie.

- Dokąd pan się wybiera?

- Do Sausalito.

- Niech pan nas zabierze. Mamuszkę i mnie.

- Mamuszkę?

- No, moją żonę.

Należał do mężczyzn, którzy rzadko nazywają żony po imieniu.

- Nie wiedziałem, że z panem przyjechała.

- Poszła się poczesać na górę. Ale możemy być gotowi za parę minut. Pokryję wszystkie koszty. W ogóle - dorzucił - postawmy sprawę jasno. Gotów jestem opłacić pańskie usługi.

- Mam już jedną klientkę. Ale chętnie porozmawiałbym z pańską żoną.

- Czemu nie?

Zostawiłem na stoliku dolara napiwku. Crandall wziął banknot, zwinął go starannie w rulonik i wspiąwszy się na palce wsunął mi do kieszonki marynarki.

- Pańskie pieniądze są bez wartości w moim lokalu.

- To dla kelnerki.

Rozwinąłem banknot i położyłem go z powrotem na stoliku. Crandall był bliski wybuchu, ale uznał za stosowne się opanować. Chciał, żebym go zabrał wraz z mamuszką.

ROZDZIAŁ XXV

Wyszliśmy razem do hallu i Crandall poszedł na górę uprzedzić żonę, a ja pozostałem na dole. Za kontuarem recepcji Joy Rawlins pakowała swoje rzeczy do walizeczki z dermy. Miała martwy wzrok i szarą twarz, jakby za chwilę miała zemdleć z upływu krwi.

- Wywalił mnie - powiedziała bezbarwnym głosem. - Dał mi piętnaście minut na wyniesienie się. Po przeszło piętnastu latach pracy. Przecież to ja zbudowałam ten motel.

- Na pewno to odwoła.

- Nie zna pan Lesa. Pieniądze uderzyły mu do głowy. Uważa się za pana życia i śmierci. Pogłębia się to w nim z każdym rokiem. Poszczęściło mu się, bo odziedziczył po ojcu ranczo między polami naftowymi a bazą lotniczą, a wydaje mu się, że doszedł do wszystkiego własną pracą. Uważa, że wolno mu niszczyć ludzi, o tak! - Zrobiła kantem dłoni siekący gest. Ręka jej drżała. - Ja potrzebuję tej pracy. Mam syna w szkole.

- Podał powód zwolnienia?

- Żadnego. Ale oboje wiemy, o co chodzi. Powinnam była związać Susie jak barana. Znalazł sobie ofiarę, bo nie ma odwagi spojrzeć prawdzie w oczy, uznać winy własnej i żony. Tak jakbym to ja ją wychowywała. Mogłabym panu opowiedzieć o mamusce takie rzeczy...

Twarz jej zastygła w wyrazie zdumienia. Usłyszawszy własne słowa zamilkła. Spróbowałem rozwiązać jej język.

- Z jakiego środowiska pochodzi pani Crandall?

- Nic nadzwyczajnego. Jej ojciec był drobnym przedsiębiorcą budowlanym, robił ścianki działowe. Obijali się po całej Kalifornii, jak była mała. Wyszła za Lestera jako zupełna smarkula. Wziął ją prosto ze szkoły, sam będąc już dobrze dojrzałym mężczyzną.

- Zauważyłem różnicę wieku. Dziwiłem się, że za niego wyszła.

- Musiała.

- Była w ciąży, tak? Zdarza się.

- Tylko że nie koniec na tym. Nie, proszę pana. Prowadzała się z bandą rozwydrzonych chłopaków z Santa Teresa, ukradli Lesowi samochód. Trafiłaby do więzienia, gdyby chciał skarżyć. Jeden z jej koleżków trafił.

- Albert Sweetner? Twarz jej się wydłużyła.

- Robi pan ze mnie balona. Wie pan wszystko.

- Nie wszystko. Ale natknąłem się wczoraj na Sweetnera. Skąd pani go zna?

- Nie znam. Ale był tu w zeszłym tygodniu, a ja mam pamięć do twarzy. Zapamiętałam go od poprzedniego razu. Pytał, jak ją znaleźć.

- Panią Crandall?

- Oboje Crandallów.

- Powiedziała mu pani?

- Nie, ale ich adres nie jest tajemnicą. Jest w książce telefonicznej Los Angeles. Nawiasem mówiąc, tego mu też nie powiedziałam - dorzuciła cnotliwie.

- Wspomniała pani o poprzednim razie. Jej wzrok pobiegł w dal.

- To było dawno. Jako młody chłopak przyjechał autostopem do motelu. Sama byłam jeszcze wtedy młoda.

- Jak dawno to mogło być?

- Zastanówmy się. Zaczęłam niedługo przedtem pracować. Susan miała może trzy latka. To musiało być dobre piętnaście lat temu. - Skrzywiła się. - Powinnam była nie wytykać przez tydzień nosa z domu. Ile razy ten typ się zjawi, ściąga na ludzi nieszczęście.

- Tamtym razem też ściągnął?

- Ściągnął. Nie wiem dokładnie, w jaki sposób. Chciał mówić z Lesem. Przypuszczam, że próbował go naciągnąć na pożyczkę. W każdym razie po jego wyjeździe zrobiła się sodoma i gomora. Les urządził żonie takie piekło, że ściany się trzęsły.

- O co?

- Nie wiem, słyszałam tylko wrzaski. Musi pan ich zapytać. Niech pan się tylko nie powołuje na mnie. Będę potrzebowała od Lesa referencji.

Ze szczytu schodów rozległo się wołanie Crandalla. Szedłem na górę z dreszczykiem emocji. Ciekaw byłem ponownego spotkania z panią Crandall po tym, czego się o niej dowiedziałem.

Apartament właściciela był urządzony z tanim luksusem. Marta Nickerson Crandall siedziała w głębokim, wyściełanym fotelu, z nogą założoną na nogę. Na twarzy miała grubą warstwę świeżego makijażu. I tym razem uderzyło mnie piękno i gracia jej ciała. Bez względu na to, jaką obrała pozycję, jej postać, jak światło czy ogień, zdawała się centralnym punktem pokoju. Tylko oczy miała zimne, napięte. Patrzyły na mnie zza maski makijażu, jakby spędziła złą noc, za którą ja byłem odpowiedzialny. Nie cofnęła podanej ręki, dopóki nie skończyła; mówić.

- Musi nam pan pomóc odzyskać Susie. Już trzy dni jej nie ma. Nie zniosę tego dłużej.

- Robię, co mogę.

- Lester mówi, że jest w drodze do Sausalito. Czy to; prawda?

- Wszystko na to wskazuje. Przyjąłem to jako hipotezę roboczą. Niewykluczone, że mogłaby mi pani pomóc.

- W jaki sposób? - Pochyliła się ku mnie skwapliwym gestem, ale jej oczy nie zmieniły wyrazu. Robiły wrażenie wypalonych, jakby jej życie odgrywało się po raz wtóry. - Zrobię wszystko, jak Boga kocham.

Jej głos zabrzmiał wulgarną nutką, jakby ze świata jej młodości.

- Czy zna pani Ellen Kilpatrick?

Jej wzrok odbił się od męża, powrócił w moją stronę.

- Jak pan na to wpadł? Miałam do niej dzwonić.

- Po co?

- Mieszka w Sausalito.

- Pod jakim nazwiskiem?

- Ellen Strome. Jest malarką, to jej pseudonim.

- Udaje wielką artystkę - wtrącił się Crandall. - Ale to naciągaczka. Nie umie nawet rysować.

Głos miał zdławiony, twarz mu poczerwieniała. Nie wiedziałem, czy ma konkretny powód do gniewu na Ellen, czy wyładowuje na niej nagromadzoną złość.

- Widział pan jej obrazy? - spytałem.

- Wystarczył mi jeden. Napisała do nas w lecie, zaproponowała kupno obrazu. Posłałem jej czek, a ona przysłała w zamian obraz.

- Jest tutaj?

- Wyrzuciłem go w diabły. To był kicz, pretekst do wyłudzenia pieniędzy.

- Wcale nie - zaprotestowała żona. - Pisała, że daje nam pierwszeństwo.

- Nikt się o nie nie bił. Zwróciłem się do kobiety.

- Widziała pani ostatnio Ellen? Zerknęła niepewnie na męża.

- Była moją wychowawczynią w szkole. Prawda, Les?

Nie odpowiedział, pochłonięty własnymi ponurymi myślami.

- I jest matką Jerry'ego Kilpatricka - uzupełniłem. - Wiedziała pani o tym?

- Nie. - Zerknęła ponownie na męża. Po chwili kłopotliwego milczenia dorzuciła: - To znaczy, dopóki nie skojarzyłam sobie faktów.

Crandall wsunął się między nią a mnie. Stał nad żoną jak prokurator.

- To ty sprowadziłaś tego szczeniaka do domu.

- Jeżeli nawet, to co? Zwykła grzeczność.

- Ładna mi grzeczność. Nie widzisz, jakiego piwa nawarzyłaś? Kto cię prosił? Ona?

- Nie twoja sprawa. Nie stercz mi nad głową. Zaabsorbowani małżeńskim ping-pongiem, przestali na mnie zwracać uwagę. Po części dla przypomnienia się po części dla wyjaśnienia sprawy spytałem:

- Czy Albert Sweetner był także w klasie pani Kilpatrick?

Zastygła w bezruchu. Jej mąż także zamarł, z lekko błędnym wzrokiem, jakby ogłuszony ciosem z przeszłości.

- To była liczna klasa - powiedziała kobieta. - O kogo pan pytał?

- O Alberta Sweetnera.

Przełożyła nogi. Błysnęły sprężyste jak para eleganckich miękkich nożyc. Potem podniosła wzrok na męża.

- Nie patrz na mnie. Nie mogę zebrać myśli, jak tak na mnie patrzysz.

- Nie patrzę.

Ale nie mógł od niej oderwać wzroku.

- Zejdź do baru na jednego - powiedziała. - Zapominam języka, jak tak na mnie patrzysz.

Wyciągnął dłoń i nie dotykając jej obrysował w powietrzu kształt jej głowy.

- Nie bierz sobie tego do serca, mamusku. Musimy się trzymać razem. My dwoje przeciwko reszcie świata.

- Już dobrze. Pozwól mi zebrać myśli. Idź się napić. Wyszedł powoli. Oczekałem, aż rozległ się szczeł zatrasku, potem jego ociągające się kroki na schodach.

- Do czego pan zmierza? - zapytała. - Chce pan rozbić moje małżeństwo?

- Zdaje się, że jest już solidnie nadkruszone.

- Nieprawda. Zawsze byłam dobrą żoną, Lester to docenia. Robiłam wszystko, żeby mu wynagrodzić krzywdy.

- Myśli pani o kradzieży samochodu?

- To było prawie dwadzieścia lat temu. Wstydziliby się pan wyciągać takie rzeczy. W dodatku wykluwa mi pan oczy Albertem Sweetnerem.

- Pytałem o niego już wczoraj, nie pamięta pani? Wołała się pani nie przyznawać do znajomości z nim.

- Wymienił pan tylko imię. Ja go nie widziałam od czasów szkolnych.

- Na pewno, proszę pani? Był tu w motelu piętnaście lat temu.

- Tu się przewija mnóstwo ludzi.

- W tym tygodniu zabrał pani córkę do innego motelu.

Odepchnęła tę wiadomość obronnym gestem obu rąk.

- Susan by nigdzie nie pojechała z takim typem.

- Zrobiła to. Poderwała się podekscytowana.

- Co on knuje? Mści się na mnie za wydanie go?

- Wydała go pani?

- Byłam w przymusowej sytuacji. Miałam do wyboru albo to, albo sprawę w sądzie dla nieletnich. To było przed przyjściem Susie na świat.

- Al nie jest z tych, co zapominają.

- Tak, on mi tego nie zapomni. Piętnaście lat temu przyszedł tu rozbić moje małżeństwo. Przyszedł, ledwo go zwolnili z domu poprawczego.

- W jaki sposób chciał rozbić pani małżeństwo?

- Naopowiadał mojemu mężowi stek kłamstw. Nie chcę powtarzać, co o mnie wygadywał. Nie wiem, dlaczego panu to w ogóle mówię.

- Al Sweetner został wczoraj zamordowany. Zmierzyła mnie w milczeniu. W oczach miała strach, ale jej ciało nie straciło nic z kociej gracji.

- Rozumiem. Pan myśli, że ja go zabiłam.

Nie potwierdziłem ani nie zaprzeczyłem. W jej oczach pojawił się chłodniejszy błysk.

- Susan? Pan myśli, że to Susan?

- Nie podejrzewam jej o to. Nie mam podstaw do podejrzewania nikogo.

- Więc czemu mi pan wykluwa tym oczy?

- Uważałem, że powinna pani wiedzieć.

- Dziękuję - powiedziała z goryczą. - Czego Al chciał od mojej córki?

- Sądzę, że była mu potrzebna przede wszystkim jako źródło informacji. Al był poszukiwany. Przyjechał tu zdobyć pieniądze na wyjazd do Meksyku.

- Przyjechał skąd?

- Z Sacramento. Przypuszczam, że po drodze zawadził o Sausalito.

Stała w postawie nasłuchującej, jakby usłyszała głos zza grobu.

- To Ellen go napuściła?

- Nie wiem, co zrobiła Ellen. Ale jestem prawie pewien, że do niej wstąpił po drodze. Chciał zainkasować nagrodę wyznaczoną przez Stanleya Broadhursta za wskazanie miejsca pobytu jej i jego ojca.

- Jaką nagrodę?

- Tysiąc dolarów gotówką. Pewnie liczył na więcej. - Wyciągnąłem ogłoszenie, coraz bardziej sfatygowane. - To Ellen, prawda?

- Tak. Wyglądała tak, kiedy nas uczyła w Santa Teresa.

- Widziała ją pani od tamtej pory? Odpowiedziała nie od razu.

- Pojechałam ją odwiedzić w zeszłym miesiącu, po kupnie tego obrazu. Tylko niech pan nie wspomina o tym Lesowi, o niczym nie wie. Zostaliśmy w San Francisco na weekend, wymknęłam się i pojechałam na drugą stronę cieśniny do Sausalito. - Po chwili wahania dorzuciła: - Wzięłam z sobą Susie.

- Po co?

- Nie wiem. Myślałam, że tak będzie dobrze. Ellen chciała się ze mną zobaczyć, zrobiła dla mnie tyle, kiedy byłam dorastającą dziewczyną. Gdyby nie ona, nie dożyłabym dwudziestu lat. Teraz zaczęłam dostrzegać te same objawy u Susan. Nigdy nie była szczęśliwym dzieckiem, ale ostatnio wydawała mi się doprowadzona do ostateczności. Rozumie pan?

Nie rozumiałem. Powiedziałem jej to. Po raz pierwszy przyznała, że coś było mocno nie w porządku w życiu Susan.

- Bała się ludzi, panicznie, tak jak ja, kiedy byłam dorastającą dziewczyną. Z kolei wszyscy stronili od niej, koledzy nie rozumieli, co ją gnębi. Ja jedna wiedziałam, tak mi się przynajmniej zdawało. Ale nie mogłam nic powiedzieć.

- A teraz pani może?

- Teraz to nie ma znaczenia. Wszystko i tak się wali. - Rozejrzała się po dusznym, przeładowanym pokoju, jakby dla sprawdzenia, czy ściany nie pękają od podziemnych wstrząsów. - Les nie jest ojcem Susie. Starał się zastąpić jej ojca, ale jakoś nie umiał do niej trafić. Zresztą ja też się czułam głupio, byłam tym zażenowana, rozumie pan? Doszło do tego, że siedzieliśmy we własnym domu jak trzy nabzdyczone kukły.

- Kto jest ojcem Susan?

- Nie pański interes. - Spojrzała mi w oczy, nawet bez zbytej złości. - Zresztą może sama dobrze nie” wiem. Wyprawiałam wtedy dziwne rzeczy, chociaż byłam młodsza od Susie.

- Fryc Snow jest jej ojcem?

W jej oczach pojawił się ostry błysk.

- Nie powiem nic więcej na ten temat, może się pan nie trudzić. Przerwał mi pan. Martwiłam się o Susan, jak powiedziałam, miałam nadzieję, że Ellen coś mi poradzi.

- I poradziła?

- Właściwie nie. Mówiła dużo, Susan to chłonęła, ale jej wywody nie trafiły mi do przekonania. Uważała, że powinniśmy wysłać Susan z domu, pozwolić, żeby się nią zajęli obcy ludzie. Albo puścić ją w świat, niech sobie radzi o własnych siłach. Nie można czegoś takiego zrobić, Młodzi potrzebują opieki w dzisiejszym świecie.

- Co o tym sądziła Susan?

- Chciała zostać u Ellen. Ale to nie byłoby dobre roZ-; wiązanie. Ellen zmieniła się bardzo od dawnych lat.

- Mieszka w niesamowitym starym domu w lesie jak pustelnica.

- Bez mężczyzn?

- Żadnych męskich śladów nie zauważyłam. Jeśli panu chodzi o Leo Broadhursta, to dawno go nie ma. Nie żyli z sobą długo. To był jeden z tych romansów, które trwają, dopóki pieprzyka dodaje im obecność żony.

Fakt, że tyle o tym wie, wprowadził ją w lekkie zakłopotanie.

- Dokąd wyjechał?

- Gdzieś za granicę, według Ellen.

- Znała go pani, nim wyjechał z Santa Teresa, prawda?

- Pracowałam w ich domu, jeśli to można nazwać znajomością.
- Co to był za człowiek?
- Jeden z tych mężczyzn, którzy nie przepuszczą żadnej kobiecie.

Powiedziała to jakby z rozdrażnieniem, więc zapytałem:

- Znaczy, że do pani też się zalecał?
- Próbował. Zdzieliłam go po ślicznej buzi. - Popatrzyła na mnie wyzywająco, jakby dla sprawdzenia, czy ja także nie spróbuję się do niej zalecać. - Trzymał od tej pory łapy przy sobie.

Wspomnienie wezbrało w niej falą gniewu, zaróżowiło jej policzki. Może była w tym i odrobina innej namiętności. Nie ulegało wątpliwości, że Marta Crandall jest bardziej skomplikowaną kobietą, niż mi się zdawało za pierwszym razem. Ale spieszyło mi się w dalszą drogę.

Zszedłszy na dół, złapałem jeszcze Williego Mackeya w domu. Poczekalem przy telefonie, aż znajdzie Ellen Storm w książce adresowej hrabstwa Marin. Mieszkała na Haven Road, na jednym z przedmieść Sausalito. Willie obiecał mieć wspólnie z Haroldem jej dom na oku do mego przyjazdu.

Wymknąłem się bez pożegnania z Crandallami. Nie chciałem mieć ich na karku przez cały czas jazdy, z owymi dwudziestoma latami życia wlokącymi się za; nimi.

ROZDZIAŁ XXVI

Nim dojechałem do San Francisco, zrobiło się ciemno. Musiał niedawno padać deszcz. Za Cieśniną Żłotej Bramy, od Farallonów, sunęła nad oceanem ławica chmur. Na moście owionął mi twarz wilgotny, zimny wiatr od morza.

U wlotu Haven Road żółta prostokątna tablica ostrzegała, że przejazdu nie ma. Zawróciłem, zaparkowałem auto i ruszyłem po ospowatym asfalcie. Rozproszone domy były niewidoczne z ulicy, ale między drzewami błyskały światła. Z ciemności rozległ się przyciszony głos:

- Lew?

Na poboczu drogi ukazał się Willie Mackey. Miał na sobie ciemny płaszcz od deszczu i jego wąsata twarz wydawała się pozbawiona tułowia, jak zjawa na seansie spirytystycznym. Wszedłem za nim pod ociekające drzewa i uściśnałem mu dłoń w rękawiczce.

- Nie pojawili się - oznajmił. - Jak dalece można polegać na twoich informacjach?

- W miarę. - Nadzieja, która mnie gnała na północ,; zamarła mi w piersi. - Ellen w domu?

- Tak. Ale prócz niej nikogo.

- Na pewno?

- Tak. Harold widzi ją przez okno.

- Co robi?

- Nic nadzwyczajnego. Kiedy go ostatnio pytałem, wyglądało, jakby czekała.

- Chyba pójdę z nią porozmawiać - powiedziałem. Willie ujął mnie za ramię i ścisnął tuż nad łokciem.

- Czy dobrze robisz, Lew?

- Może mieć od nich wiadomości. Jest matką starszego chłopca.

- Nie będę cię zatrzymywał.

Puścił moje ramię. Ruszyłem rozmytą zwirowaną alejką.

Dom ze swymi bliźniaczymi stożkowatymi wieżyczkami, sterczącymi w nocne niebo, wyglądał jak ze średniowiecznego romansu. Ale czar rozwiewał się w miarę zbliżania. W półkolistym mozaikowym okienku nad drzwiami brakowało części szybek, jak zębów w starczym uśmiechu. Pozapadane stopnie werandy stęknęły pod moim ciężarem. Drzwi otworzyły się same ze skrzypieniem, gdy zapukałem.

W oświetlonym hallu ukazała się Ellen. Jej oczy i usta nie zmieniły się zbyt od czasów, z których pochodziło zdjęcie, tak że zaskakiwała siwizna w jej włosach. Miała na sobie suknię z dżersejową górą o długich rękawach i długą szeroką spódnicą, na której widniały plamy we wszystkich trzech podstawowych kolorach. W jej ruchach była nieświadoma duma. Podeszła do drzwi z wyrazem skwapliwości, a zarazem obawy na twarzy.

- Kim pan jest?

- Nazywam się Lew Archer. Drzwi same się otworzyły.

- Trzeba naprawić zamek. - Poruszyła kilka razy klamką. - Pan jest detektywem, prawda?

- Ma pani dobre informacje.

- Dzwoniła Marta Crandall. Powiedziała, że pan ma odnaleźć jej córkę.

- Susan nie było?

- Dotąd nie. Ale Marta tak rozmawiała, jakby miała tu lada chwila przyjechać. - Spojrzała przez moje ramię w ciemność. - Podobno jest z nią mój syn.

- Zgadza się. Mają z sobą również wnuka Leo Broadhursta.

Wydawała się zaskoczona.

- Leon Broadhurst ma wnuka?

- Zostawił syna, nie pamięta pani? Ten miał z kolei syna. Nazywa się Ronnie i ma sześć lat. Jestem tu z jego powodu.

- Co oni robią z sześciolatkiem?

- Tego nie wiem. Chcę ich o to zapytać.

- Rozumiem. Może pan wejdzie. - Zrobiła szeroki gest, aż pierś jej się uniosła. Była w tym jakaś niezgrabna gracia. - Poczekamy razem.

- Te miło z pani strony, pani Kilpatrick.

Nie przypadło jej to do gustu, jakbym tym nazwiskiem chciał jej wypomnieć przeszłość.

- Jeśli już, proszę mnie nazywać panną Strome - powiedziała. - Początkowo to był mój pseudonim artystyczny, ale już od lat nie używam innego nazwiska.

- Słyszę, że jest pani malarką.

- Niezbyt dobrą. Ale pracuję nad sobą. Wprowadziła mnie do przestronnego, wysoko sklepionego pokoju o ścianach zawieszonych obrazami, w większości nieoprawnymi. Barwne zwoje i plamy na nich sprawiały wrażenie nie wykończonych, może w ogóle niewykańczalnych. Okna były niewidoczne za ciężkimi zasłonami, z wyjątkiem trójdzielnego okna w wykuszu. Przez gałęzie drzew na opadającym w dali zboczu migotały światła Sausalito.

- Piękny widok - powiedziałem. - Ale czy nie miałyby pani nic przeciwko temu, gdybym zasłonił okno?

- Będę panu wdzięczna. Sądzi pan, że mnie obserwują z dworu?

Popatrzyłem na nią i stwierdziłem, że mówi serio.

- Kto panią obserwuje?

- No, Jerry, Susan i ten mały.

- Niezbyt prawdopodobne.

- Tak, wiem. Ale cały wieczór mam uczucie, że ktoś mnie obserwuje. Niestety, zasłonięcie okien niewiele pomoże. To, co tam jest, ma oczy jak rentgen. Obojętne, czy pan to nazwie Bogiem, czy diablem.

Odwróciłem się od okna i zajrzałem jej ponownie w twarz, nie nawykłą do natarczywości ludzkich oczu, naga.

- Nie poprosiłam nawet, żeby pan usiadł. Wskazała ciężkie stare krzesło z wysokim, prostym oparciem.

- Wolałbym usiąść gdzieś, gdzie nie będziemy tak na widoku.
- Prawdę mówiąc, ja też.

Zaprowadziła mnie przez hall do rodzaju kantorka pod schodami, który swoją ciasnotą mógł przyprawić o klaustrofobię. Pochyły sufit był tylko w najwyższym końcu na tyle wysoki, że nie musiałem schylać głowy. Do ściany przypięty był pineskami plakat z tekstem "Czterech przemian" Gary'ego Snydera. Kontrastował z nim stary sztych statku wielorybniczego, miotanego przez gigantyczne fale na tle czarnego przylądka Horn najeżonego skałami. W rogu stał staroświecki żelazny sejf z napisem na drzwiczkach: „William Strome i ska. Tartak i handel drzewem”.

Moja towarzyszka przysiadła na biurku koło telefonu, pozostawiając mi chwiejny fotel obrotowy. Z tej odległości czułem zapach jej ciała. Był przyjemny, choć nieco martwy, jak zapach węgla drzewnego czy suchych liści. Nurtowała mnie niejasna ciekawość, czy trawi ją jeszcze namiętność, która kazała jej się niegdyś wspinać z Leo Broadhurstem do domku w górze kanionu. Dostrzegła w moich oczach pytanie, lecz odczytała je mylnie. Chociaż nie tak znowu mylnie.

- Nie jestem aż taka zwariowana, jak pan myśli. Miałam raz czy dwa doznania mistyczne i wiem, że każda noc jest pierwszą nocą wieczności.

- A co z dniami?
- Robię najlepsze rzeczy w nocy - odparła krótko.
- Słyszałem.

Obruszyła się. Orientowała się w lot.

- Marta panu naopowiadała.
- Wyrażała się o pani w superlatywach. Mówiła, że pani jej ocaliła życie jako młodej dziewczynie.

Zrobiło jej to przyjemność, ale nie odwiodło od tematu.

- Wie pan o moim romansie z Leo Broadhurstem. Inaczej nie wyciągałby pan jego nazwiska.

- Chciałem tylko wyjaśnić, kim jest mały.
- Widocznie robię się paranoiczką.
- Może trochę. To skutki życia w samotności.
- Skąd pan wie, doktorze?
- Nie jestem doktorem, tylko pacjentem. Sam żyję w samotności.
- Z wyboru?
- Nie swojego. Zona nie mogła ze mną wytrzymać. Już się z tym pogodziłem.

- Ja też. Polubiłam samotność - powiedziała bez przekonania. - Czasami maluję po całych nocach. Moje malarstwo nie wymaga światła dziennego. Nie maluję rzeczy, które odbijają światło. Maluję stany duchowe.

Stały mi przed oczami obrazy na ścianach pokoju. Przypominały raczej ciężkie kontuzje i otwarte rany.

- Czy Marta nie mówiła pani, że Jerry miał wypadek? Złamał, zdaje się, rękę.

Ból ściał jej wyrazistą twarz..

- Gdzie on może być?

- W drodze. Chyba że znalazł sobie lepsze schronienie.

- Przed czym on właściwie ucieka?

- Powinna pani wiedzieć lepiej ode mnie. Potrząsnęła głową.

- Nie widziałam go piętnaście lat.

- Czemu?

Zrobiła dłońmi gest zdający się mówić, że wiem o niej wszystko. Był to gest kobiety, która spędza więcej czasu na rozmyślaniu i fantazjowaniu niż na rozmowach i działaniu.

- Mój mąż... mój były mąż nigdy mi nie przebaczył Leona.

- Intryguje mnie, co się mogło stać z Leonem.

- Mnie też. Pojechałam po rozwód do Reno, miał tam do mnie przyjechać. Ale się nie pokazał. Wystawił mnie cynicznie do wiatru. - Jej ton, choć nie pozbawiony goryczy, był lekki, jakby jej gniew się dawno wypalił. - Nie widziałam go od wyjazdu z Santa Teresa.

- Dokąd pojechał?

- Skąd mogę wiedzieć. Nie miałam od niego żadnej wiadomości.

- Podobno wyjechał za granicę.

- Skąd pan wie?

- Od Marty. Twierdzi, że pani jej powiedziała. Zbiło ją to lekko z tropu.

- Może coś takiego powiedziałam. Leo często obiecywał zabrać mnie na Tahiti albo na Hawaje.

- Chyba nie skończyło się na obietnicach. O ile wiem, zarezerwował dwa miejsca na angielskim frachtowcu płynącym przez Vancouver do Honolulu. Statek nazywał się „Swansea Castle” i wyszedł z San Francisco około 6 czerwca 1955 roku.

- I Leo nim odpłynął?

- W każdym razie wykupił bilety. Pani z nim nie było?

- Nie. W tym czasie byłam już co najmniej tydzień w Reno. Widać wyjechał z inną kobietą.

- Albo sam - powiedziałem.

- O, nie. Leo nie znosił samotności. Musiał mieć kogoś przy sobie, żeby czuć, że żyje. To właśnie jeden z powodów, dla których tu wróciłam, kiedy mnie rzucił. Chciałam dowieść sobie, że potrafię żyć sama, że go nie potrzebuję. Urodziłam się w tym domu - ciągnęła, jakby czekała piętnaście lat na słuchacza. - To był dom mego dziadka. Wychowywałam się tu u babci po śmierci mamusi. To przeżycie taki powrót do domu dzieciństwa. Intrygujące i przerażające zarazem. Czułam się, jakbym była jednocześnie bardzo młoda i bardzo stara. Jak duch nawiedzający ten dom.

Na to właśnie wyglądała - pomyślałam - w tej staromodnej długiej sukni. Zarazem młoda i stara, wnuczka i babka w jednej osobie, nieco schizofreniczna. Zrobiła nerwowy, samokrytyczny gest.

- Ja tu pana nudzę.

- Bynajmniej. Interesuje mnie Leo. Niewiele o nim wiem.

- Prawdę mówiąc, ja też. Przez parę lat zasypiałam - z myślą o nim i budziłam się z nadzieją, że go zobaczę tego dnia. Aż uświadomiłam sobie, że go właściwie nie znam. U niego wszystko było czysto naskórkowe, rozumie pan?

- Nie bardzo.

- No, wie pan. Chcę powiedzieć, że nie miał życia wewnętrznego. Był aktywny, to wszystko. Wyrażał się cały w działaniu.

- Jakim działaniu?

- Podczas wojny brał udział w dziewięciu czy dziesięciu desantach na Pacyfiku. Po wojnie uczestniczył w regatach, w zawodach tenisowych, grał w polo.

- Nie pozostawiało mu to zbyt wiele czasu na kobiety.

- Jemu nie potrzeba było wiele czasu - odparła z cierpką ironią. - Mężczyznom bez wnętrza z reguły nie potrzeba. Wiem, to zakrawa na oszczerstwo, ale w gruncie rzeczy nie jest. Kochałam Leona, może go jeszcze Kocham. Nie wiem, jakbym zareagowała, gdyby stanął w progu.

Popatrzyła na drzwi.

- Czy to prawdopodobne? Potrząsnęła głową.

- Nie wiem nawet, czy żyje.

- Ma pani powody do przypuszczania, że nie żyje?

- Nie. Ale często mówiłam sobie, że nie żyje, żeby to łatwiej znieść. Nie raczył nawet zadzwonić do Reno.

- To był dla pani cios?

- Przeplakałam całą zimę. Ale zaszyłam się tutaj i jakoś to przetrwałam. Teraz wszystko w moim życiu rozgrywa się na płótnie.

:- Nie czuje się pani nigdy samotna?

Rzuciła mi twarde spojrzenie, jakby dla sprawdzenia, czy przypadkiem nie chcę się do niej wmeldować. Stwierdziła widocznie, że nie, bo powiedziała:

- Zawsze się czuję samotna. Tak przynajmniej było, dopóki nie nauczyłam się żyć w samotności. Wie pan, co chcę powiedzieć, też pan jest sam. To wieczne upokarzające rozczulanie się nad sobą, kiedy człowiek może o wszystko winić tylko siebie.

- Znam to - powiedziałem, żeby móc powrócić do sprawy jej małżeństwa, które wydawało mi się sednem problemu. - Dlaczego pani opuściła męża?

- Między nami wszystko było skończone.

- Nie brakowało pani męża ani syna? - Briana nie. Zachował się wobec mnie brutalnie, tego się nie przebacza. Groził, że mnie zabije, jeśli spróbuję zabrać Jerry'ego czy choćby się z nim widywać. Oczywiście tęskniłam za małym, ale nauczyłam się obchodzić bez niego. Teraz nie potrzebuję już literalnie nikogo.

- A przerośnię?

Zareagowała uśmiechem głębokim i wymownym, jakby jej twarz odbijała zmienny światłocień myśli.

- Przerośnię to co innego. Oczywiście czułam się, jakbym zdezerterowała. Najbardziej dokuczała mi tęsknota za dziećmi. Nie tylko za Jerrym, za wszystkimi, które uczyłam. Ciągle miałam przed oczami ich twarze, w uszach ich głosy.

- Na przykład Marty Crandall?

- Tak, była jednym z moich dzieci.

- Razem z Albertem Sweetnerem i Frycem Snowem. Popatrzyła na mnie z zawodem.

- Wywiedział się pan o mnie wszystkiego. Nie jestem taka ważna, może mi pan wierzyć.

- Może nie. Ale na tych troje natykam się raz po raz. Poznali się w pani klasie?

- Niestety.

- Dlaczego nie?

- Bo we trójkę tworzyli wybuchową mieszankę. Zapewne słyszał pan o ich sławnej eskapadzie do Los Angeles.

- Tak. Mam tylko wątpliwości, kto był prowodyrem. Albert?

- Tak wszyscy uważali. On jeden był notowany. Ale moim zdaniem to był pomysł Marty. I właśnie ona wyszła ze wszystkiego obronną ręką - dodała z namysłem. - Jeśli można to powiedzieć o przymusowym małżeństwie ze starszym mężczyzną.

- Kto był ojcem jej dziecka? Albert Sweetner?

- O to musi pan zapytać Martę. - Zmieniła temat. - Czy Albert naprawdę nie żyje? Marta wspomniała coś przez telefon.

- Został wczoraj zasztyletowany. Niech pani nie pyta, kto go zabił, bo nie wiem.

Spojrzała smętnie w dół, jakby zasztyletowany leżał u jej stóp.

- Biedny Albert. Niewiele miał z życia. Prawie cały wiek męski przesiedział w więzieniu.

- Skąd pani wie?

- Staralam się nie tracić go z oczu. Prawdę mówiąc - dodała po chwili wahania - był tu w zeszłym tygodniu.

- Wiedziała pani, że uciekł z więzienia?

- Jeśli nawet?

- Nie wydała go pani.

- Nie jestem zbyt praworządną obywatelką - odparła z odcieniem ironii. - To był jego trzeci wyrok, miał spędzić prawie całą resztę życia w więzieniu.

- Za co siedział?

- Za napad z bronią.

- Nie obleciał pani strach na jego widok?

- Nigdy go się nie bałam. Byłam zaskoczona, ale nie wystraszona.

- Czego chciał? Pieniędzy? Skinęła głową.

- Nie mogłam mu dać dużo. Od dłuższego czasu nie sprzedawałam żadnego obrazu.

- Dała mu pani coś poza tym?

- Trochę chleba i sera.

Miałem ciągle przy sobie książkę w zielonej oprawie. Wyjąłem ją.

- Wygląda na moją dawną książkę - powiedziała.

- Jest nią.

Pokazałem jej ekslibris.

- Skąd pan ją ma? Nie od Ala Sweetnera.

- Nie, pośrednio od pani syna.

- Zachował ją?

Zdawała się złakniona każdego okrucha przeszłości, której się wyrzekła.

- Widocznie. - Pokazałem jej ołówkowy gryzmoł na pierwszej stronie. - Ale chciałbym, żeby pani zobaczyła to, co jest w środku. - Otworzyłem książkę i wyjąłem ogłoszenie. - Czy pani to dała Alowi Sweetnerowi?

Wzięła wycinek, obejrzała go.

- Tak, ja.

- Po co?

- Chciałam, żeby dostał trochę pieniędzy.

- To był dość podejrzany akt miłosierdzia. Trudno mi uwierzyć, żeby pani motywy były całkowicie altruistyczne.

Obruszyła się, ale nie za bardzo, jakby to wszystko niewarte było prawdziwego gniewu.

- Co pan może wiedzieć o moich motywach?

- Tyle, ile mi pani powie. Milczała przez minutę czy dwie.

- Pewnie była w tym ciekawość. Przechowywałam ten wycinek przez całe lata, nie mogłam się zdecydować, co zrobić. Nie wiedziałam, kto dał ogłoszenie. No i nie wiem, co się stało z Leonem. Myślałam, że może Albert się dowie.

- Posłała go pani do Santa Teresa. To było brzemienne posunięcie.

- Dlaczego brzemienne?

- Albert nie żyje. Stanley Broadhurst także. Opowiedziałem jej garść szczegółów.

- Więc to Stanley dał ogłoszenie do „Chronicie” - powiedziała. - Skontaktowałam się z nim, gdybym wiedziała. Myślałam, że to Elizabeth.

- Dlaczego?

- Pamiętam, kiedy to zdjęcie zostało zrobione. - Wyglądziła je na kolanie, jak przypadkiem znalezione piórko. - Zrobiła je Elizabeth, nim się dowiedziała, że jesteśmy z Leonem kochankami. Tyle rzeczy mi przypomina. Wszystko, co miałam i utraciłam.

Jej oczy napęły się łzami. Moje pozostały suche. Myślałem o wszystkim, co utraciła Elizabeth Broadhurst.

ROZDZIAŁ XXVII

Żwir podjazdu zachrzącał pod kołami ciężkiego samochodu. Ellen uniosła głowę. Ruszyłem do drzwi wejściowych, ona tuż za mną. Na werandzie czekała Marta Crandall. Twarz jej się wydłużyła na mój widok.

- Nie przyjechali?

- Nigdy nie przyjadą, jeśli pani będzie stała tak na widoku. Dom jest obstawiony.

Ellen zmierzyła mnie z błyskiem w oczach. Poprosiłem, żeby weszła z Martą do środka, a sam zbiegiem po schodkach do nowiutkiego brązowego Sedanu de Ville. Lester Crandall nie ruszył się z za kierownicy.

- Mówiłem mamusce, że to strata czasu i energii. Ale uparła się jechać. - Zlustrował chłodnym wzrokiem front domu. - Więc tutaj mieszka sławetna Ellen? Dom się na dobrą sprawę rozpada...

- Niech pan lepiej pomyśli o odstawieniu auta - przerwałem. - Albo niech pan się posunie, ja to zrobię.

- Niech pan zrobi. Jestem zupełnie wypompowany.

Wysunął swoje ciężkie ciało z za kierownicy umożliwiając mi zaparkowanie auta za domem. Elementy sprawy zaczynały się powoli zazębiać, osaczając mnie i wprawiając w podniecenie. Jeśli słyszałem odgłosy drugiego auta, to tylko podświadomie. Dopiero wyszedłszy z Crandallem z za domu, dostrzegłem na krańcu zwirowanego podjazdu sylwetkę ludzką - mającą w ciemności brodatą głowę nad jaśniejszym trójkątem, który wyglądał na sygnał ostrzegawczy. W tym momencie podjazd zalały światła reflektorów wydobywając z mroku Jerry'ego Kilpatricka z ręką na temblaku. Poznał widać Crandalla i mnie, bo odwrócił się ku bliskim już reflektorom z okrzykiem:

- Susie! Pryskaj!

Chevrolet zahamował, zakołysał się i ruszył z rosnącym szumem w tył. Jerry rozejrzał się niepewnie i kulejąc uskoczył z podjazdu w bok, prosto w ramiona Williego Mackeya i jego barczystego pomocnika. Nim do nich dobiegłem, samochód zawrócił na asfalcie Haven Road. Omiótł pnie drzew reflektorami jak długimi pociągnięciami pędzla i pomknął w kierunku San Francisco.

- Zaalarmuję most! - zawołał Willie. Dopadłem swego wozu i pogoniłem za uciekinierami.

Przy wjeździe na most utworzył się już na wszystkich pasmach korek. Na przedzie stał Chevrolet, pusty. Susie, ciągnąc małego za rękę, biegła po moście ku wieży. W pewnej odległości za nimi kłusował ciężki mężczyzna w mundurze policjanta drogowego.

Puściłem się za nimi, jak mogłem najszybciej. Susie obejrzała się raz. Puściła Ronniego, podbiegła do bariery i zniknęła za nią. Przez paraliżującą sekundę myślałem, że zrobiła nieodwracalny krok. Potem zobaczyłem powiewające nad barierą jasne dziewczęce włosy.

Policjant zatrzymał się w pewnej odległości. Malec stanął niezdecydowany za nim. Obrócił się, gdy podszedłem. Wyglądał jak ulicznik z umorusaną buzią, w za dużych spodenkach i swetrze. Posłał mi zakłopotany uśmiech, jakbym go przyłapał na czymś karygodnym w rodzaju wagarowania.

- Cześć, Ronnie.

- Cześć. Pan patrzy, co Susie robi.

Trzymała się oburącz bariery, wychylona w szarą noc. Za nią, w poprzek ławicy chmur, zamigotała błyskawica obmacując ciemność jak płomień ścianę domu. Ująłem chłopca mocno za rękę i ruszyłem ku barierze. Dziewczyna patrzyła na mnie bez błysku poznania ani zainteresowania w oczach, jak na kogoś należącego do innej rasy - ludzi po dwudziestce.

- Pan ją zna? - zwrócił się do mnie policjant.

- Wiem, kim jest. Nazywa się Susan Crandall.

- Słyszę, co mówicie - odezwała się. - Przestańcie, bo skoczę.

Policjant cofnął się o krok.

- Niech pan mu się każe cofnąć dalej - powiedziała do mnie.

Zrobiłem to i policjant usłuchał. Patrzyła na nas teraz z większym zainteresowaniem, - jak na aktorów posłusznych jej woli. Twarz miała jakby zastygłą, tylko szeroko otwartymi oczami omiatała scenę.

- Co pan zrobi z Ronniem? - zapytała martwym głosem.

- Odwiozę go do matki.

- Jaką mam gwarancję, że pan to zrobi?

- Zapytaj Ronniego. Zna mnie. Chłopiec podniósł głosik:

- On mi pozwolił karmić ptaki.

- Więc to pan - powiedziała. - Opowiada o tym cały dzień.

Posłała mu błądy, protekcyjny uśmiech osoby, która dawno wyrosła z podobnej dzieciadyny. Ale ze swymi białymi palcami, zaciśniętymi na barierze, z powiewającymi włosami wyglądała jak półdziecko, półptak przycupnięty nad brzegiem przepaści.

- Co by pan zrobił, gdybym wróciła?

- Nic.

- Zastrzełiłby mnie pan czy wsadził do kryminału? - ciągnęła, jakbym nie odpowiedział.

- Ani jedno, ani drugie.

- Co by pan zrobił? - powtórzyła.

- Zabrałbym cię w bezpieczniejsze miejsce. Potrząsnęła poważnie głową.
- Nie ma bezpiecznego miejsca na świecie.
- Powiedziałem, w bezpieczniejsze miejsce.
- I co by pan ze mną zrobił?
- Nic.
- Parszywy, śmierdzący łgarz!

Przechyliła głowę spoglądając przez ramię w dół, w otchłań mojego zakłamania i swojego gniewu.

Od strony San Francisco ukazała się na moście ciężarówka do holowania aut, wioząca lotny patrol. Zrobiłem obiema rękami powstrzymujący gest, powtórzony przez policjanta. Ciężarówka zwolniła i stanęła.

- Wracaj, Susie - powiedziałem.
- Tak, wracaj - poparł mnie Ronnie. - Bo spadniesz.
- Już spadłam - odparła gorzko. - Nie mam dokąd wracać.
- Odwiozę cię do matki.
- Nie chcę jej widzieć. Nie chcę więcej mieszkać z nimi.
- Powiedz im to - rzekłem. - Jesteś dorosła, możesz mieszkać z innymi ludźmi.

Staniem tam niczego nie osiągniesz.

- Kiedy mnie się tu podoba. - Zaraz jednak spytała: - Z jakimi ludźmi?
- Mało jest ludzi na świecie?
- Ale ja się boję.
- Boisz się po tym, co przeszłaś?

Pokiwała głową. Potem spojrzała ponownie w dół. Zamarłem pewien, że ją utraciłem. Ale zęgnęła się tylko z otchłanią. Przelazła z powrotem przez barierę, oparła się o nią oddychając szybko i lekko.

Chłopiec ruszył w jej stronę, pociągając mnie za rękę. Ujął jej dłoń i poszliśmy ku wjazdowi na most, gdzie Willie Mackey i jego pomocnik rozmawiali z miejscowymi policjantami. Widać Willie miał u nich względy, bo zadali nam tylko kilka pytań, spisali nasze nazwiska i puścili nas.

ROZDZIAŁ XXVIII

Willie zabrał Ronniego Chevroletem. Nie miałem ochoty się z nim rozstawać, ale musiałem porozmawiać z Susan, nim się zobaczy z rodzicami.

Siedziała koło mnie apatycznie, gdy wyprowadzałem swój samochód z zatoru. Policjant, który ją gonił pomocy, zatrzymał ruch od strony San Francisco. Ulżyło mu wyraźnie, kiedy odjechaliśmy.

- Dokąd pan mnie wiezie? - zapytała z nagłą trwogą.

- Do domu Ellen Strome. Chciałaś tam jechać.

- Tak, chyba chciałam. Są tam moi rodzice, prawda?

- Przyjechali tuż przed tobą.

- Niech pan im nie mówi, że chciałam skakać, dobrze?

- Tego nie uda się zachować w tajemnicy. Całej reszty też. - Zrobiłem pauzę, żeby to do niej dotarło. - Nie rozumiem, dlaczego tak uciekałaś?

- Zatrzymali mnie przy wjeździe na most. Nie chcieli mnie przepuścić. Zaczęli krzyczeć, zarzucać mnie pytaniami. Pan niech mnie też nie próbuje wypytywać - dokończyła resztką tchu. - Nie mam obowiązku odpowiadać.

- Prawda, nie masz. Ale jeśli ty mi nie powiesz, co się wydarzyło, kto mi powie?

- O czym pan mówi? O tym na moście?

- Nie, o tym wczoraj w kanionie, kiedy poszłaś na górę ze Stanleyem Broadhurstem i Ronniem. Po coś tam poszła?

- Pan Broadhurst prosił. Ten Sweetner opowiedział mu o mnie wszystko. Wszystko, co wygadywałam, kiedy mi się przekręciło w głowie.

- To znaczy, co?

- Nie chcę o tym mówić. Nie chcę nawet myśleć. Nie zmusi mnie pan.

W jej głosie zabrzmiała nutka hysterii. Zwolniłem biegu i obserwowałem ją kącikiem oka.

- W porządku. Po co pojechałaś w piątek z panem Broadhurstem do domu? Albert Sweetner cię wysłał?

- Nie, to był pomysł Jerry'ego. Uważał, że powinnam porozmawiać z panem Broadhurstem, więc poszłam. Potem w sobotę pojechaliśmy do kanionu.

- Po co?

- Sprawdzić, czy coś jest zakopane.

- Coś?

- Mały czerwony samochód. Jechaliśmy małym czerwonym samochodem.

Jej głos zmienił wysokość i barwę. Brzmiał teraz, jakby się cofnęła w rozwoju albo przerzuciła w inny wymiar.

- My to znaczy kto? - zapytałem.

- Mamusia ze mną. Ale ja nie chcę mówić, co się stało. To było bardzo dawno, kiedy mi się przekręciło w głowie.

- Mówiliśmy, co było wczoraj - przypomniałem. - Więc Stanley Broadhurst chciał odkopać samochód?

- Tak, mały czerwony sportowy samochód. Ale nie dokopał się tak głęboko.

- Co się stało?

- Nie wiem dobrze. Ronnie potrzebował do ubikacji, więc wzięłam klucz i poszłam z nim do domku. Po chwili usłyszałam krzyk pana Broadhursta. Myślałam, że mnie woła, wyszłam na dwór. Zobaczyłam, że leży na ziemi, a nad nim stoi mężczyzna z czarną brodą i włosami jak hippis i wali go motyką. Zobaczyłam krew na plecach pana Broadhursta, rosnącą czerwoną plamę. Zaraz potem pokazał się pod drzewami ogień, rosnąca pomarańczowa plama. Ten mężczyzna zawlókł pana Broadhursta do dołu i zaczął go zakopywać.

- I co zrobiłaś, Susan?

- Wpadłam do domku, porwałam Ronniego i uciekliśmy we dwoje. Przekradliśmy się w dół kanionu, mężczyzna nas nie zauważył.

- Mogłabyś go opisać? Był młody czy stary?

- Nie wiem, był za daleko. Miał wielkie czarne okulary, nie widać było dobrze twarzy. Ale musiał być młody, z tymi włosami.

- Czy to mógł być Albert Sweetner?

- Skąd, on nie ma długich włosów.

- A gdyby włożył perukę? Zastanowiła się.

- Mimo wszystko nie myślę, żeby to był on. Nie chcę o nim w ogóle mówić. Powiedział, że mnie zabije, jak go wydam.

- Kiedy powiedział?

- Powiedziałam, nie chcę mówić. Nie zmusi mnie pan. Reflektory nadjeżdżającego samochodu oblały jej twarz kredowym światłem. Odwróciła się, jakby w obawie, że wydobędą na jaw jej tajemnice. Zbliżyliśmy się do Haven Road. Zjechałem na pobocze i zatrzymałem samochód pod drzewami. Susan skuliła się w drugim końcu siedzenia.

- Niech pan się nie zbliża - wykrztusiła między paroksyzmami dreszczy. - Niech pan mi nic nie robi.

- Dlaczego przypuszczasz, że mógłbym ci coś zrobić?

- Jest pan taki sam jak ten Sweetner. On też mówił, że chce się tylko dowiedzieć, co pamiętam. A potem mnie powalił na to brudne łóżko.

- Na poddaszu domku myśliwskiego?

- Tak. To bolało. Rozkrwawił mnie całą. - Jej oczy patrzyły gdzieś za mnie, jakbym był obłokiem, przez który wypatruje nocy. - Coś huknęło. Widziałam krew na jego głowie. Rozlała się czerwoną plamą. Mamusia uciekła na dwór i nie wróciła po mnie. Nie wróciła przez całą noc.

- O jakiej nocy mówisz, Susan?

- Tej, której go pochowali pod platanem.

- To było w dzień.

- Nie, była czarna noc. Widziałam światło, poruszało się między drzewami. To była wielka maszyna, hałasowała jak smok. Bałam się, że i mnie zakopie. Ale nie wiedziała, że jestem.

Mówiła to wszystko owym infantylnym głosem, jakby opowiadała bajkę.

- A gdzie byłaś?

- Schowałam się na poddaszu, dopóki mamusia nie wróci. Nie wróciła przez całą noc. Powiedziała, że mam nikomu nie mówić. Nigdy” a nigdy.

- Widziałaś ją od tamtej pory?

- Oczywiście.

- Kiedy?

- Przez całe życie - powiedziała.

- Ja mówię o ostatnich trzydziestu sześciu godzinach. Pan Broadhurst został pochowany wczoraj.

- Chce mi pan wszystko pokręcić jak ten Sweetner. - Ścisnęła dłonie między kolanami, wstrząsana dreszczem. - Niech pan nie mówi mamusi, co mi zrobił. Miałam nie dopuszczać do siebie żadnego mężczyzny. Nigdy więcej nie dopuszczę.

Popatrzyła na mnie z głęboką nieufnością. Ogarnęły mnie litość i gniew. Litość dla niej i gniew na siebie. Było okrucieństwem przesłuchiwać ją w tych okolicznościach, budzić drzemiące w niej wspomnienia i lęki, które ją pchnęły na skraj przepaści. Siedziałem obok niej odtwarzając w pamięci jej odpowiedzi. Z początku wydawały mi się gonitwą myśli, mającą początek w faktach, lecz stopniowo odbiegającą od nich. Ale w miarę jak segregowałem jej słowa i obrazy, zaczęło mi świtać, że odnoszą się do kilku odrębnych zdarzeń, zazębiających się i nakładających na siebie w jej świadomości.

- Ile razy byłaś w domku myśliwskim, Susie? Wargi poruszyły jej się w bezgłośnym liczeniu.

- O ile pamiętam, trzy. Wczoraj, kiedy Ronnie chciał do ubikacji. Parę dni temu, kiedy ten Sweetner zrobił mi to na poddaszu. I kiedyś dawno z mamusią, jak byłam mała, mniejsza

niż Ronnie. Huknął strzał, ona uciekła, a ja siedziałam przez całą noc na poddaszu. - Zniosła się cichym, urywanym szlochem. - Ja chcę do mamusi.

ROZDZIAŁ XXIX

Rodzice czekali na nią przed domem o dwu wieżyczkach. Susan wysiadła z auta i ruszyła w ich stronę powłócząc nogami, ze spuszczoną głową. Matka wzięła ją w ramiona i zasypała pieśczośliwymi słowami. To ciepłe powitanie niosło iskierkę nadziei dla nich obu.

Lester Crandall stał z boku, nie wiedząc, co z sobą począć. Posłał mi niepewne spojrzenie i podszedł niepewnym krokiem, jakby ziemia usuwała mu się spod nóg i jakbym to ja ją wprowadził w ruch.

- Pański człowiek - zrobił ruch ręką w stronę domu, mając widać na myśli Williego - pański człowiek powiedział, że pan ją powstrzymał od skoczenia z mostu. Jestem panu niezmiernie wdzięczny.

- Szczęśliwie zdążyłem. Może pan jej coś powie?

Zerknął na ramię kąciakiem oka.

- Co mam powiedzieć?

- Że pan się cieszy, że się nie zabiła.

Zbył propozycję bagatelizującymi ruchem dłoni.

- Nie chcę jej w tym utwierdzać. To teatralne gesty.

- Nie. Próbowала samobójstwa dwa razy w ciągu ostatnich czterech dni. Bałbym się zabierać ją do domu bez zapewnienia jej odpowiedniej opieki lekarskiej.

Odwrócił się, żeby odprowadzić wzrokiem kobiety wchodzące przez werandę do domu.

- Chyba nikt nie zrobił Susie krzywdy?

- Owszem. Fizyczną i moralną, Została odurzona narkotykami i zgwałcona. Była świadkiem co najmniej jednego morderstwa, a może dwóch. Niech pan nie oczekuje, że się z tym upora bez pomocy psychiatry.

- Na miłość Boską, kto ją zgwałcił?

- Albert Sweetner.

Crandall zastygł w milczeniu. Poczulem odradzającą się w nim siłę jego młodych lat.

- Zabiję skurwysyna.

- Już nie żyje. Może pan coś o tym wie?

- Nie.

- Nie widział go pan w ciągu ostatnich dwu dni?

- Widziałem go raz w życiu, osiemnaście lat temu. Byłem świadkiem na sprawie, kiedy go wsadzali do poprawczaka za kradzież mojego samochodu.

- Słyszałem, że złożył wizytę w pańskim motelu, jak go zwolnili z domu poprawczego w Preston. Nie przypomina pan sobie?

- Więc dobrze, widziałem go dwa razy. Czego to dowodzi?

- Może pan mi powie, co wtedy zaszło?

- Wie pan dobrze, inaczej nie wyciągałby pan tej historii. Chciał rozbić nasze małżeństwo. Przez te trzy lata w poprawczaku pewnie nic nie robił, tylko przemyślał, jak do tego doprowadzić. Powiedział, że jest ojcem Susie i że wystąpi do sądu o uznanie ojcostwa. Porachowałem mu wszystkie kości. - Uderzył raz i drugi pięścią w otwartą lewą dłoń. - Martę też pobiłem. Zabrała Susie i odeszła. Nie dziwię się. Nie było jej przez dłuższy czas.

- Odeszła ze Sweetnerem?

- Nie wiem. Nigdy mi nie chciała powiedzieć. Myślałem, że już nigdy nie zobaczę Susie ani jej. Wydawało mi się, że moje życie wali się w gruzy. Teraz naprawdę się zawaliło.

- Ma pan okazję je odbudować. Od pana wszystko zależy.

W jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. Mimo to rzekł:

- Nie wiem, Archer. Starzeję się, niedługo skończę sześćdziesiątkę. Wszystko zaczyna się od tego, że nie powinienem był w ogóle przyjmować Marty z cudzym dzieckiem do domu.

- Kto by je przyjął?

- Mnóstwo mężczyzn poślubiłoby ją z pocałowaniem ręki - powiedział dobitnie. - Była prawdziwą pięknoscią. Jeszcze jest.

- Nie będziemy się licytować. Pomyślał pan, gdzie się zatrzymać na noc?

- Myślałem, że wrócimy do Petroleum City. Jestem wprawdzie wypompowany, ale Marta ma niespożyte siły.

- A jutro?

- Wrócimy do Pacific Palisades. Niedaleko jest klinika.

Postanowiłem zawieźć Susie, żeby ją zbadali - powiedział, jakby to był wyłącznie jego pomysł.

- Niech pan to koniecznie zrobi, Lester. I niech pan jej dobrze pilnuje. Jak mówiłem, była wczoraj świadkiem morderstwa. Morderca może chcieć jej zamknąć usta.

Opowiedziałem mu o długowłosym mężczyźnie i akcesoriach znalezionych na trupie Alberta Sweetnera.

- To znaczy, że Sweetner zamordował Broadhursta?

- Morderca chce, żebyśmy tak myśleli. Ale to właściwie niemożliwe. Widziałem Sweetnera w Northridge mniej więcej wtedy, kiedy Stanley Broadhurst został zamordowany.

- Zawahałem się. - A propos, gdzie pan był w tym czasie?

- Gdzieś w Los Angeles. Szukałem Susie.

Nie zapytałem go, czy ma na to świadków. Może w dowód wdzięczności wyjął portfel i podsunął mi kilka banknotów studolarowych. Ale nie chciałem nic od niego brać ani nic mu zawdzięczać, dopóki sprawa się nie wyjaśni.

- Niech pan to schowa - powiedziałem.

- Nie chce pan pieniędzy?

- Przyślę panu rachunek, jeśli wszystko się pomyślnie skończy.

Wszedłem do domu. W hallu siedział Willie Mackey z malcem na kolanach. Opowiadał mi o starym więźniu, którego znał, a który próbował ucieczki wpław z Alcatrazu. Martę Crandall z córką znalazłem w pokoju od frontu. Siedziały w wykuszu okiennym, przytulone do siebie ślicznymi blond głowami. Godzinę czy półtorej temu dom był cichy jak pustelnia, teraz przypominał poradnię rodzinną. Wiedziałem, że puszczam się na niebezpieczne wody, ale musiałem ryzykować. Pochwyciłem wzrok Marty Crandall i skinieniem przywołałem ją w drugi koniec pokoju.

- O co chodzi? - spytała niecierpliwie, oglądając się na Susie. - Nie chcę jej zostawiać samej.

- Może pani być zmuszona. Popatrzyła na mnie trwożnie.

- Chce pan ją zamknąć?

- Może pani sama uzna za stosowne umieszczenie jej gdzieś na pewien czas. Przeszła mnóstwo, ma skłonności samobójcze.

Zrobiła bagatelizujący ruch ramionami, ale nie wypadło to tak lekko, jak chciała.

- To było robione na pokaz. Sama się przyznała.

- Wiele udanych samobójstw jest robione na pokaz. Nikt nie może przewidzieć, kiedy się skończy udawanie i sprawa się zrobi śmiertelnie poważna. Każdy, kto choćby grozi samobójstwem, potrzebuje pomocy.

- Robię, co mogę, żeby jej pomóc.

- Mam na myśli pomoc fachowca, psychiatry. Mówiłem już o tym z pani mężem, obiecał ją jutro zawieźć do kliniki. Ale prędzej czy później pani będzie musiała wziąć sprawę w swoje ręce. Więc może dobrze by było, żebyście wspólnie porozmawiały z psychiatrą.

Zdawała się przerażona tą perspektywą. - Czy jestem aż taką złą matką?

- Tego nie powiedziałem. Ale nigdy nie była pani wobec córki uczciwa, prawda?
- O czym pan mówi?
- O pani własnych przejściach.
- Nie mogłam jej o tym powiedzieć - odparła gwałtownie.
- Czemu?
- Umarłabym ze wstydu.
- Trzeba, żeby wiedziała, że i pani nie była święta.
- Nie byłam, fakt... Dobrze, zrobię to.
- Słowo?
- Słowo. Ja ją kocham, proszę pana. Susie jest moją małą dziewczynką. No, już nie taką małą.

Odwróciła się do córki, ale ją zatrzymałem i odciągnąłem w najdalszy kąt pokoju. Na całej długości ściany wisiały płótna Ellen jak na pół zapomniane majaki.

- Czego pan jeszcze chce ode mnie? - zapytała.
- Paru słów prawdy. Chcę wiedzieć, co zaszło piętnaście lat temu, kiedy Albert Sweetner zjawił się u państwa w motelu.

Popatrzyła na mnie, jakbym jej wymierzył policzek.

- To zupełnie nieodpowiedni moment do wyciągania dawnych spraw.
- Nie możemy czekać na odpowiedniejszy. Słyszę, że uciekła pani od męża. I co dalej?
Wydeła wargi, oczy jej się zwęziły.
- Lester panu powiedział?
- Trochę. Ale nie dosyć. Wie, że zabrała pani Susan i odeszła. I wie że pani ostatecznie wróciła. Nie wie, co się wydarzyło przez ten czas.
- Nic. Przemyślałam sytuację i wróciłam, to wszystko. Zresztą to moja prywatna sprawa.

- Byłaby prywatna, gdyby pani w nią nie wplątała innych osób. Jedną z nich jest Susan. Była dość duża« żeby zapamiętać.

Marta Crandall popatrzyła na córkę z lękiem i zaciekawieniem. Ta powiedziała:

- Rozmawiacie o mnie, prawda? To nieładnie. Jej głos był bezosobowy, daleki. Siedziała zupełnie nieruchomo w niszy, jak aktorka, której nie wolno wyjść przed proscenium i zanurzyć się w kłębowskiu świata. Jej matka pokręciła głową, najpierw pod jej adresem, potem pod moim.

- Nie myślę znosić tej indagacji. Nic mnie nie zmusi;- powiedziała.

- Co pani wobec tego zrobi? Zostawi Susan na łaskę losu? Żeby sobie radziła bez pani pomocy?

Zwiesiła głowę jak skarcone dziecko.

- Mnie nigdy nikt nie pomagał.

- Ja pani pomogę. Albert Sweetner powiedział pani mężowi, że jest ojcem Susan. Ale nie wydaje mi się to prawdopodobne. Nawet ktoś taki jak Al nie zgwałciłby własnej córki.

- Kto panu powiedział, że ją zgwałcił?

- Susan.

- Musimy o tym mówić?

W jej oczach był wyrzut, jakbym przez nazwanie rzeczy „po imieniu uczynił ją realną.

- Susan mogła, to i my możemy. - Kiedy pan z nią rozmawiał?

- Wioząc ją z mostu.

- Nie miał pan prawa...

- Nie miałem? To było ponad siły Susan. Musiała zrzucić ciężar.

- Jaki ciężar?

- Wspomnień - powiedziałem. - Ciężar zbyt wielu śmierci.

Jej oczy rozszerzyły się niczym soczewki, jakby wypatrywały nikłego światełka z przeszłości. Ale ja dojrzałem tylko odbitą w ich siatkówce swoją głowę w miniaturze.

- Co Susan panu powiedziała? - spytała Marta;! Crandall.

- Niewiele. Nie miała w ogóle zamiaru mówić, wspomnienia same jej się tłoczyły na usta. Była z panią w domku myśliwskim pewnej letniej nocy 1955 roku, prawda?

- O jakiej nocy pan mówi?

- Tej, której strzelano do Leo Broadhursta. Firanka rzęs opadła jej na oczy. Zachwiała się lekko, jakby przypomnienie strzału ją zraniło. Podtrzymałem ją. Pod palcami poczułem ciepło żywego ciała.

- Susan to pamięta? Jak to możliwe? Miała zaledwie trzy latka.

- Pamięta wystarczająco dużo. Za dużo. Czy Broadhurst został zastrzelony?

- Nie wiem. Uciekłam, zostawiłam go w domu. Byłam pijana, nie mogłam uruchomić jego wozu. Rano nie było ani auta, ani jego.

- Co to był za wóz?

- Porsche. Mały czerwony Porsche. Nie chciał zapalić, więc uciekłam, gdzie mnie nogi poniosły. Zapomniałam na śmierć o Susan. Nie pamiętam, gdzie byłam. - Uwolniła się z moich rąk, jakbym nosił na nich krew tamtej zbrodni. - Co się działo z Susan?

- Nie wróciła pani po nią?

- Wróciłam, ale dopiero rano. Zastałam ją śpiącą nil poddaszu. Jak może pamiętać strzał, skoro spała na poddaszu?

- Nie spała, kiedy to się stało. Była na dole. Nie wymyśliła sobie tego.

- Czy Leo nie żyje?.

- Przypuszczam.

Spojrzała na córkę. Ja też się odwróciłem. Susan obserwowała nas bacznie, już nie jak aktorka ze sceny, lecz jak widz. Mówiliśmy cicho, nie mogła nas słyszeć, że zdawała się wiedzieć, o czym mówimy.

- Czy Susan pamięta, kto do niego strzelał? - spytała jej matka.

- Nie. A pani?

- Ja w ogóle nie widziałam, kto to był. Kochaliśmy się z Leonem w łóżku, byłam pijana...

- I nie słyszała pani strzału?

- Musiałam słyszeć. Ale nie wierzyłam własnym uszom, rozumie pan? Doszło do mnie, że jest ranny dopiero, gdy poczułam krew na jego ustach.

Oblizła koniuszkiem języka wargi.

- Boże, co pan ze mnie wyciąga! Myślałam, że na zawsze wyrzuciłam tę noc z pamięci. To była najkoszmarniejsza noc mojego życia. A zapowiadała się na najpiękniejszą. Mieliśmy wyjechać wszyscy troje na Hawaje, rozpocząć nowe życie. Leo kupił tego dnia bilety.

- Czy Leo był ojcem Susan?

- Chyba. Tak zawsze uważałam. Dlatego do niego wróciłam, kiedy Lester mnie wyrzucił. Był pierwszym mężczyzną, któremu się oddałam.

- Nie Albert Sweetner? Ani Fryc Snow? Potrząsnęła zapalczywie głową.

- Jadąc do Los Angeles byłam już w ciąży. Dlatego się zdecydowałam na tę eskapadę.

- Ale winę zwała pani na nich.

- Leo miał dużo do stracenia. Co oni mieli do stracenia?

- Całe życie.

Uniosła ręce jakby dla sprawdzenia, czy nie ma na nich brudu albo blizn. Smutek zaćmił jej oczy. Raptem opuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Jakby nagle prysł czar, Susan wysunęła się z niszy i ruszyła ku nam. Twarz lśniła jej nienaturalnie jak napromieniowana.

- Doprowadził pan mamusię do płaczu.

- Dobrze jej to zrobi - powiedziałem. - Jest takim samym człowiekiem jak wszyscy.

Dziewczyna popatrzyła na matkę ze zdziwieniem.

ROZDZIAŁ XXX

Zostawiając kobiety same, wyszedłem do hallu, gdzie; Ronnie wciąż siedział na kolanach Williego. Oteępały ze zmęczenia, przelewał się swemu opiekunowi przez ręce.

- Dojrzał do łóżka - powiedział Willie. - A na mniej w San Francisco czeka młoda żona.

- Jeszcze parę minut, Willie. Gdzie jest Ellen Strome?!

- Z synem, tutaj. - Wskazał kciukiem zamknięte drzwi kantorka pod schodami. - To zakuta pała, tej chłopak. Dlatego tu siedzę.

- Zmalował coś?

- Chciał bić jedną ręką Harolda. Harolda, który był zawodowym futbolistą.

- A gdzie Harold?

- Na dworze. Pilnuje domu na wypadek, gdyby jeszcze ktoś się zjawił. - Zrobił srogą minę i szturchną; małego delikatnie pod zebra. - Precz, myśli płocha, co śpieszku? Zapukałem w drzwi pod schodami. Z wnętrza odpowiedział mi głos Ellen. Siedziała na fotelu obrotowym, a jej syn na podłodze koło sejfu, jakby to był piec promieniujący miłe ciepło. Jerry miał twarz tak mizerną i bladą, że jego rude włosy i bródka sprawiały wrażenie przyprawionych. Usta nabrały nerwowego tik, jakby coś żuł albo jakby coś go gryzło.

- Pan Archer - przedstawiła mnie Ellen.

Chcąc mu ułatwić sytuację, zapytałem, jak jego ręka. W odpowiedzi plunął mi pod nogi.

- Jest złamana - odrzekła Ellen. - Złożyli mu w klinice w Haight-Ashbury. Kazali mu się zgłosić jutro na...

Chłopak przerwał jej zamaszystym ruchem zdrowego ramienia.

- Nie mów mu nic. Przez niego rozbiłem „Ariadnę”.

- Tak, ja jestem wszystkiemu winien. Złamałem ci także rękę waląc głową w kolbę twojego rewolweru.

- Żałuję, że pana nie zastrzeliłem.

Willie miał rację, była z niego rzeczywiście zakuta pała. Nie wiedziałem tylko, czy to u niego normalne, czy spowodowane przejściami fizycznymi i psychicznymi.

- Czekają, go nieprzyjemności, chyba zdaje pani sobie sprawę? - zwróciłem się do Ellen.

- To znaczy, że będzie go pan musiał aresztować?

- Nie zajmuję się takimi sprawami. W ogóle nie moją rzeczą jest decydować, co z nim zrobić. Nie jestem jego ojcem.

- Ale pracuje pan dla niego - odezwał się Jerry. - Niech pan sobie nie wyobraża, że odstawi mnie pan z powrotem do tego grajdołu.

Wsiadłem na niego z góry:- Grajdoł obejdzie się bez ciebie. Jeśli sobie wyobrażasz, że wszyscy jak jeden mąż wylegną na twoje powitanie, to puknij się w głowę.

Zamknąłem mu tym buzię, ale zrobiło mi się głupio, że w taki sposób. Poczulem się trochę tak, jakbym popełnił nieuczciwość. Przed oczyma stanął mi zapatrzony w morze Roger Armistead na pomoście przystani.

- Jerry nie wróci do ojca - powiedziała Ellen. - Zastanawiam się, czy nie mógłby zostać u mnie, przynajmniej na razie. Mogę mu zapewnić opiekę.

- Poradzi pani sobie z nim?

- W każdym razie dam mu dach nad głową. Dawała już schronienie potrzebującym.

Jej twarz była szczerą i pełną dobrej woli, bez zbytej gorliwości.

- Nie wiem, co na to powie prawo.

- Jak się przedstawia jego sytuacja z prawnego punktu widzenia?

- To zależy, czy miał już do czynienia z policją? Spojrzeliśmy oboje na Jerry'ego. Siedział nieruchomo jeśli nie liczyć tiku ust. Wyglądał jak nagle postarzał chłopiec.

- Byłeś już kiedy aresztowany? - zapytałem go.

- Nie. Nie mogę się doczekać.

- Nie ma w tym nic śmiesznego. Jeśli władze zechcą się trzymać litery prawa, grożą ci poważne konsekwencje. Samowolne zabranie jachtu może być uznane za kradzież. Urowadzenie Ronniego za porwanie albo deprawację małoletniego.

Jerry podniósł przerażone oczy.

- Co pan? Przecież ja mu nic nie zrobiłem. Chciałem go ratować.

- I o mało go nie utopiłeś?

Podwinął pod siebie nogi i wstał niezdarnie, z grymasem bólu na twarzy.

- Nie musi mi pan przypominać. Rozbiłem jacht, wiem. Ale nie ukradłem. Pan Armistead mi go powierzył. Może go pan spytać.

- Lepiej sam z nim porozmawiaj. Ale nie dzisiaj. - Zwróciłem się do jego matki: - Niech pani go położy spać.

Nie oponował. Objęła go za ramiona i wyprowadziła z kantorka. Wyraz jej twarzy świadczył, że się pogodziła z nową sytuacją. Może uznała, że dość długo żyła bez kłopotów

realnego świata. Ale wiedziałem, że to nie jest rozwiązanie. Ellen zbyt głęboko tkwiła w swojej samotności, a Jerry był zbyt dorosły, by naprawdę potrzebować matki. Musiał się sam uporać ze swymi problemami, jak ona to niegdyś uczyniła. Nie było żadnej pewności, że mu się to powiedzie. Należał do pokolenia, którego rodzice zostali zatruci, jak owe pelikany w Zatoce Wydmowej, rodzajem moralnego DDT, paraliżującego ich potomstwo.

Ale nie miałem czasu martwić się o Jerry'ego. Obróciłem fotel do telefonu i nakręciłem numer pani Broadhurst w Santa Teresa. Natychmiast odezwała się Jean, głosem zawieszonym między nadzieją a rozpaczą.

- Mieszkanie pani Broadhurst.

- Mówi Archer. Odzyskałem Ronniego. Jest zdrow i cały.

Nie odpowiedziała od razu. Przez lekki szum i jazgot na linii słyszałem jej odległy oddech, jak ostatni odgłos życia w elektronicznym świecie.

- Gdzie pan jest?

- W Sausalito. Ronnie jest w bezpiecznym miejscu, zdrow.

- Słyszałam. - Znowu chwila milczenia. - A co z dziewczyną? - zapytała jakby z pretensją w głosie.

- Jest również bezpieczna. Ale w niezbyt dobrym stanie psychicznym.

- Nie dziwię się.

- Wcale nie miała zamiaru porywać Ronniego. Uciekała przed człowiekiem, który zabił pani męża.

- Aż do Sausalito? - zapytała niedowierzająco.

- Tak.

- Co to za człowiek?

- Brodacz z czarnymi włosami do ramion, w wielkich ciemnych okularach. Nie przypomina to pani nikogo?

- W Northridge kręci się mnóstwo długowłosych. Zresztą tutaj także. Nie miałam z nimi styczności w ostatnich latach. Nie wiem, kto to mógł być.

- Mógł być jakiś szaleniec mordujący na chybił trafił. Niech pani teraz dobrze słucha i zrobi, co pani powiem. Jak tylko się rozłączymy, niech pani zadzwoni do szeryfa i zażąda ochrony. Jeśli nie będzie chciał nikogo przysłać, niech pani wezwie taksówkę i każe się zawieźć do jakiegoś dobrego hotelu w mieście.

- Przecież kazał mi pan czekać w domu?

- To już niepotrzebne. Odzyskaliśmy Ronniego. Przywiozę go jutro rano.

- Nie mogłabym z nim zamienić paru słów? Chcę tylko usłyszeć jego głos.

Otworzyłem drzwi kantorku i zawołałem Ronniego. Ześliznął się z kolan Williego, przybiegł, wziął słuchawkę obiema rękami.

- To ty, mamusiu?... Jacht zatonął, a ja dopłynąłem do brzegu na desce surfingowej... Nie jestem zmarznięty. Pani Rawlins dała mi ubranie swego synka i hamburgera. A Susie kupiła mi drugiego hamburgera w San Francisco... Susie? Chyba dobrze. Chciała skoczyć z mostu, aleśmy ją powstrzymali.

Słuchał przez chwilę, z przejęciem na buzi. Potem oddał mi słuchawkę, jakby go parzyła.

- Mamusia jest smutna.

- Dobrze się pani czuje? - zapytałem. Odpowiedziała załamującym się z emocji głosem:

- Dobrze. Testem panu głęboko wdzięczna. Kiedy mogę się was spodziewać?

- Jutro koło południa. Musimy obaj trochę odpocząć przed drogą powrotną.

Nieco później, gdy wszyscy się rozjechali, we dwoje z Ellen ułożyliśmy Ronniego w pokoju, w którym Ellen sypiała jako dziecko. Na szafce koło łóżeczka stał stary dziecienny telefon. Jakby dla zademonstrowania swojej niewyczerpanej energii chłopiec sięgnął po słuchawkę i powiedział wyraźnie:

- Wzywam Kontrolę Kosmiczną. Wzywam Kontrolę Kosmiczną. Słyszycie mnie? Słyszycie mnie?

Zostawiwszy go z jego fantazjami, znaleźliśmy się twarzą w twarz pod drzwiami jego pokoju. Wisząca na podeście piętra żółta lampa, zacieki po dawnych ulewach na ścianach i suficie oraz przypominające je cienie rodziły inne fantazje. Świat wydawał się daleki, my od niego odcięci. Poczulem się jak rozbitek na mrocznym brzegu przeszłości.

- Jak Jerry? - zapytałem.

- Niepokoi się, co Armistead z nim zrobi. Uspokoiliam go trochę. Natarłam mu plecy, dałam proszek nasenny.

- Pomówię z Armisteadem, jak tylko znajdę chwilę czasu.

- Liczyłam na to w cichości ducha. Jerry bardzo się gryzie. Ma wyrzuty sumienia.

- Co pani zrobiła z resztą proszków nasennych?

- Mam je tu.

Dotknęła zagłębienia między piersiami. Zauważyła, że mój wzrok ześliznął się z piersi w dół jej ciała. Przysunęliśmy się równocześnie, jej ciało oparło się trochę bezwładnie o moje. Poczulem na szyi jej dłoń, jakby przymierzającą się do natarcia z kolei moich pleców.

- Nie mam dla pana łóżka - powiedziała. - Może pan spać ze mną, jeśli pan chce.

- Dziękuję, ale czy to najszcześniejszy pomysł? Całe pani życie rozgrywa się na płótnie, zapomniała pani?

- Trzymam na wszelki wypadek wielkie nie używane płótno - odparła dość enigmatycznie. - Czego pan się boi, Archer?

Trudno było powiedzieć. Podobała mi się, prawie jej ufałem. Ale już przeniknąłem w głąb jej życia i nie chciałem się w nim sadowić na dobre, angażować wobec niej, dopóki się nie zorientuję w konsekwencjach. Zamiast odpowiedzi pocałowałem ją i uwolniłem się z jej objęć. Wyglądała bardziej na urażoną niż zawiedziona.

- Nie spałam z wieloma mężczyznami, jeśli pan chce wiedzieć. Leo był jedynym prawdziwym kochankiem, jakiego miałam. - Milczała chwilę, zanim podjęła: - Przedstawiłam panu sprawę w nieco fałszywym świetle. Zapomniałam już, czy się okłamywałam. To z Leonem to było prawdziwe uczucie. Najprawdziwsze uczucie mego życia. - Oczy jej zabłysły na wspomnienie. Nie zabłysły tak przed chwilą dla mnie. - Kochałam go. On mnie też kochał. Nie przyszło mi do głowy, że to się może kiedykolwiek skończyć. I nagle się skończyło. Zupełnie nieoczekiwanie.

Zamknęła oczy. Gdy je po chwili otworzyła, miały zmieniony wyraz - powściąganego żalu. Oparła się o ścianę upstrzoną znakami wodnymi. Noc dogorywała jak przeszczepione serce.

- Chcę pani coś powiedzieć - odezwałem się. - Nie wiem, czy powinienem.

- Coś bolesnego?

- Tak. Choć może już nie tak bolesnego jak kiedyś.

- O Leonie?

- Prawdopodobnie nie żyje.

Jej oczy nie umknęły w bok. Tylko po twarzy przebiegł cień, jakby lampa nad głową zadrgała.

- Dawno?

- Całe piętnaście lat.

- Dlatego do mnie nie przyjechał?

- Przypuszczam.

Była to częściowa prawda. Co do reszty, nie byłem jeszcze zdecydowany, czy jej powiedzieć o roli, jaką odegrała Marta Crandall.

- Jeśli moi świadkowie nie fantazjują, ktoś zastrzelił i pochował Leona.

- Gdzie?

- Koło domku myśliwskiego. Nie domyśla się pani, kto go mógł zabić?

- Nie. - Po chwili wahania dodała: - Ja nie. Czekalem, co powie dalej. W koncu zapytala:

- Wspomniał pan o świadkach. Kto to taki?

- Marta Crandall i jej córka.

- Więc wrócił do Marty?

Złapała się za usta, jakby popełniła nieobliczalną gafę. Korzystając z tego, wygarnąłem całą resztę:

- Był z nią w łóżku, kiedy został zastrzelony. Ale to raczej ona do niego wróciła. Mąż ją wyrzucił. - Zawahałem się. - Więc pani wiedziała, że mieli romans?

- Czy wiedziałam? Dzięki temu poznałam Leona. Marta przyszła do mnie, kiedy się znalazła w kłopotcie. - Chwilę milczała, potem dokończyła z ironią: - Osłoniłam ją własnym ciałem.

Prawie wszystko zostało powiedziane, ale nadal pchało nas ku sobie wrażenie. - bezosobowe, lecz niemal tak silne jak przyjaźń czy namiętność - że jeszcze coś jest do powiedzenia. Przeszłość przewijała się z rąk do rąk jak motek włóczki.

- Skąd wzięła się w jego życiu Elizabeth Broadhurst? - zapytałem. - W jaki sposób mężczyzna pokroju Leona mógł się ożenić z kobietą taką jak Elizabeth.

- Wojna ich zbliżyła. Elizabeth była w Towarzystwie Pomocy Żołnierzom, a Leo stacjonował w bazie pod Santa Teresa. W młodości była przystojna, przy tym bogata, błyszczała w towarzystwie. Miała - wszystkie zewnętrzne zalety. - Po raz pierwszy twarz Ellen wykrzywił złośliwy uśmiech. - Ale jako żona zawiodła na całej linii.

- Skąd pani wie?

- Leo opowiedział mi historię swego małżeństwa. Jeśli to można nazwać małżeństwem. Elizabeth okazała się kobietą oziębłą, tatusiną córeczką.

- Takie kobiety czasami eksplodują. - Wiem.

Ogłędnie sformułowałem następne pytanie:

- Myśli pani, że mogła zastrzelić Leona?

- Możliwe. Groziła mu. Dlatego między innymi wyjechałam z Santa Teresa i chciałam stamtąd wyrwać Leona. Bałam się jej.

- To jeszcze nie dowód, że jest morderczynią.

- Wiem. Ale to nie tylko moje przywidzenie. Jerry powiedział mi coś przed chwilą.

Jej głos odpłynął, a wraz z nim odpłynęła jej uwaga. Zdawała się wsłuchiwać w inny głos, wewnętrzny.

- Co pani powiedział Jerry?

- Dlaczego nie może powrócić do Briana... do swego ojca. Otóż któregoś wieczora w lecie do Briana przyszła Elizabeth Broadhurst. Płakała i krzyczała, tak że Jerry mimo woli słyszał wszystko. Okazuje się, że Brian wymuszał od niej pieniądze. Nie tylko pieniądze. Zmusił ją do jakiejś spółki inwestycyjnej, w której ona dała ziemię, a on nic albo prawie nic.

- Jak mógł ją zmusić?

- Oto jest pytanie.

Ostatecznie Ellen poszła do łóżka sama, ja zaś wyciągnąłem ze swego bagażnika śpiwór i ułożyłem go w poprzek drzwi pokoju Ronniego. Stary dom skrzypiał jak statek żeglujący po toniach świata. Śniło mi się, że opływam przylądek Horn.

ROZDZIAŁ XXXI

W Pało Alto, gdzie zjedliśmy z Ronniem śniadanie, padało. Padało również w Gilroy i King City, a w Petroleum City zbierało się na deszcz. Zawadziłem o Yucca Tree Inn, żeby się dowiedzieć czegoś o Crandallach. W recepcji siedziała jak wczoraj Joy Rawlins. Lester Crandall przyjął ją z powrotem do pracy przed wyjazdem do Los Angeles.

- Widziała pani Susan? - zapytałem.

- Tak. Uspokoila się wyraźnie. Dla odmiany wszyscy troje zachowywali się zupełnie normalnie.

Przed dalszą drogą zadzwoniłem do Straży Leśnej w Santa Teresa. Kelsey nie było w biurze, ale zostawiłem wiadomość, żeby spotkał się ze mną w miarę możliwości koło południa w domu pani Broadhurst. Potem wyjechaliśmy z Ronniem z powrotem na autostradę. Malec zrobił sobie z klamry od pasa bezpieczeństwa mikrofon i informował co chwila Kontrolę Kosmiczną, gdzie się znajdujemy. W pewnej chwili powiedział do nie istniejącego mikrofonu:

- Tatusiu, tu Ronnie. Słyszysz mnie?

Byliśmy już o kilka mil na północ od Santa Teresa, w okolicy, którą musiał dobrze znać. Położył klamrę na kolanach i obrócił się do mnie.

- Czy tatuś wróci?

- Niestety nie.

- Nie żyje, tak?

- Tak.

- Zabił go czarny lud?

- Niestety. - Było to pierwsze potwierdzenie, że mężczyzna w czerni nie jest wymysłem czy przywidzeniem Susan. - Przyjrzałeś mu się dobrze, Ronnie?

- Tak sobie.

- Jak wyglądał?

- Jak czarny lud. - Powiedział to głosem poważnym, przyciszonym. - Miał długie czarne włosy, długą czarną brodę.

- A jak był ubrany?

- Cały na czarno. Miał czarne spodnie, czarną górę, czarne okulary.

Jego głos zrobił się śpiewny, stawiając pod znakiem zapytania wiarygodność relacji.

- Czy to ktoś, kogo znasz? Przeraziła go ta ewentualność.

- Nie, nie znam. On był złej wielkości.

- Co to znaczy złej wielkości?

- Nie takiej jak wszyscy.

- Nie takiej jak kto?

- Nikt - odparł niejasno.

- Za duży czy za mały?

- Za mały. Nie znam go i już.

Zaczynał zdradzać zdenerwowanie, więc przerwałem indagację. Ale z kolei on miał pytanie:

- Mamusia jest zdrowa?

- Zdrowa. Rozmawiałeś z nią wczoraj przez telefon, nie pamiętasz?

- Pamiętam. Ale myślałem, że to może nagrane.

- Nie, najprawdziwsze w świecie.

- To dobrze.

Oparł się o mnie i zasnął. Spał, kiedy zajechaliśmy pod dom w kanionie. Na stopniach werandy czekała jego matka. Przebiegła przez podjazd, otworzyła drzwiczki i wzięła go w ramiona. Ścisła go, dopóki nie zaczął się wyrywać. Postawiwszy go na ziemi, wyciągnęła do mnie obie ręce.

- Nigdy się panu nie odwdziczę.

- Nie ma o czym mówić. Skończyło się szczęśliwie dla wszystkich. Z wyjątkiem Stanleya.

- Ta-ak. Biedny Stanley. - Bruzda zastanowienia przepołowiła jej brwi jak bezkrwawe cięcie. - Co z dziewczyną?

- Z Susan? Jest z rodzicami. Obiecali ją oddać pod opiekę psychiatry.

- A Jerry Kilpatrick? Dzwonił do mnie jego ojciec.

- Został tymczasem u matki w Sausalito.

- Nie kazał ich pan aresztować

- Nie.

- Zdawało mi się, że są porywaczami.

- Mnie też w pewnym momencie. Myliłem się. Są parą wyalienowanych nastolatków.

Byli święcie przekonani, że ratują Ronniego przed światem dorosłych. Zresztą to w pewnej mierze prawda. Susan była świadkiem zabójstwa pani męża. Piętnaście lat temu, kiedy była młodsza od Ronniego, przeżyła już jedno morderstwo. Trudno się dziwić, że zareagowała w sposób nieodpowiedzialny.

Bruzda między brwiami Jean podkreślonymi kredką zrobiła się głębsza.

- Więc było już jedno morderstwo?

- Tak wygląda. Pani teść, Leo Broadhurst, nie uciekł wcale z kobietą. Wszystko wskazuje, że został zabity w domku myśliwskim i pochowany w pobliżu. Pani mąż wraz z Susan szukał wczoraj jego ciała.

Jean patrzyła na mnie w osłupieniu. Rozumiała moje słowa, ale stanowiły zbyt wielki szok dla jej napiętych nerwów. Rozejrzała się i zauważyła, że Ronnie zniknął. Zaczęła go wołać histerycznie. Mały wyszedł z domu.

- Gdzie babcia Neli?

- Nie ma jej - odparła Jean. - Jest w szpitalu.

- Też umarła?

- Cii. Skądże znowu. Doktor Jerome mówi, że wróci jutro albo pojutrze.

- Jak się ma teściowa? - zapytałem.

- Będzie zdrowa. Miała rano prawie normalny elektrokardiogram, rozmawiała też normalnie. Ogromnie ją podniosła wiadomość, że pan wraca z Ronniem. Na pewno bardzo by się ucieszyła, gdyby pan ją odwiedził.

- Wolno jej przyjmować wizyty?

- Tak.

- Może znajdę chwilę czasu. Weszliśmy do domu. Korzystając, że Ronnie zajął się oglądaniem wypchanych ptaków, Jean opowiedziała mi o wydarzeniach ostatnich dwudziestu czterech godzin. Upłynęły jej głównie na czekaniu. Zgodnie z moimi instrukcjami zadzwoniła do biura szeryfa, ale nie mieli jej kogo przysłać do ochrony. Brian Kilpatrick zadeklarował gotowość przyjazdu, ale mu powiedziała, że to zbyteczne.

- Niech pani zapomni, że pani kiedykolwiek znała Kilpatricka.

Posłała mi badawcze spojrzenie.

- Nie chodziło mu o to, co pan myśli. Chciał przyjechać z narzeczoną.

- Niech pani zapomni o obojgu. Potrzebuje pani ochrony.

- Mam pana.

- Ja tu nie zostanę. Jak mam panią nakłonić do wyjazdu z miasta?

- Nie mogę teraz wyjechać. Babcia Neli mnie potrzebuje.

- Ronnie też. Może pani stanąć przed koniecznością wyboru.

- Czy pan naprawdę myśli, że Ronniemu grozi nie-; bezpieczeństwo?

- Muszę się z tym liczyć. Widział mordercę pani męża.

- Potrafi go opisać?

- Nie bardzo. Wie tylko, że miał długie włosy i brodę, prawdopodobnie sztuczne. Ale nie wykluczam możliwości, że to był ktoś znajomy. Nie chciałem go zbyt mocno naciskać, ale gdyby zaczął sam mówić, niech pani dokładnie zapamięta albo zapisze. Możliwie dosłownie, dobrze?

- Oczywiście.

Popatrzyła na syna stojącego przy gablocie w drugim końcu pokoju, jakby jego okrągła główka kryła utajony sens jej życia. Chłopiec powiedział z dumą odkrywcy:

- Tu się paliło. Czuję to i widzę. Kto rozpałił ogień?

- Staramy się to ustalić. - Obróciłem się z powrotem do jego matki. - Koniecznie musi pani się stąd wynieść przed nastaniem zmroku.

- Nic się nie stało dzisiejszej nocy.

- Dzisiejszej nocy nie było tu Ronniego. Będziecie oboje bezpieczniejsi w mieszkaniu Wallerów w Los Angeles. Niech pani powie słówko, a odwiozę was...

- Zastanowię się. - Przerwała mi, lecz zaraz złagodziała odpowiedź: - Jestem panu naprawdę bardzo wdzięczna, ale nie potrafię w tej chwili zebrać myśli. Wiem jedno: nie mogę wrócić do Northridge.

Usłyszałem zbliżający się szum motoru, więc wyszedłem przed dom. Był to Kelsey w wielkim wozie Straży Leśnej. Wsiadłszy uściskał mi nieco oficjalnie dłoń. Ubranie miał wymięte, w oczach błysk zniecierpliwienia.

- Przekazano mi pańską wiadomość. O co chodzi, Archer?

- Mam panu dużo do zakomunikowania. Ale najpierw chciałbym usłyszeć, czego pan się dowiedział od studentki, która widziała brodatego mężczyznę w aucie.

- Nic więcej nie pamięta - odrzekł Kelsey z zawodem w głosie. - Podała tylko ogólnikowy opis.

- A jeśli chodzi o samochód?

- Wie tyle, że był stary. Nie potrafi określić marki. Wydaje jej się, że miał rejestrację kalifornijską, ale nie jest pewna. Spróbuję ją jeszcze pomaglować. Prosił mnie o to Shipstad z Los Angeles.

- Rozmawiał pan z Arniem?

- Dzwoniłem do niego rano. W zasadzie wyklucza możliwość, żeby peruka i broda były własnością Alberta Sweetnera. Zupełnie na niego nie pasują. Shipstad próbuje się dowiedzieć czegoś bliższego w wytwórniach kosmetycznych i sklepach perukarskich. Ale to niewdzięczne zadanie, może potrwać trochę. Pomógłby mu dokładniejszy opis mężczyzny, którego widziała ta studentka.

- Był niskiego wzrostu, jeśli mogę wierzyć mojemu świadkowi. Miał na sobie czarne spodnie, prawdopodobnie czarną koszulę albo sweter i ciemne okulary. Nie ulega wątpliwości, że zamordował Stanleya Broadhursta. - Zrelacjonowałem mu, czego się dowiedziałem w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. - Może pan się wystarać o buldożer i kogoś do obsługi? - zapytałem.

- Zdaje się, że w college'u został buldożer na wypadek, gdyby ogień zawrócił. Jeśli jeszcze jest, sam go potrafię obsłużyć.

- Myśli pan, że ogień może zawrócić?

- Nie, chyba że wiatr nam spleta figła. Wywołaliśmy rano skuteczny pożar zaporowy koło Jeleniego Rogu. Powinniśmy opanować sytuację w ciągu najbliższej doby. Może wcześniej, jeśli nadejdzie zapowiadany deszcz. - Popatrzył na ruchomy pułap chmur. - Miejmy nadzieję, że popada w sam raz, żeby unieszkodliwić ogień, a nie zmyć nam całej góry na głowę.

Kelsey zaproponował mi jazdę jego samochodem, ale dla zachowania swobody ruchów wolałem jechać swoim. Wydostawszy się z kanionu osmalonego przez ogień, zacząłem się wspinać za nim podnóżem wzgórz. Stadion college'u pełen wczoraj ludzi i sprzętu, był dzisiaj niemal wymarły. Krzątało się po nim tylko kilku mężczyzn zbierających opróżnione butelki i porozrzucane papiery. Na pustym placu za trybunami stał buldożer z lemieszem do robót ziemnych. Czekając, aż Kelsey go uruchomi, wdrapałem się na trybuny i rozejrzałem dokoła.

Powierzchnię oceanu znaczyły białe grzywacze. Ku południowemu wschodowi dym wisiał nad linią brzegu jak przedwczesny zmierzch. Na drugim końcu nieba kłębiły się chmury burzowe z północnego zachodu, ciągnąc za sobą po nadbrzeżnych wzgórzach czarne frędzle deszczu. Zanosilo się na zmianę.

Kelsey poprowadził buldożer ścieżką w dół zbocza. Ja ruszyłem za nim z pożyczoną łopatą na ramieniu, łykając kurz wzbijany przez gąsienice. Potem czekałem oparty o pień plątana przez dwadzieścia minut czy pół godziny, podczas gdy buldożer powolnymi rytmicznymi ruchami odgarniał ziemię. Wkopał, się prawie na wysokość człowieka, gdy nagle lemiesz zazgrzytał o metal i Kelsey o mało nie wyleciał głową naprzód z siodełka.

Wycofał buldożer po pochyłości, robiąc mi miejsce w wykopie. W parę minut oczyściłem metalową przeszkodę na tyle, że ukazał się ciemnoczerwony dach auta, zżarty jaśniejszymi plamami rdzy i zagięty w kształt nadwozia Porsche'a. Odsłoniłem lewe przednie okno i wybiłem łopatą szybę. Z pustego wnętrza buchnął fetor rozkładu, suchy, ostry, zapierający dech. Na przednim siedzeniu leżało coś owiniętego w rozsypujący się koc.

Wyciągnąłem się głową w dół na ziemi spojrzałem na trupa w środku. Zawsze najpierw ulega rozkładowi ciało, potem włosy, potem kości, na ostatku zęby. Z Leona Broadhursta pozostały kości i zęby.

ROZDZIAŁ XXXII

Kelsey przystąpił do powiększania i pogłębiania wykopu dokoła auta, ja zaś wróciłem do college'u, żeby zawiadomić o odkryciu szeryfa-koronera. Załatwiwszy telefon zajechałem do miasta, złożyć jeszcze jedną wizytę w domu Fryca Snowa.

Ku memu zaskoczeniu otworzył mi on sam. Był w starym brązowym rozpinanym swetrze, workowatych spodniach i rozdeptanych tenisówkach. Ramiona miał zgarbione, oczy podpuchnięte. Postarzał się, jakby od naszego widzenia minął nie weekend, lecz całe lata. Zastawił drzwi swoim miękkim opornym ciałem.

- Mam nikogo nie wpuszczać.

- Chciałeś ze mną wczoraj mówić, nie pamiętasz?

- Chciałem? - Spróbował sobie przypomnieć. - Mamusia mnie zabije.

- Wątpię, Fryc. Wszystko się wydało. Przed chwilą odkopaliśmy kapitana Broadhursta.

Podniósł na mnie ciężki wzrok, jakby chciał z mojej twarzy wyczytać swoją przyszłość. Nietrudno było ją wyczytać z jego twarzy - przyszłość równie jak przeszłość pełną niepewności, leku i cierpienia.

- Mogę wejść na chwilę?

- Chy-yba tak.

Wpuścił mnie do środka. Oddychał ciężko, jakby odrobina wysiłku potrzebna do otwarcia i zamknięcia drzwi wyczerpała go zupełnie.

- Powiedziałeś mi wczoraj, że pochowałeś pana Broadhursta. Myślałem, że mówisz o Stanleyu. Mówiłeś o jego ojcu, kapitanie Broadhurście. Czy tak?

- Ta-ak. - Rozejrzał się po gołych ścianach, jakby w obawie, że jego matka zainstalowała aparaturę podsłuchową. - Zrobiłem straszną rzecz. Teraz muszę od-; pokutować.

- Zabiłeś kapitana Broadhursta?

- Nie-e. Już nie żył. Ja go tylko pochowałem.

- Kto cię do tego namówił?

- Albert Sweetner. Pokiwał głową dla dodania mocy swoim słowom, poczym zerknął, czy mu wierzę. Sam nie wiedziałem, co myśleć.

- Albert Sweetner mi kazał - powiedział.

- Jak mógł ci kazać?

- Bałem się go.

- Musiałeś mieć ważniejszy powód. Pokręcił głową.

- Ja nie chciałem chować kapitana. Byłem taki zdenerwowany, że nie mogłem prowadzić buldożera. Albert chciał go odstawić do bazy, ale wpadł do rowu na Drodze Grzechotników. Złapali go i wsadzili z powrotem do kryminału.

- A tobie się upiekło?

- Tym - razem tak. Wyrzucili mnie tylko z pracy i umieścili w domu opieki. Ale nie dowiedzieli się nigdy o kapitanie Broadhurście.

- Czy twoja matka wie, coście zrobili z Albertem?

- Ta-ak. Powiedziałem jej.

- Kiedy? Rozważył sprawę.

- Chy-yba wczoraj.

- Przed moją bytnością czy po?

- Nie pamiętam. - Na twarzy Fryca malowało się coraz większe napięcie psychiczne. - Przychodzi pan i przychodzi, może się człowiekowi w końcu pomieszać w głowie. Pamięć mi płata figle. Przypomina mi się ciągle, jak łapiduchy zabrały tatusia.

- Jak łapiduchy zabrały twojego tatusia?

- Ta-ak. Jak go chowali na cmentarzu. Słyszałem, jak ziemia dudni o trumnę.

Łzy wykwitły na jego twarzy jak skroplona para.

- Więc jak? Powiedziałeś matce przed moją bytnością czy po?

- Chy-yba po. Jak pan sobie poszedł. Ostrzegła mnie, że jak pisnę komuś słówko, to mnie wsadzą do kryminału. - Spuścił potarganą głowę, popatrzył na mnie spode łba. - Wsadzą mnie?

- Nie wiem, Fryc, czy ty przypadkiem nie zabiłeś do spółki z Albertem kapitana Broadhursta?

Zdawał się wstrząśnięty tym przypuszczeniem.

- Po co mielibyśmy go zabijać?

Mogłem wymieni ć kilka powodów. Leo Broadhurst był szczęściarzem, oni pechowcami. Leo miał za żonę najbogatszą kobietę w okolicy. Leo uwiódł najładniejszą dziewczynę w mieście i zrobił jej dziecko, oni za to odpokutowali. Moje milczenie wprawiło Fryca w panikę.

- Jak Boga kocham, nie zabiłem go. Klnę się na Biblię. - Na stoliku leżała rzeczywiście Biblia. Fryc położył dłoń na czarnej płóci ennej oprawie. - Widzi pan, przysięgam na Biblię. Jak żyję, nikogo nie zabiłem. Nie lubię nawet polować na wiewiórki. Słabo mi się robi, jak nadepnę na ślimaka. One też czują.

Plakał teraz rześistymi łzami, pewnie nad cierpieniami wiewiórek i śmiercią ślimaków. Przez odgłosy jego chlipania usłyszałem na ulicy auto! Wyjrzałem przez okno. Za moim wozem zatrzymał, się stary biały Rambler. Wysiadła z niego pani Snow z wielką papierową torbą. Miała na sobie płaszcz od deszczu i spodnie. Wyszedłem jej na spotkanie, zamykając Frycowi drzwi przed nosem. Na mój widok pani Snow zamarła w pół kroku.

- Co pan tutaj robi?

- Rozmawiałem z pani synem.

- Nie mogę wyjść na chwilę z domu, żeby pan go nie nachodził.

- Przesadza pani. Fryc powiedział mi, że pochował kapitana Broadhursta. Wiem, że powiedział i pani, więc możemy nad tym przejść do porządku.

- Nonsens. Fryc opowiada bajki.

- Nie sędzę, proszę pani. Przed godziną ekshumowaliśmy zwłoki. Oczywiście nie ma jeszcze oficjalnego orzeczenia, ale przypuszczam, że Leo Broadhurst nie żyje od piętnastu lat.

- Fryderyk wiedział to i nic mi nie powiedział?

- Powiedział pani wczoraj. Zagryzła wargę.

- Opowiedział mi jakąś bajeczkę. Byłam pewna, że to wysane z palca. - Twarz rozjaśniła jej się niepokojąco. - Może sobie to wszystko wymyślił. Zawsze mu się roi w głowie.

- Nie wymyślił trupa, proszę pani.

- Wie pan na pewno, że to kapitan Broadhurst?

- Prawie na pewno. Ciało było w jego czerwonym Porsche'u.

- Gdzie pan je znalazł?

- Niemal dokładnie w miejscu, gdzie zakopano Stanleya. Stanley szukał ciała ojca, kiedy go zabito. Zabił go prawdopodobnie ten sam człowiek, który zastrzelił kapitaną.

- Oskarża pan Fryderyka?

- Nie posuwałbym się tak daleko. Ale Fryc przyznaje się do pochowania go. Może być pociągnięty do odpowiedzialności za współudział.

- Pójdzie do więzienia?

- Możliwe.

Pani Snow wydawała się zdruzgotana. Jej chuda twarz, napięta na policzkach, przypominała maskę pośmiertną. Uświadomiło mi to, jak bardzo jest zaangażowana w los syna. Stała przez dłuższą chwilę bez słowa, popatrując to w jedną, to w drugą stronę ulicy, jakby gotowała się do odparcia ewentualnych sąsiedzkich prób okazania jej litości. Ale w zasięgu wzroku nie było nikogo prócz kilkorga smagłych dzieci, za małych, żeby się nami interesować.

Było wczesne popołudnie, lecz dzień się zasępił. Podniosłem wzrok na niebo. Czarne chmury zamykały je - jak zaciągane wieko. Miasto nabierało pod nimi niesamowitego blasku. Na trotuar i na nasze głowy zaczynał kropić drobny deszczyk.

Wielka papierowa torba z wiktuałami groziła lada chwila wysunięciem się z ramion pani Snow. Wziąłem ją i wniosłem za właścicielką do domu. Fryc zniknął w głębi mieszkania, lecz oboje czuliśmy jego ciężącą obecność. Pani Snow odniosła zakupy do kuchni. Wróciwszy do pokoju zauważyła, że Biblia na stoliku jest lekko przesunięta. Ułożyła ją dokładnie na środku, zanim się zwróciła do mnie:

- Fryderyk się zapłakuje w swoim pokoju. Nie może go pan posłać do więzienia. Nie przeżyje nawet pół roku. Wie pan, co kryminaliści robią z bezbronnymi chłopcami w więzieniu? Jakich dopuszczają się okrucieństw i wszeteczności?

Wiedziałem, ale nie chciałem się nad tym rozwodzić.

- Fryc nie jest chłopcem - powiedziałem i przypomniało mi się, że dokładnie te same słowa słyszałem czterdzieści osiem godzin temu z ust pani Broadhurst.

- Tak jakby był - odparła pani Snow. - Dla mnie pozostanie zawsze małym chłopcem. Przez całe życie usiłowałam go chronić, ale on łatwo ulega podszeptom. Robi, co mu źli ludzie powiedzą, a potem cierpi za cudze winy. Cierpi katusze. O mało nie umarł, kiedy go umieścili w obozie leśnym.

Jej drobne ciało wibrowało powściąganą emocją. Trudno było uwierzyć, że to ciało, niemal pozbawione piersi i bioder, wydało na świat tego wielkiego ni to chłopca, ni mężczyznę.

- Czego pani ode mnie oczekuje?

- Niech pan mi go zostawi. Niech pan mi się pozwoli opiekować nim jak dotąd.

- O tym zadecydują władze.

- Wiedzą już, co zrobił?

- Jeszcze nie.

- Musi im pan mówić?

- Niestety. W grę wchodzi morderstwo.

- Mówi pan ciągle o morderstwie kapitana Broadhursta?

- Tak. Mam nadzieję, że syn nie jest zamieszany również w drugie morderstwo?

- Oczywiście, że nie. - Zmierzyła mnie badawczo. - Powiem panu coś, czego nie powiedziałam dotąd żywej duszy. Twierdzi pan, że kapitan Broadhurst został zastrzelony?

- Wszystko na to wskazuje.

- Z pistoletu kaliber dwadzieścia dwa?

- Tego jeszcze nie wiemy. Co pani mi chciała powiedzieć?

- Zdaje się, że wiem, kto go zastrzelił. Nie mogłabym przysiąc, ale chyba wiem. Jeśli panu powiem i okaże się, że to prawda, wstawi się pan za Fryderykiem?

- Mogę spróbować.

- Na pewno pana wysłuchają. - Pokiwała z przekonaniem głową. - Obiecuję pan użyć swoich wpływów?

- Tak. Jakie pani ma informacje?

- To właściwie tylko przypuszczenia. Odkąd Stanley został zamordowany w sobotę, wszystko mi się powoli przypomina. Byłam owego wieczora w domu państwa Broadhurstów, pilnowałam Stanleya. Tej samej nocy Fryderyk wziął z bazy buldożer i w rezultacie wylali go z pracy. To wszystko się łączy.

- Co dokładnie się wydarzyło?

- Niech pan mi pozwoli mówić. - Opadła bezwładnie na fotel, jakby wyczerpana wysiłkiem pamięci. - Państwo Broadhurstowie pokłócili się tego dnia okropnie przy kolacji. Wchodziłam raz po raz do stołowego. Milkli w mojej obecności, ale nietrudno było się domyślić, że chodzi o kobietę, którą kapitan Broadhurst trzyma w domku myśliwskim. Z początku myślałam, że to pani Kilpatrick, bo w rozmowie padło jej nazwisko. Ale okazało się, że to ta mała Nickersonówna, Marta, i że ma z sobą córeczkę. Kapitan Broadhurst miał

zamiar wyjechać z nimi obiema. Kupił dla nich i dla siebie bilety na Hawaje i pani Broadhurst się o tym dowiedziała.

- W jaki sposób się dowiedziała?

- Od pana Kilpatricka, tak powiedziała. Miał w biurze podróży jakiegoś znajomego.

Doznałem niemal fizycznego wrażenia, że obraz na siatkówkach moich oczu nabiera nagle ostrości. Moi świadkowie zaczęli się dopełniać w zeznaniach.

- Jak mówiłam - ciągnęła pani Snow - to była gorsząca kłótnia. Pani Broadhurst wyliczyła kapitanowi długą listę jego przyjaciółek, a on na nią wskoczył, że to wszystko jej wina. Nie powtórzę panu wyzwisk, jakimi ją obrzucił wyrzaskując, że nie jest mu żoną od dziesięciu lat. Ostatecznie wyleciał jak oparzony z domu. Biedny Stanley trząśł się jak listek. Jadł kolację w kuchni, ale i tak wszystko słyszał. Był już duży, rozumiał, o co się kłóca. Wybiegł zatrzymać ojca, ale kapitan pognął jak wariat tym swoim sportowym wozem. Pani Broadhurst zaczęła się również zbierać do wyjścia. Stanley chciał z nią iść, ale go nie wzięła. Poprosiła, żebym go położyła do łóżka. Zrobiłam to, ale potem zajęłam się czymś w kuchni i Stanley mi się wymknął. Pamiętam wstrząs, jakiego doznałam na widok pustego łóżeczka, kiedy zajrzałam do jego pokoju.

Podniosła nie widzące oczy, wpatrzone w przeszłość.

- Drugi wstrząs przeżyłam szukając Stanleya po domu. Na biurku w gabinecie leżał futerał z pistoletami, które pani Broadhurst odziedziczyła po ojcu. Jednego pistoletu nie było, obok leżało otwarte pudełko z nabojami. Nie wiedziałam, co robić. W rezultacie nie zrobiłam nic. Czekałam, aż wrócą.

Siedziała w fotelu na biegunach zrezygnowana, lecz w pozycji wyczekującej, jakby dotąd czekała na zakończenie tamtego wieczoru.

- Nie było ich przeszło godzinę. Wrócili w końcu razem, matka z synem. Mieli nogi mokre od rosy, byli bladzi i wystraszeni. Pani Broadhurst czym prędzej zapakowała Stanleya do łóżka, po czym mnie zwolniła. Wróciwszy do domu stwierdziłam, że mojego własnego syna nie ma w łóżku. To była fatalna noc dla matek.

- Dla synów też - przypomniałem. - Myśli pani, że Stanley był świadkiem zabójstwa ojca?

- Nie wiem. Wiem tylko, że słyszał strzał. Powiedział mi potem, że mamusia zabiła sowę. W ten sposób wytłumaczyła mu strzał. Ale pewnie podejrzewał, że zastrzeliła jego ojca. Przypuszczam, że nurtowało go to przez całe życie, tylko nie miał odwagi spojrzeć prawdzie w oczy. Dlatego do ostatniego dnia szukał dowodów, że ojciec żyje.

- Rozmawiał z panią o śmierci ojca?

- O śmierci nie. Nigdy nie wspominaliśmy śmierci. Ale snuł czasem przypuszczenia, co się mogło stać z jego ojcem. Pytał mnie, co o tym myślę. Opowiadałam mu historyjki. Że wyjechał gdzieś do obcych krajów, może do Australii, i kto wie, czy pewnego pięknego dnia nie zjawi się z powrotem. - Podniosła na mnie błyszczące z przejęcia oczy. - Co innego mogłam zrobić? Nie mogłam mu przecież powiedzieć, że podejrzewam jego matkę o zastrzelenie jego ojca.

- A swego syna o pochowanie go.

- Tego wówczas nie wiedziałam. - Ale uciekła szybko od tego tematu. - Zresztą gdybym nawet wiedziała, nie powiedziałabym Stanleyowi ani nikomu. Kobieta ma obowiązek chronić swoich bliskich.

ROZDZIAŁ XXXIII

Pożegnałem się z nią i w ulewnym deszczu pojechałem do szpitala. Był to trzypiętrowy budynek, ciągnący się wraz z przychodniami i z zabudowaniami administracyjnymi od jednej przecznicy do drugiej. Różowa wolontariuszka dyżurująca w hallu potwierdziła, że pani Broadhurst wolno przyjmować wizyty, i podała mi numer jej pokoju na trzecim piętrze.

Najpierw jednak musiałem wstąpić do prosektorium. Kancelaria i pracownie oddziału anatomopatologu mieściły się na parterze, w końcu mdląco zielonego korytarza, oznaczonego rurami centralnego ogrzewania. Na drzwiach widniał napis: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”.

Za nimi powitał mnie z chłodną grzecznością ascetyczny mężczyzna w białym kitlu. Na jego biurku stała tabliczka z nazwiskiem: „Dr W. Silcox”. Na moje pytanie odparł, że zwłok Leona Broadhursta jeszcze nie przywieziono, ale spodziewają się ich lada chwila. Jego oczy za rogowymi okularami zabłysły czymś na kształt zawodowego zainteresowania.

- Podobno sporo z niego zostało?

- Sporo. Powinien pan znaleźć ślady kuli na czaszce. Rozmawiałem z paroma osobami, które twierdzą, że został zabity strzałem w głowę. Ale na zeznaniach świadków nie można zbyt polegać. Potrzebujemy konkretnych dowodów.

- Po to jestem. Na ogół dowiaduję się więcej od martwych niż od żywych.

- Czy ciało Stanleya Broadhursta jest jeszcze tutaj?

- Jest w kostnicy. Chce pan zobaczyć?

- Widziałem. Chcę się upewnić, co było przyczyną zgonu.

- Liczne rany kłute, zadane długim nożem.

- Z przodu czy z tyłu?

- Z przodu, w brzuch. Ponadto znalazłem ślad uderzenia motyką w podstawę czaszki.

Jadąc windą na górę, omal nie zazdrościłem Silcoxowi jego milczących świadków. Byli ponad wszelki fałsz, nie cierpieli już i nie zadawali cierpienia.

Na trzecim piętrze zameldowałem się u młodej pielęgniarki w dyżurce przy windzie. Oświadczyła mi, że pani Broadhurst czuje się znacznie lepiej, ale mimo wszystko powinienem ograniczyć wizytę do dziesięciu, piętnastu minut. Zapukałem do drzwi jej separatu i ze środka dobiegło zaproszenie do wejścia.

Pokój tonął w kwiatach, zarówno ogrodowych, jak szklarnianych - różach, goździkach, egzotycznych lilakach. Na toalecie stał wazon żonkili, o jego dół opierał się bilet wizytowy Briana Kilpatricka. Pani Broadhurst siedziała w fotelu koło okna ociekającego deszczem. Była w kolorowym szlafroku, wzorzystym jak nagromadzone w pokoju kwiaty, i wyglądała nadspodziewanie dobrze. Ale w jej oczach czaiła się rozpacz, która odjęła mi na chwilę mowę. Pani Broadhurst odezwała się pierwsza:

- Pan Archer, prawda? Cieszę się, że pana widzę. Chciałam panu podziękować.

Wszystkiego się spodziewałem, tylko nie tego.

- Podziękować? Za co?

- Za uratowanie mego wnuka. Właśnie dzwoniła synowa. Teraz, kiedy mój syn... Stanley... kiedy on nie żyje, pozostał mi tylko Ronnie.

- Ronnie to zuch. Nic mu nie będzie.

- Gdzie go pan odnalazł? Nie bardzo mogłam się połapać w tym, co mówi Jean.

Podąłem jej skondensowaną wersję wydarzeń ostatnich dwu dni. W konkluzji powiedziałem:

- Niech pani nie wini zbytnio Susan. Była świadkiem zabójstwa pani syna, mogła stracić głowę. Myślała tylko o ratowaniu małego.

Powiedziawszy to uświadomiłem sobie, że Susan była świadkiem dwu zabójstw - w odstępie piętnastu lat. Jeśli pani Broadhurst zamordowała męża, czy możliwe, żeby zamordowała również syna? Albo kazała go zamordować? Nie umiałem odpowiedzieć na to pytanie. Stwierdziłem, że nie potrafię go również zadać kobiecie w fotelu przede mną. Nie przeszłoby mi przez gardło w pokoju pełnym kwiatów od jej przyjaciół, pełnym jej kruchej wdzięczności. Jak często bywa w takich wypadkach, pani Broadhurst sama naprowadziła rozmowę na właściwe tory.

- Ciągle nie bardzo rozumiem historię z tą dziewczyną. Jak ona się nazywa?

- Susan Crandall.

- Tak. Czego ona właściwie szukała z moim synem i wnukiem w kanionie?

- Myślę, że odpowiedzi na zagadkę przeszłości.

- Nic mi to nie mówi. Jestem dzisiaj wyjątkowo ociężała.

Irytacja w jej głosie i wzroku była zwrócona w równej mierze przeciwko niej samej, co przeciwko mnie.

- Susan była już kiedyś w domku myśliwskim - powiedziałem. - Jako mała dziewczynka spędziła tam noc z matką. Może pani pamięta jej matkę? Służyła zdaje się u państwa. Nazywała się wówczas Marta Nickerson.

Jej rozdrażnienie się spotęgowało.

- Z kim pan rozmawiał?

- Z wieloma osobami. Pani jest bodaj że ostatnia na liście. Miałem nadzieję, że pomoże mi pani odtworzyć wydarzenia owej nocy w domku myśliwskim. To było mniej więcej przed piętnastu laty.

Potrząsnęła głową, pół odwrócona twarzą ode mnie. Widziana z profilu, jej głowa przypominała klasyczny medalion z zadeszczonym miastem w tle.

- Niestety nie mogę panu pomóc. Nie było mnie tam.

- Był pani mąż.

Mięśnie napięły się na jej szyi. Obróciła głowę w moją stronę.

- Skąd pan może wiedzieć?

- Pani mąż już stamtąd nie wrócił. Został zastrzelony i pochowany w pobliżu. Ekshumowaliśmy go dzisiaj.

- Rozumiem. - Nie powiedziała, co rozumie, ale oczy jej zmaląły i pociemniały od tej wiedzy, a kości policzkowe się uwydatniły. Wyraz jej twarzy przypominał mi ekshumowaną czaszkę. - To już koniec.

- Niezupełnie.

- Dla mnie tak. Mówi pan, że obaj moi mężczyźni nie żyją. Mąż i syn. Utraciłam wszystko, co kochałam.

Usiłowała przybrać tragiczną pozę, ale był w tym jakiś fałsz, który jej słowa pozbawił rezonansu, nadając im przesadne i puste brzmienie. Przed oczami stanęły mi dwuznaczne słowa, którymi charakteryzowała swego ojca, i koślawe rzędkie jej pisma rozbiegające się w chaosie po papierze.

- Wie pani od piętnastu lat, że pani mąż nie żyje i jest pochowany w kanionie.

- Nieprawda. - Ale jej głos był ciągle pozbawiony przekonania, jakby recytowała wyuczoną lekcję, nasłuchując jednocześnie jej brzmienia. - Ostrzegam, że jeśli pan wystąpi z tym oskarżeniem publicznie...

- Rozmawiamy jak najbardziej prywatnie, proszę pani. Nie potrzebuje się pani przede mną maskować. Wiem, że pani się pokłóciła tego wieczora z mężem i poszła za nim do domku myśliwskiego.

- Skąd pan może wiedzieć, jeśli to nieprawda? - Prowadziła zwykłą grę ludzi winnych, indagowanie indagującego, odbijania piłeczki prawdy tak długo, aż się zaprzepaści. - Skąd pan w ogóle ma te rzekome informacje? Od Susan Crandall?

- Częściowo.

- To niezbyt wiarygodny świadek. Z tego, co pan mówi, wygląda, że jest niezrównoważona psychicznie. Poza tym miała w tym czasie nie więcej niż trzy, cztery latka. To wszystko wytwór jej fantazji.

- Trzylatki umieją widzieć i słyszeć. I mają pamięć. Zebrałem dosyć dowodów na to, że była w domku myśliwskim i widziała albo słyszała strzał. Jej relacja znajduje potwierdzenie w relacjach innych osób. Tłumaczy także jej irracjonalne zachowanie.

- Więc przyznaje pan, że jest niezrównoważona?

- Ma uraz na tym punkcie. A propos urazów: czy przypadkiem Stanley nie był również świadkiem strzału?

- Nie! To niemożliwe!

Wciągnęła głośno powietrze, jakby dla cofnięcia niebaczących słów.

- Skąd pani wie, jeśli pani tam nie było?

- Byłam ze Stanleyem w domu.

- Nie myli się pani? Ja wiem, że pobiegł za panią do kanionu i słyszał strzał, od którego zginął jego ojciec. Przez całą resztę życia usiłował to wymazać z pamięci względnie zdobyć dowód, że to był tylko zły sen.

Do tej pory rozmawiała ze mną jak adwokat, który wątpi w niewinność swego klienta. Teraz dała za wygraną.

- Czego pan ode mnie chce? Pieniędzy? Zostałam już doszczętnie ograbiona. - Zrobiła pauzę i posłała mi rozpaczliwe spojrzenie. - Niech pan tylko nie mówi mojej synowej, że nic nie mam. Nie zobaczyłabym więcej Ronniego.

Byłem pewien, że się myli, ale nie chciałem z nią dyskutować.

- Kto panią ograbiał? - zapytałem. - Nie mam ochoty o tym mówić.

Wziąłem z toaletki bilet Kilpatricka, tak żeby widziała.

- Jeśli ktoś panią szantażuje, ma pani okazję z tym skończyć.

- Powiedziałałam, że nie chcę o tym mówić. Nikomu nie mogę ufać. Od śmierci ojca nikomu.

- Chce pani, żeby to trwało?

Posłała mi niechętne, pełne goryczy spojrzenie.

- Nie chcę, żeby cokolwiek trwało. Nie wyłączając życia. A już najmniej ta rozmowa. Ta inkwizycja.

- Mnie też to nie sprawia specjalnej przyjemności.

- Więc niech pan sobie idzie. Nie zniosę tego dłużej.

Ścisnęła poręczę fotela tak, że zbieleły jej kostki dłoni, i dźwignęła się ciężko na nogi. Nie pozostało mi nic innego jak wyjść.

Musiałem zebrać na nowo siły przed powrotem do prosektorium. Znalazłem drzwi na wąskie schody zapasowe i zacząłem schodzić bez pośpiechu. Betonowe schody z szarymi metalowymi poręczami, zamknięte w betonowej studni bez okien, przypominały swoją brzydotą i faktyczną niezniszczalnością więzienie. W połowie drogi zatrzymałem się na podeście próbując sobie wyobrazić panią Broadhurst w więzieniu.

Na dobrą sprawę wypełniłem swoje zadanie w momencie, gdy odwiozłem Ronniego matce. To, co zostało do zrobienia, musiało być nieuchronnie przykre i bolesne. Nie odczuwałem potrzeby dowodzenia za wszelką cenę, że pani Broadhurst zamordowała męża. Żądza odwetu stygła w mojej piersi w miarę, jak się robiłem starszy. Bardziej teraz przemawiała do mnie życiowa ekonomia chronienia wartości najbardziej na to zasługujących. Bez wątplenia należało do nich życie ludzkie. Ale Leo Broadhurst został zamordowany w afekcie przed wieloma laty i miałem poważne wątpliwości, czy jakakolwiek ława przysięgłych uzna obecnie wdowę po nim winną czegoś więcej niż zabójstwa w stanie ograniczonej poczytalności..

Co do pozostałych morderstw, było wysoce nieprawdopodobne, by pani Broadhurst miała powód do zamordowania syna i fizyczną możliwość zamordowania Alberta Sweetnera. Mówiłem sobie, że mało mnie obchodzi, kto ich zamordował. Ale obchodziło. Sprawa miała w sobie rodzaj spiralnej symetrii, która jak te schody nieuchronnie prowadziła na mdląco zielony korytarz, gdzie za drzwiami z ostrzegawczym napisem doktor Silcox badał swoich milczących świadków.

Przeszedłem przez gabinet i otworzyłem stalowe drzwi prosektorium. Na nierdzewnym blacie pod lampą bezcieniową leżało to, co pozostało z Leo Broadhursta. Silcox obmacywał sondą czaszkę, której klasyczne linie pozostały jedynym świadectwem, że Leo

był kiedyś przystojnym mężczyzną. W półcieniu pod ścianą stali Kelsey i zastępca koronera, Purvis. Przeszedłem koło nich do stołu.

- Są ślady postrzału?

Silcox podniósł wzrok znad swojej roboty.

- Tak. Znalazłem to.

Wziął z blatu ołowianą kulę i pokazał mi na otwartej dłoni. Wyglądała na spłaszczony pocisk z dwudziestki dwójki.

- Gdzie przebiła kość?

- Nie ma śladów przebicia. Znalazłem tylko małe powierzchowne wgniecenie, które nie mogło spowodować zgonu.

Błyszczącym czubkiem sondy wskazał płytką bruzdkę po kuli na froncie czaszki.

- Więc co spowodowało zgon?

- To.

Podsunał mi odbarwiony trójkącik, który zabrzączał, gdy go upuścił na stół. W pierwszej chwili myślałem, że to grot indiańskiej strzały. Dopiero wzięwszy do ręki stwierdziłem, że to czubek noża rzeźnickiego.

- Tkwił w żebrach - wyjaśnił doktor. - Widocznie się ułamał przy wyciąganiu noża.

- Czy Broadhurst został ugodzony z przodu, czy z tyłu?

- Przypuszczalnie z przodu.

- Mogła to zrobić kobieta?

- Czemu nie? Jak pan sądzi, Purvis?

Młody zastępca koronera wysunął się z cienia pod ścianą, wkraczając między mnie a Silcoxa.

- Pomówimy o tym bez świadków - powiedział do doktora, po czym zwrócił się do mnie: - Przykro mi psuć panu zabawę, panie Archer, ale nie ma pan prawa przebywać w prosektorium. Widział pan napis na drzwiach: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Pan jest nieupoważniony.

Myślałem, że to może tylko młodzieńcza służbistość.

- Więc niech mnie pan upoważni. Będę upoważniony.

- Nie mogę tego zrobić.

- Kto to powiedział?

- Otrzymuję instrukcje od szeryfa-koronera.

- A od kogo on otrzymuje instrukcje?

Krew uderzyła młodemu funkcjonariuszowi do głowy. Jego twarz zrobiła się purpurowa i porowata w ostrym świetle.

- Niech pan się stąd wynosi!

Popatrzyłem na Kelseya, który stał zakłopotany pod ścianą. Powiedziałem do obydwu:

- Rany, przecież to ja wykryłem morderstwo.

- To pana nie upoważnia do przebywania tutaj. Purvis położył dłoń na kolbie pistoletu.

Nie znałem go wystarczająco, nie miałem pewności, czy mnie nie zastrzeli. Wyszedłem z prosektorium. Gniew i zawód pulsowały mi w skroniach falami gorąca i goryczy. Kelsey wyszedł za mną na korytarz.

- Przykro mi, Archer.

- Ale z pomocą pan się nie pokwapił. Jego szare oczy błysnęły i pojawił się w nich twardy wyraz. Lecz uśmiech pozostał na wargach.

- Przyszły z góry instrukcje w pańskiej sprawie. Kazano mi się ściśle trzymać przepisów.

- Co mówią przepisy?

- Wie pan równie dobrze, jak ja. Jeśli sprawa podlega kompetencjom miejscowych władz, każą się podporządkować ich zarządzeniom.

- Co oni knują? Chcą pogrzebać tę historię na następne piętnaście lat?

- Zrobię wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Ale moim właściwym zadaniem jest ustalenie przyczyny pożaru.

- Morderstwa i pożar się łączą. Sam pan wie.

- Niech pan mi nie mówi, co wiem.

Zrobił w tył zwrot i wrócił do nieboszczyka i osób upoważnionych.

ROZDZIAŁ XXXIV

Gdy wyszedłem ze szpitala, lało bardziej niż przedtem. Ulicą płynęła woda zmywając do oceanu pokłady letniego pyłu. W miarę wznoszenia się terenu było jej coraz więcej. Jadąc w górę kanionu pani Broadhurst miałem wrażenie, że płynę pod prąd płytką rzeczką. Z daleka słychać było szum wezbranego potoku za ranczerskim dworkiem.

Na podjeździe przed domem stał Cadillac Briana Kilpatricka. Na przednim siedzeniu siedziała platynowa blondynka, której w pierwszej chwili nie poznałem. Dopiero podszedłszy do czarnej limuzyny zobaczyłem, że to kobieta, którą Kilpatrick przedstawił mi jako swoją narzeczoną.

- Co słyszeć? - zapytałem.

Uchyliła elektrycznie sterowane okno i przyjrzała mi się w strumieniach ulewy.

- Czy my się znamy?

- Poznaliśmy się w sobotę u pani narzeczonego.

- Naprawdę? Musiałam być ululana. Rozciągnęła wargi zapraszając mnie uśmiechem do współnictwa. Wypadło to żałośnie, podkreślając jej całą niepewność.

- Była pani, nie da się zaprzeczyć. Ponadto była pani brunetka.

- Miałam perukę. Zmieniam kolor włosów zależnie od nastroju. Wszyscy mi mówią, że jestem wyjątkowo nastrojowa.

- To widać. W jakim nastroju jest pani dzisiaj?

- Prawdę mówiąc, jestem przerażona tym potopem. Nad domem Briana osuwa się zbrocze, w patio są już tony błota. Dlatego z nim przyjechałam. Nie jestem zbyt zachwycona tym siedzeniem w aucie.

- Po co Brian tu przyjechał?

- Powiedział, że za interesem.

- Do Jean Broadhurst?

- Wymienił chyba to nazwisko. Zadzwoiła do niego jakaś kobieta, gwał na złamanie karku. Hej, niech pan mu powie, żeby się pośpieszył! - zawołała, gdy się odwróciłem w stronę domu.

Wszedłem bez pukania i ostrożnie zamknąłem za sobą drzwi. Łoskot potoku przeszedł w pomruk, pozostał jednak dość głośny, by zagłuszyć drobne szmery moich poruszeń. W salonie nie było nikogo, ale z pokoiku za nim sączyło się światło. Zbliżywszy się usłyszałem głos Jean:

- Nie podoba mi się to. Jeśli teściowa potrzebuje tych rzeczy, to czemu nie poprosiła mnie?

- Nie chciała pani niepokoić - odpowiedział Kilpatrick na odczepnego.

- Ale mnie niepokoi. Po co jej w szpitalu rachunki i pistolety?

- Pewnie chce doprowadzić do porządku interesy na wypadek, gdyby jej się coś stało.

- Nie zamierza chyba popełnić samobójstwa? Powiedziała to cichym, zdławionym głosem.

- Na pewno nie.

- Więc po co jej pistolety?

- Tego mi nie powiedziała. Spełniam tylko jej życzenie. W końcu jestem jej współnikiem.

- Mimo wszystko nie mogę panu...
- Przed chwilą do mnie dzwoniła.
- Spróbuję z nią porozmawiać.
- Nie radziłbym.

W głosie Kilpatricka była groźba. Rozległ się szurgot nóg, potem zdumiony kobiecy wdech. Wsunąłem się w drzwi. Jean leżała na czarnej skórzanej kozetce. Twarz miała bladą, oddychała ciężko. Nad nią stał Kilpatrick ze słuchawką telefoniczną w ręce.

- Może chciałby się pan zmierzyć z równym sobie? - zapytałem.

Zrobił taki ruch, jakby miał się na mnie rzucić, ale w porę spostrzegł, że tylko na to czekam. Krew odpłynęła mu z twarzy, popękane żyłki wystąpiły jak zadrapania. Posłał mi zawstydzony uśmiezek, ale w jego zaczerwienionych oczach malował się strach.

- Mieliśmy z Jean małe nieporozumienie. Nic poważnego.

Jean wstała, obciągnęła spódnicę.

- Dla mnie to bardzo poważne. Popchnął mnie. Chce zabrać rzeczy teściowej.

Wskazała czarną teczkę koło biurka. Podniosłem ją.

- Niech pan odda - powiedział Kilpatrick. - To moja własność.

- Może kiedyś pan ją odbierze. Ale nie tak prędko.

Sięgnął po teczkę. Cofnąłem rękę poza zasięg jego ramienia. Tym samym ruchem natarłem na niego barkiem. Zrobił parę kroków w tył, uderzył ciężko o ścianę i osunął się jak zawieszony kołnierzem na haku. Obmacałem go, czy nie ma broni, ale nic nie znalazłem. Na jego twarzy malował się bezgraniczny zawód, którego próbkę miałem już wczoraj. Tracił wszystko, czuł, jak mu się wymyka z rąk.

- Wniosę na pana skargę do szeryfa Tremaine - powiedział.

- Świetna myśl. Zainteresuje go, co pan zrobił z panią Broadhurst.

- Jestem jej najlepszym przyjacielem, jeśli pan chce wiedzieć. Od lat prowadzę jej interesy.

- Ona to nazywa grabieżą. Zaskoczyło go to.

- Tak powiedziała?

- Powiedziała, że została doszczętnie ograbiona. Nie podoba się panu?

Ciągle tkwił bezwładnie pod ścianą. Rudawe włosy, pociemniałe od potu, opadły mu na wysokie piegowate czoło. Odgarnął je palcami, jakby schludny wygląd mógł jeszcze wszystko zmienić.

- Zawiodłem się na niej - powiedział. - Myślałem, że ma więcej rozumu. I więcej wdzięczności. Ale czego można się spodziewać po kobiecie?

Popatrzył na mnie, czy się nie dogadamy na gruncie antyfeminizmu.

- Tak, nie poczuwa się do żadnej wdzięczności. Do żadnej wdzięczności za szantażowanie jej przez piętnaście lat, za ograbienie z majątku rodzinnego. Kobiety to okropne niewdzięcznice.

Nie mógł znieść niesprawiedliwości moich słów. Oczy; rozgorzały mu goryczą, usta się wykrzywiły.

- Nie zrobiłem nic sprzecznego z prawem. Czego się nie da powiedzieć o niej. Naopowiadała panu o mnie łgarstw, ale zapomniała pewno wspomnieć, co sama zrobiła.

- Co zrobiła?

Nie powinienem był pytać wprost. Przypomniało mu to, że bezpieczniej trzymać język za zębami.

- Zastanowię się, czy panu powiedzieć.

- Wobec tego ja panu powiem. Pani Broadhurst zastrzeliła męża. Prawdopodobnie pan ją popchnął do tego. Na pewno maczał pan w tym palce.

- To kłamstwo.

- A kto jej doniósł, że Leo wybiera się na Hawaje? To doprowadziło do krytycznej awantury.

Podniósł na mnie oczy, ale zaraz uciekł z nimi w bok.

- Myślałem, że wyjeżdża z moją żoną.

- Żona rzuciła pana wcześniej.

- Miałem nadzieję, że do mnie wróci.

- Jeśli znajdzie pan sposób pozbycia się Leona?

- Nie miałem takich zamiarów - powiedział.

- Nie miał pan? Doprowadził pan Broadhurstów do kłótni. Wieczorem obserwował pan domek myśliwski. Chciał pan wiedzieć, czym się skończy awantura. Widział pan, jak pani Broadhurst strzela do męża, albo słyszał pan strzał. Ponieważ kula nie zabiła Leona, dokończył pan dzieła nożem.

- Nic takiego nie zrobiłem.

- Ktoś zrobił. Pan tam był. Nie zaprzeczył pan.

- Teraz zaprzeczam. Nie zastrzeliłem go ani nie zasztyletowałem.

- Więc może pan powie, co pan zrobił.

- Byłem biernym świadkiem, to wszystko. Parsknąłem mu w twarz, choć nie było mi wcale do i śmiechu. Przykro patrzeć, jak z mężczyzny robi się mały przerażony szczurek Nawet z takiego mężczyzny jak Kilpatrick.

- Dobrze, bierny świadku. I co się wydarzyło?

- Przypuszczam, że pan dobrze wie. Ale ode mnie pan tego nie usłyszysz. A w ogóle, jeśli pan ma odrobinę oleju w głowie, nie będzie mi pan wchodził w drogę. Żądam mojej teczki.

- Będzie ją pan musiał odebrać.

Popatrzył na mnie, jakby to rozważał. Ale woła walki i nadzieja już się w nim dopaliły. Miraż sukcesu prysnął i Kilpatrick zaczynał się wczuwać w rolę człowieka przegranego. Odwrócił się i wyszedł bez słowa z pokoju. Dopiero zatrzasnąwszy drzwi wyjściowe zawołał do mnie:

- Przepędzę pana z miasta!

Jean podeszła bezszelestnie, z wyciągniętą dłonią, jakby była w obcym miejscu i nagle ogarnęły ją ciemności.

- Czy to wszystko prawda? - zapytała.

- Co?

- To, co pan powiedział o Elizabeth.

- Niestety tak.

Chwyciła się mego ramienia, oparła ciężko.

- To ponad moje siły. Jak długo to się będzie ciągnęło?

- Już chyba niedługo. Gdzie Ronnie?

- Śpi. Był senny.

- Niech pani go obudzi i ubierze. Zawiozę was do Los Angeles.

- Teraz?

- Im prędzej, tym lepiej.

- Ale dlaczego?

Miałem kilka powodów. Wołałem pominąć milczeniem najważniejszy: że nie wiem, czego się spodziewać po Kilpatricku. Pamiętałem rewolwer, który przechowywał w szufladzie baru i którym najwyraźniej gotów był się posłużyć. Zaprowadziłem Jean do wielkiego okna w rogu salonu i pokazałem jej potok, który się zamienił w rwącą czarną rzekę, zdolną unieść zwalone drzewa. Kilka z nich już utworzyło naturalną tamę, spiętrzając wodę niedaleko domu. Z góry kanionu dochodził grzmot głazów toczących się kamienistym łożyskiem potoku. Przypominało to łoskot kul w kręgielni.

- Tym razem dom może nie wytrzymać - powiedziałem.

- Nie dlatego chce nas pan stąd zabrać.

- Nie tylko dlatego. Będziecie oboje bezpieczniejsi w Los Angeles. Ja też mam tam sprawę. Muszę się zameldować u kapitana Shipstada. Wolę mieć do czynienia z nim niż z miejscową policją.

Korzyści współpracy z Arniem stały się nadto oczywiste w ciągu ostatniej godziny. Postanowiłem od razu do niego zadzwonić. Wróciłem do gabinetu i nakręciłem jego numer służbowy. W tonie Arniego był dystans i chłód.

- Spodziewałem się wcześniej twojego telefonu.

- Przepraszam. Musiałem pojechać do Sausalito.

- I co, spędziłeś przyjemnie weekend? - zapytał w beznamiętny skandynawski sposób.

- Nie bardzo. Odkryłem drugie morderstwo. Dawne. Zacząłem mu relacjonować okoliczności śmierci Leo Broadhursta.

- Zaraz, zaraz - przerwał. - Chcesz powiedzieć, że Broadhursta zastrzeliła żona?

- Strzeliła do niego, nie wiem, czy strzał był śmiertelny. W żebrach miał odłamany koniuszek noża. Oczywiście, mogła go dźgnąć na dokładkę.

- Mogła również zabić Alberta Sweetnera?

- Nie bardzo widzę, jak. W sobotę wieczorem leżała w szpitalu w Santa Teresa. Morderstwo w Northridge musiał popełnić ktoś inny.

- Kogo podejrzewasz?

Zamilkłem na chwilę dla zebrania myśli. Arnie się zniecierpliwił.

- Jesteś, Lew?

- Jestem. Mam trzech głównych podejrzanych. Numer jeden, miejscowy pośrednik sprzedaży nieruchomości, Brian Kilpatrick. Wiedział, że Elizabeth zastrzeliła męża. Wygląda, że mu się okupuje do dziś dnia. To mogło być motywem zabójstwa Stanleya Broadhursta i Alberta Sweetnera.

- W jaki sposób?

- Kilpatrick był materialnie zainteresowany w utrzymaniu pierwszego zabójstwa w tajemnicy.

- Szantaż?

- Powiedzmy, zamaskowany szantaż. Niewykluczone również, że sam dobił Leo Broadhursta. Jeśli tak, miał znacznie ważniejszy powód do zamknięcia ust tamtym dwom. Albert Sweetner wiedział, gdzie jest pochowany Leo, Stanley próbował go odkopać.

- Ale dlaczego Kilpatrick miałby dobijać Leo Broadhursta?

- Bo mu ukradł żonę. Ponadto, jak powiedziałem, wietrzył w tym grubszą forszę.

- Opisz go, Lew, dobrze?

- Jakies czterdzieści pięć lat, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi. Oczy niebieskie, włosy rudawe, falujące, lekko przerzedzone na czubku. Na nosie i policzkach popękane żyłki. - Zrobiłem pauzę. - Widziano go w sobotę w Northridge?

- Na razie ja zadaję pytania. Ma jakieś znaki szczególne?

- Widocznych nie.

- Kim są dalsi podejrzani?

- Motelarz nazwiskiem Lester Crandall to numer dwa. Ciężki, przysadzisty, metr siedemdziesiąt wzrostu, osiemdziesiąt kilo wagi. Szpakowate włosy, długie baki. Zalatuje od niego trochę kmiotkiem, którym jest z pochodzenia. Ale jest bystry i nadziany.

- Ile ma lat?

- Powiedział, że kończy sześćdziesiąt. Miał równie dobry powód do stuknięcia Leo Broadhursta, co Kilpatrick.

- Sześćdziesiątka to za dużo - uciął Arnie.

- Przyśpieszyłoby sprawę, gdybyś wyłożył karty na stół. Masz opis i usiłujesz dopasować osobę, tak?

- Tak jakby. Problem w tym, że nie mogę w stu procentach polegać na swoim informatorze. Potrzebuję niezależnego potwierdzenia. Kto jest trzecim podejrzanym?

- Była żona Kilpatricka. Mogła zabić Leo Broadhursta. Rozbił jej małżeństwo, po czym wystawił ją do wiatru.

- To nie kobieta - oświadczył Arnie. - A jeśli tak, cała moja teoria bierze w łeb. Czy żaden inny dorosły mężczyzna nie miał motywów i okazji do zabójstwa?

Odpowiedziałem powoli, z ciężkim sercem:

- Ogrodnik Fryc Snow, który swoim buldożerem zakopał Leo Broadhursta razem z autem. Nie wydaje mi się zdolny do popełnienia morderstwa, ale faktem jest, że Leo mu się naraził. Albert Sweetner zresztą też.

- Ile lat ma Snow?

- Trzydzieści pięć, sześć.

- Jak wygląda?

- Metr siedemdziesiąt pięć, siedemdziesiąt kilo. Włosy kasztanowe, twarz pucołowata, oczy zielone. Płaczliwy, nie zrównoważony. Podobno to dziedziczne.

- Ma jakieś defekty fizyczne?

- Przede wszystkim zajęczą wargę.

- Czemu od razu tak nie mówisz?

Odsunąłem słuchawkę od ucha, bo Arnie podniósł głos. W drzwiach stała Jean trzymając się oburącz futryny.

Nie spuszczała ze mnie wzroku. Twarz miała bladą, oczy ciemniejsze niż kiedykolwiek.

- Gdzie jest ten Fryc Snow? - zapytał Arnie.

- Półtorej mili od miejsca, skąd dzwonię. Chcesz, żebym go przywiózł?

- Nie, muszę to załatwić drogą służbową.

- Pozwól mi z nim przedtem pomówić, Arnie. Nie mieści mi się w głowie, żeby zabił trzech ludzi. Czy choćby jednego.

- Mnie się mieści - odparł Arnie. - Peruka, wąsy i broda, które miał na sobie Albert Sweetner, nie były jego własnością. Nie pasowały. Według mojej teorii należały do zabójcy, który założył je Sweetnerowi dla wyprowadzenia nas w pole. Kazałem przeczesać sklepy i wytwórnie peruk. Okazało się, że twój numer czwarty kupił je z przeceny na Vine Street w sklepiku o dźwięcznej nazwie „Peruk Huk”.

Nie chciałem wierzyć.

- Mógł je kupić dla Alberta Sweetnera.

- Mógł, ale nie zrobił tego. Kupił je miesiąc temu, kiedy Sweetner siedział jeszcze w Folsom. Wiemy, że kupił je dla siebie. Prosił specjalnie o wąsy, które by zakryły bliznę na górnej wardze.

- Fryc? - zapytała Jean, gdy odłożyłem słuchawkę.

- Tak wygląda.

Opowiedziałem jej o peruce, brodzie i wąsach kupionych przez Fryca. Jean zagryzła wargi.

- Powinnam była słuchać Ronniego.

- Poznał Fryca w sobotę w kanionie?

- Tego nie wiem. Ale parę tygodni temu powiedział mi, że widział Fryca z brodą i długimi czarnymi włosami.

Kiedy chciałam się dowiedzieć czegoś bliższego, wykręcił się, że to bajka.

Poszliśmy oboje do pokoju, w którym spał chłopiec. Przebudził się raptownie pod dotknięciem matki. Usiadł tuląc poduszkę, drżący, z szeroko otwartymi oczami. Miałem pierwszy dowód, jak głęboko przeżył tragiczne wydarzenia.

- Bałem się, że mnie złapie czarny lud - wykrztusił.

- Nie pozwolę cię złapać - powiedziałem.

- Tatusia złapał.

- Ciebie nie złapie.

Matka wzięła go na ręce i przez chwilę wydawał się zadowolony. Ale szybko zniecierpliwiała go czysto kobieca troskliwość. Oswobodził się i stanął na wysokim łóżku, z oczami prawie na poziomie mego wzroku. Podskoczył na materacu, przez moment był ode mnie wyższy.

- Czy to Fryc jest czarnym ludem? - zapytałem. Popatrzył na mnie w popłochu.

- Nie wiem.

- Widziałeś go kiedyś z długimi czarnymi włosami? Pokiwał skwapliwie głową.

- Iz brodą - powiedział bez tchu. - Iz tymi... jak się nazywają?

Dotknął palcami górnej wargi.

- Kiedy to było, Ronnie?

- Jak byłem ostatni raz z wizytą u babci Neli. Poszedłem do stodoły i Fryc tam był, miał długie włosy i brodę. Oglądał fotografię jednej pani.

- Znasz tę panią?

- Nie. Ona była bez ubrania. - Minę miał zakłopotaną i wystraszoną. - Niech pan mu nie mówi, że wygadałem. Powiedział, że jak wygadam, to mnie spotka coś złego.

- Nic złego cię nie spotka. - Nie ciebie, dodałem w myśli. - Czy w sobotę też widziałeś Fryca z długimi włosami?

- W sobotę?

- W kanionie, koło domku myśliwskiego. Popatrzył na mnie zmieszany.

- Widziałem czarnego luda. Miał długie czarne włosy, ale był daleko. Nie wiem, czy to był Fryc.

- Ale myślałeś, że to on?

- Nie wiem.

W jego głosie było napięcie, jakby jego precyzyjna dziecięca pamięć zarejestrowała rzeczy przekraczające jego pojmowanie. Obrócił się do matki i oświadczył, że jest głodny.

ROZDZIAŁ XXXV

Zawiozłem Jean z Ronniem do restauracji, w centrum, a sam pojechałem z powrotem przez dzielnicę murzyńską do Fryca i pani Snow. Jezdnią przed jej domem płynęła brunatna rzeka wody. Zaparkowałem wóz na asfaltowym podjeździe za jej starym białym Ramblerem i zamknąłem starannie drzwi na kluczyk. Pani Snow otworzyła mi, nim zdążyłem zapukać. Popatrzyła w deszcz za moimi plecami, jakby się spodziewała, że nie jestem sam.

- Gdzie Fryc? - zapytałem.

- W swoim pokoju. Może pan pomówić ze mną, jeśli pan coś chce. Zawsze za niego mówiłam i pewnie zawsze będę.

- Tym razem będzie musiał mówić sam, proszę pani. Przeszedłem obok niej do kuchni i otworzyłem drzwi pokoiku Fryca. Siedział skulony na żelaznym łóżku, z twarzą ukrytą w dłoniach. Był niemądrym bezradnym stworzeniem i mierziło mnie to, co musiałem zrobić. Proces wystawi go na pastwę gapiów, w więzieniu będzie ostatnim pariasem, jak słusznie obawiała się jego matka. Czuję za sobą jej trwożną obecność.

- Fryc, czy kupiłeś perukę jakiś miesiąc temu? - zapytałem. - Perukę, wąsy i brodę?

Oderwał ręce od twarzy.

- Mo-oże kupiłem.

- Wiem, że kupiłeś.

- To po co pan pyta?

- Chcę wiedzieć, po co kupiłeś?

- Żeby mieć długie włosy. I zakryć to. - Podniósł wskazujący palec do okaleczonej górnej wargi. - Żadna dziewczyna nie pozwala mi się pocałować. Tylko raz w życiu całowałem dziewczynę.

- Martę?

- Tak, ona jedna mi pozwoliła. Ale to było dawno, szesnaście czy osiemnaście lat temu. Przeczytałem w piśmie filmowym o perukach, pojechałem do Hollywoodu i kupiłem cały komplet. Chciałem poderwać dziewczynkę na Sunset Strip, zabawić się jak wszyscy.

- I poderwałeś? Pokręcił boleściwie głową.

- Byłem tylko raz. Ona nie chce, żebym miał dziewczynę.

Jego wzrok pobiegł poza mnie, zatrzymał się na matce.

- Ja jestem twoją dziewczyną - powiedziała wesoło. - A ty moim chłopcem.

Uśmiechnęła się, mrugnęła do niego. Ale w oczach miała łzy.

- Co się stało z twoją peruką, Fryc? - zapytałem.

- Nie wiem. Schowałem ją pod materac i ktoś zabrał.

- Pewnie Albert Sweetner - wtrąciła matka. - Był w domu w zeszłym tygodniu.

- Zniknęła dużo wcześniej. Jakiś miesiąc temu. Tylko raz wyszłem w niej na dziewczynki

- Wyszędłem - poprawiła matka.

- Wyszędłem - powtórzył

- Czy aby na pewno, Fryc? - zapytałem.

- Ta-ak.

- Nie pojechałeś przypadkiem w sobotę wieczór do Northridge i nie założyłeś jej Albertowi Sweetnerowi?

- Nie-e.

- Ani nie miałeś jej na sobie w sobotę rano w kanionie? Kiedy dźgnąłeś nożem Stanleya?

- Ja lubiłem Stanleya. Czemu miałbym go dźgać nożem?

- Bo próbował odkopać ciało ojca. Czyż nie zabiłeś także jego ojca?

Potrząsnął głową gwałtownie jak wiechciem.

- Przestań, Fryc - powiedziała matka. - Zrobisz sobie krzywdę.

Zastygł ze zwieszoną głową, jakby rzeczywiście zwichnął kark. Po chwili się odezwał:

- Pochowałem kapitana Broadhursta, powiedziałem panu. Ale Stanleya nie dźgłem.

Nikogo w życiu nie dźgłem nożem.

- Nie dźgnąłeś - poprawiła pani Snow. - Nikogo w życiu nie dźgnąłeś nożem.

- Nikogo nie dźgnąłem nożem - powtórzył. - Ani kapitana Broadhursta, ani Stanleya, ani... - Podniósł głowę. - Kto był trzeci?

- Albert Sweetner.

- Jego też nie dźgłem.

- Nie dźgnąłeś - poprawiła matka. Obróciłem się do niej.

- Niech pani mu pozwoli mówić za siebie. Mój ostry ton ośmielił jej syna.

- Tak, pozwól mi mówić za siebie.

- Chciałam ci tylko pomóc.

- Tak, chciałaś. - Ale w jego głosie była nutka powątpiewania. Przebijała z tonu, choć nadal siedział w kącie łóżka jak zbity psiak. - Gdzie się podziała moja peruka i wszystko?

- Ktoś je musiał zabrać - powiedziała.

- Albert?

- Może Albert.

- Nie wierzę ci. Sama je zabrałaś.

- Głupstwa pleciesz.

Jego oczy popęzły w górę, ku jej twarzy, wolno jak wspinające się po murze ślimaki.

- To ty gwizdłaś spod materaca. - Walnął pięścią w łóżko dla uwydatnienia faktu. - Nie jestem głupi.

- Ale pleciesz głupstwa. Po co bym brała twoją perukę?

- Bo nie chcesz, żebym podrywał dziewczynki. Jesteś zazdrosna.

Wydała ostry chichot, w którym nie było cienia wesołości. Spojrzałem jej w twarz. Była popielata, zastygła, jak sparalizowana.

- Syn jest zdenerwowany - powiedziała. - Plecie głupstwa.

Obróciłem się do Fryca.

- Dlaczego uważasz, że matka zabrała twoją perukę?

- Nikt inny tu nie wchodzi. Tylko my dwoje. Od razu wiedziałem, że to ona.

- Pytałeś ją?

- Bałem się.

- Mój syn nigdy się mnie nie bał - powiedziała pani Snow. - Dobrze wie, że nie zabrałam tej idiotycznej peruki. Musiał ją zabrać Albert Sweetner. Teraz sobie przypominam, był tu miesiąc temu.

- Miesiąc temu siedział w więzieniu, proszę pani. Już dosyć pani nazwała na Alberta. - W ciszy, która zapadła, słychać było nasze oddechy. Zwróciłem się do Fryca: - Powiedziałeś przedtem, że to Albert kazał ci pochować kapitana Broadhursta. Czy nadal to podtrzymujesz?

- Albert był przy tym - odparł z wahaniem. - Spał w szopie za domkiem myśliwskim. Mówił, że strzał go obudził. Chciał zobaczyć, co z tego wyniknie. Pomógł mi kopać, kiedy sprowadziłem buldożer.

Pani Snow przesunęła się koło mnie. Stała nad Frycem.

- Albert kazał ci to zrobić, nie zaprzeczysz?

- Nie-e, ty mi kazałaś. Powiedziałaś, że Marta o to prosi.

- Czy Marta zabiła kapitana Broadhursta? - zapytałem.

- Nie-e wiem. Nie było mnie przy tym. Mamusia obudziła mnie w środku nocy. Powiedziała, że muszę go dobrze zakopać, bo inaczej skazą Martę na śmierć. Stracą ją w komorze gazowej. - Powiódł wzrokiem po wąskich ścianach, jakby sam był w komorze gazowej i czekał na wrzucenie gazotwórczej kapsułki. - Kazała mi zwalić wszystko na Alberta, gdyby ktoś pytał.

- Oszalałeś! - wybuchnęła pani Snow. - Zostawię cię na pastwę losu, jak będziesz opowiadał takie kłamstwa. Wsadzą cię do więzienia albo do domu wariatów.

Kto wie, czy oboje tam nie skończą - pomyślałem. Głośno powiedziałem:

- Nie pozwól się zastraszyć, Fryc. Nie wsadzą cię do więzienia za nic, co matka ci kazała zrobić.

- Nie pozwolę na to! - krzyknęła. - Buntuje pan przeciwko mnie syna.

- Najwyższy czas, proszę pani. Pod pozorem opieki zrobiła pani z niego kozła ofiarnego.

- Ktoś musi się nim opiekować.

Jej głos zabrzmiał chrapliwie i melancholijnie.

- Obcy by go lepiej traktował. - Obróciłem się do Fryca. - Co zaszło w sobotę rano, kiedy Stanley pożyczył motykę i łopatę?

- Pożyczył motykę i łopatę - powtórzył. - Kiedy odjechał, zacząłem się niepokoić. Poszedłem w górę kanionu zobaczyć, co robią. Stanley kopał akurat w miejscu, gdzie był pochowany jego ojciec.

- I co zrobiłeś?

- Wróciłem na ranczo i zadzwoniłem do niej.

Jego wilgotne zielone oczy spoczęły na matce. Ta wydała uciszający dźwięk, który przeszedł w syczenie. Nie zważając na to zapytałem:

- Co robiłeś w sobotę wieczorem, Fryc? Pojechałeś do Northridge?

- Nie-e, leżałem cały wieczór w łóżku.

- A gdzie była twoja matka?

- Nie wiem. Dała mi proszek na sen, jak tylko Albert zadzwonił. Zawsze mi daje na sen, kiedy mnie zostawia samego wieczorem.

- Albert dzwonił w sobotę wieczorem?

- Ta-ak. Odebrałem telefon, ale chciał mówić z nią.

- O czym rozmawiali?

- O pieniądzach. Powiedziała, że nie ma...

- Zamkniesz buzię?

Pani Snow zamierzyła się pięścią na syna. Chociaż był większy, młodszy i z pewnością silniejszy od niej, odskoczył i kwiląc skulił się w kącie łóżka. Chwyciłem kobietę za rękę, wypchnąłem ją do kuchni i zamknąłem drzwi do pokoiku, w którym zanosił się histerycznym płaczem Fryc. Oparła się o blat kuchenny, przy zlewie, wstrząsana dreszczem, jakby w domu zrobiło się nagle zimno.

- To pani zabiła kapitana Broadhursta.

Nie odpowiedziała. Wydawała się sparaliżowana straszliwym wstydem, który jej odjął mowę.

- Nie została pani krytycznej nocy na ranczu. Poszła pani za panią Broadhurst i Stanleyem do domku myśliwskiego, znalazła nieprzytomnego kapitana i dobiła go nożem. Potem pojechała pani do domu i kazała synowi pogrzebać go razem z autem. Na nieszczęście

Albert Sweetner wiedział, gdzie jest pochowany. W zeszłym tygodniu wrócił zrobić z tego użytek. W sobotę wieczorem, kiedy Stanley z pieniędzmi się nie zjawił, Albert zadzwonił tutaj, żeby chociaż trochę od pani wydusić. Pojechała pani do Northridge i zabiła go.

- Jak mogłam go zabić? Takiego dużego silnego mężczyznę?

- Był kompletnie pijany, kiedy pani przyjechała. Poza tym nie podejrzewał, że cokolwiek mu grozi z pani strony. Stanley też nie podejrzewał, prawda?

Nie mogła wydobyć głosu, choć kilkakrotnie otwierała usta.

- Rozumiem, dlaczego pani zabiła Alberta i Stanleya - powiedziałem. - Dla ukrycia tego, co pani zrobiła przed laty. Ale dlaczego musiał zginąć kapitan Broadhurst?

Poszukała mojego wzroku i oczy jej zmętniały jak zamglona szyba.

- Leżał półmartwy w kałuży krwi. Skróciłam tylko jego cierpienia. - Zaciśnięta dłoń drgnęła jej konwulsyjnie, mimo woli powtarzając śmiertelny cios. - Zrobiłabym to samo dla zdychającego zwierzęcia.

- Nie z litości go pani zamordowała.

- Nie ma pan prawa nazywać tego morderstwem. Dostał, na co zasłużył. To był zły człowiek. Oszust, rozpustnik. Zrobił Marcie Nickerson dziecko, a winę zwałił na mego syna. Fryderyk nie jest od tej pory sobą.

Nie miało sensu wdawać się z nią w dyskusję. Należała do tych paranoicznych dusz, które zachowują spokój sumienia winiąc o wszystko innych. Jej złość i gniew jawiły jej się jako emanacja zewnętrznego świata. Podszedłem do telefonu i połączyłem się z policją.

Trzymałem jeszcze słuchawkę w ręce, gdy pani Snow otworzyła szufladę i wyciągnęła nóż rzeźnicki. Puściła się w moją stronę drobnym kroczeniem baletnicy, w takt jakiejś skocznej melodii, którą tylko ona słyszała. Chwyciłem ją za przegub. Była w niej owa eksplozywna siła, jaką wyzwala obłąkańczy gniew. Ale nie wystarczyło jej na długo. Nóż upadł z brzękiem na podłogę. Unieruchomiłem jej ręce z tyłu i nie puściłem aż do zjawienia się policji.

- Chce mnie pan skompromitować przed sąsiadami - powiedziała z rozpaczą.

Ale byłem jedynym widzem, gdy odjeżdżała wraz z Frycem w pudle karetki policyjnej, odgrodzonym siatką od kierowcy. Jadąc za nimi w rzece brunatnej deszczówki na komendę rozmyślałem, jak często tragedie na miarę antyczną mają obecnie lumpenproletariacki finał. Policjantom z brygady śledczej podałem do protokołu bardziej prozaiczne wyjaśnienie.

Moją relację przerwał telefon narzeczonej Briana Kilpatricka. Kilpatrick zamknął się w swoim pokoju karcianym i palnął sobie w łeb. W bagażniku auta miałem teczkę z

papierami i pistoletami Elizabeth Broadhurst, którą mu odebrałem. Postanowiłem o niej na razie nie wspominać, chociaż wiedziałem, że okoliczności śmierci Leo Broadhursta wyjdą i tak na jaw w procesie Edny Snow.

Przed zapadnięciem zmroku wyjechaliśmy we trójkę z Jean i Ronniem z miasta.

- Koniec - powiedziałem.

- To dobrze - skomentował Ronnie. Jego matka westchnęła.

Miałem nadzieję, że to naprawdę koniec i życie Ron-niego nie powróci zacieśniającą się spiralą do sprawy ojca, tak jak życie tego ostatniego powróciło do sprawy jego ojca. Życzyłem siedzącemu obok mnie malcowi zbawiennego zaniku pamięci.

Jakby odgadując moje myśli, Jean sięgnęła za jego plecami i dotknęła zimną dłonią mego karku. Zostawiliśmy za sobą wciąż parujące pogorzeliisko, w strumieniach deszczu oddalając się na południe.

„KB”